

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/143

1959



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. WITTLIN : **BLASKI I NĘDZE WYGNANIA**

St. SĘP-SZARZYŃSKI : **TROP LEGENDY**

T. NOWAKOWSKI : **PODRÓŻ DO PORTUGALII**

SPIS RZECZY

Józef Wittlin :	<i>Blaski i nędze wygnania</i>	3
Aleksander Hertz :	<i>Swoi i obcy (I)</i>	17
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmety z dziennika</i>	27
Tadeusz Nowakowski :	<i>Podróż do Portugalii</i>	39

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Księżyc sprzed trzystu lat</i>	55
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	61
Obserwator :	<i>O Wiedniu bez blagi</i>	66

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Aleksander Pragłowski :	<i>Kampania wrześniowa</i>	72
Stanisław Sep-Szarzyński :	<i>Trop legendy</i>	87

SPRAWY I TROSKI

W. A. Zbyszewski :	<i>Voice of America</i>	117
--------------------	-------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski :	<i>Derwisz</i>	137
Józef Wittlin :	<i>Bibliotekarz Alfred Berstein</i>	144
—	<i>Nagroda Muzyczna Fundacji im. Paderewskiego</i>	146

KSIĄŻKI

Wacław Iwaniuk :	<i>O „Rachunku zachciankowym”</i> ..	147
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	148



T. Komarnicki, J. Mackiewicz, J. Kurdwanowski, M.K. Pawli- kowski, St. Mackiewicz, St. Szwajcer, B. Sirko, W. Po- hoski :	<i>Listy do Redakcji</i>	151
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień – Septembre 1959

INSTITUT



LITERACKI

DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

Artur Tarnowski, Montreal (Kanada)	10.000 frs
Inż. Z. Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada) „zamiast prenumeraty „Głosu Polskiego” (Toronto, Kanada) za drugie półrocze 1959 r.”	1.250 „
Fr. Strociak, Chicago, Ill. (USA)	2.500 „
Z. M. Paryż	3.000 „
Maria Radomska, Toronto, Ont. (Kanada)	10.000 „

DZIEKUJEMY

NA "SECRET POLICE FUND"

William A. Caruso, Toronto, Ont. (Kanada)	2.500 „
D. Demetrovits, Toronto, Ont. (Kanada)	2.500 „
Michał K. Pawlikowski, Berkeley, Cal. (USA)	2.500 „

DZIEKUJEMY

NA CELE KULTURALNE

Józef Kowalczyk, Monte Grande (Argentyna)	3.000 „
Rev. Wojciech Sojka, Parana Curitiba (Brazylia)	5.000 „

DZIEKUJEMY

Blaski i nędze wygnania

Już to jest nie małą „nędzą” wygnania, że Państwo musza słuchać tutaj mojej kiepskiej angielszczyzny, a ja muszę silić się na mówienie do Was w obcym języku (1).

Rozważania, którymi pozwalam sobie podzielić się z Państwem, stanowią wstęp do eseju, nad którym zacząłem pracować od zakończenia wojny. Esej ten, w moim zamierzeniu winien być czymś w rodzaju zarysu fizjologii literatur emigracyjnych. Gdy mówię: esej, świadomie używam tego wyrazu w jego dosłownym znaczeniu. Przywykliśmy terminem tym określać każdą pracę z dziedziny krytyki literackiej, artystycznej czy pokrewnych dziedzin, a już sama nazwa tego stowarzyszenia, którego mam zaszczyt być członkiem i pod którego auspicjami tutaj przemawiam, mieści w sobie słowo: *essayist. P.E.N.* — Playwrights, Essayists, Novelists. W ścisłym wszakże znaczeniu esej nie jest niczym innym tylko próbą, a esseista — pisarzem, który czegoś próbuje. Przeważnie próbuje znaleźć właściwy sens zjawisk, które bada. Wiemy, że od próby do ostatecznego wykonania jakiegoś zamysłu, jest jeszcze daleko. I nawet dzieło Montaigne'a, będące czymś o wiele ważniejszym niż to, na co wskazuje tytuł, czy też dzieła Johna Locke'a: „*Essay Concerning Toleration*” oraz „*Essay Concerning Human Understanding*”, nie zwalniają nas od obowiązku skromności, od obowiązku przywrócenia słowu: esej jego pierwotnego sensu.

A zatem w eseju, którego wstępem jest dzisiejsza pogadanka, próbuję ustalić pewne zasady czy też prawa, rządzące życiem i śmiercią twórczości literackiej na emigracji. Nie jest to emigracja dobrowolna, lecz taka, do której pisarza zmusiła gorzka konieczność, katastrofa, klęska. A także potrzeba czyn-

(1) Odczyt wygłoszony po angielsku w nowojorskim „P.E.N. Club in Exile” 27 lutego 1957, oraz 2 grudnia 1958 na Kongresie „P.E.N. Klubów in Exile” w Monachium.

nego przeciwstawienia się klęsce, oraz towarzysząca tej potrzebie nadzieja zwycięstwa. W każdym razie emigrację naszego typu wywołał stan zagrożenia jeśli nie fizycznej osoby pisarza to jego twórczości. I dlatego przyjęliśmy tak patetycznie brzmiące określenie: *w y g n a n i e*. Słowo: *wygnanie* nie zawsze kojarzy się z ponurym obrazem ludzi, wypędzanych batem przez innych ludzi. Wśród pisarzy jest wielu wygnańców, których nikt nie wyganiał. Opuścili swój kraj dobrowolnie, nie chcąc poddać się warunkom, których by tam znieść nie umieli.

Użyłem też określenia: fizjologia literatury. To określenie nie jest moim wynalazkiem. Zawdzięczam je zmarłemu w roku 1936 krytykowi francuskiemu Albertowi Thibaudet, któremu poza tym zawdzięczam jeszcze wiele innych rzeczy. O ile pamięć mnie nie myli, Thibaudet pierwszy użył wyrazu: fizjologia w połączeniu z literaturą.

Nim wszakże zastanowimy się nad tym, jakie to specyficzne prawa rządzą twórczością literacką na wygnaniu i powodują że ta twórczość jest inna niż piśmiennictwo, rozwijające się w kraju, skąd pochodzą pisarze-wygnańcy, pomyślmy nad głębszym znaczeniem samego słowa: wygnanie. Pod koniec ostatniej wojny, a więc wiosną roku 1945 Tomasz Mann obchodził w Nowym Jorku 70-tą rocznicę urodzin. W czasie uroczystości ku swojej czci wygłosił on przemówienie, w którym m.in. objaśnił wspólne pochodzenie angielskiego słowa: *alien* i niemieckiego *E l e n d*. *Elend* — znaczyło niegdyś to samo, co: *Alien Land*. Dzisiaj znaczy ono już wyłącznie: niedola, nędza. A przecież być „an alien” nie zawsze jest rzeczą przykrą i nie każdy *a l i e n* czuje się nędzarzem, ani w materialnym ani w moralnym znaczeniu tego smutnego słowa. Fakt przebywania w obcym kraju dzięki regularnej wizie w paszporcie albo też bez wizy, (z czego w ogromnym zakresie korzystają obywatele Stanów Zjednoczonych we wszystkich niemal krajach Europy) nie tylko nie jest faktem godnym pożałowania, ale przeciwnie — często budzi zazdrość ludzi osiadłych u siebie w ojczyźnie, a nie mogących sobie pozwolić na podróże po obcych krajach.

W pięknej antyfonie „*Salve Regina*” śpiewanej w kościołach katolickich, znajdujemy dwukrotnie słowa: wygnanie i wygnaniec. Autor antyfony nazywa najpierw cały rodzaj ludzki: „*exsules, filii Haevae*”, a potem ziemski nasz żywot kwalifikuje jako *exilium*. Skądże to jesteśmy wygnani? Od wczesnego dzieciństwa prześladował mnie obraz anioła z ognistym mieczem. Była to reprodukcja jakiegoś rokokowego miedziorytu czy stalorytu: już nie pamiętam. Oczywiście ten anioł wypędzał Adama i Ewę z raju. Takie właśnie wygnanie miał na myśli pobożny autor antyfony „*Salve Regina*”. A zatem, przyjmując pogląd wyrażony w tej antyfonie, już pierwszym naszym rodzicom zawdzięczamy, że pobyt nasz na tej ziemi, bez względu na to, w którym jej miejscu przebywamy i bez

względu na to czy źle czy dobrze tam się czujemy, jest wygnaniem. Wygnaniem z takiej krainy, której osobiście nie znamy. Ta sama doktryna, która nakazuje wierzyć, że ziemski nasz byt jest wygnaniem, obdarza równocześnie nadzieją, obiecując, że będziemy nam dane powrócić tam, skąd wypędzono naszych pierwszych rodziców. Oczywiście, musimy przed tym, tu, na ziemi spełnić pewne trudne, a nieodzowne warunki.

W obecnych i nie tylko obecnych czasach ludzie przeważnie nie chcą uznać doczesnego życia za wygnanie. Ani z raju, ani skądkolwiek, chociaż to ziemskie życie nie dla wszystkich jest pełne oroku i słodyczy. Przeciwnie: właśnie ci, którym doczesne życie nie szczędi zawodów i cierpień, ci, którzy powinni tego życia nienawidzić, są do niego najmocniej przywiązani. Wielu też ludzi nie czerpie otuchy z świadomości, że kiedyś, po tym wygnaniu „*post hoc exilium*”, będą mogli przebywać w swojej prawdziwej ojczyźnie i to nie czasowo, ale wiecznie. Od takich ludzi trudno wymagać, aby tęsknili do raju, którego nie znają. Jedynie pobyt na ziemi wydaje im się rzeczywisty; tutaj i tylko tutaj jest ich dom, wszystko jedno jaki: wspaniały pałac czy ohydna rudera. Tylko na ziemi upływa im życie, wszystko jedno jakie; dobre czy złe. I nieraz to życie poświęcają, aby odrestaurować swój wałący się dom. Jeśli już nie dla siebie, to dla swoich potomków. I nawet, gdy to się nie udaje, gdy całe ich istnienie jest nieprzerwanym pasmem rozczarowań i klęsk, nie mają zamiaru wyrzekać się swego ziemskiego obywatelstwa. Wcale nie ubiegają się o pierwsze papiery obywatela wieczności. Tacy ludzie dobrze wiedzą, a jeśli nie wiedzą, to czują, że ich pobyt na ziemi nie jest trwały. Mimo to zachowują się tak, jakby miał wiecznie trwać, jakby celem życia było samo życie. Świadomie czy nie świadomie, ludzie ci są egzystencjalistami najrozmaitszych, n.b. niereligijnych odcieni. Ale przyjmijmy, że ci ludzie się mylą, natomiast nie myli się autor antyfony „*Salve Regina*” oraz liczni autorowie innych tekstów wierszem i prozą, wyrażających pokrewny pogląd na świat i na zaświat. Jeżeli prawdą jest, że całe nasze życie jest wygnaniem, to my, członkowie Międzynarodowego P.E.N.-Klubu na Wygnaniu, jesteśmy podwójnymi wygnańcami. Kto wie, czy w tej świadomości nie tkwi załazek „*blasków*” naszego położenia.

Nieraz nam mówiono, że każdy, naprawdę oryginalny, artysta jest cudzoziemcem we własnej ojczyźnie. Już sam fakt jego odrębności i przekornego niesolidaryzowania się z „*common sense'm*”, fakt, że wszystko, co ów artysta ze sobą przynosi, jest niezwykłe, niekiedy dziwaczne i przeważnie obce nawet najbliższemu otoczeniu, czyni go wygnańcem. Wygnańcem, choćby od urodzenia do śmierci mieszkał w tym samym własnym i luksusowym domu. Nie będziemy tu podawali długiej listy nazwisk bohaterów czy tragicznych samotników, którzy dopiero po zejściu z świata stali się temu światu bliscy i mili, i dopiero „*post hoc exilium*” przestali być wygnańcami

we własnym społeczeństwie. Prawie każdy naród szczyli się swymi „poètes maudits”, swoim Edgarem Allanem Poe, Baudelaire’em, Rimbaud’em, Hart Crane’em. Każdy naród ma swego Van Gogha i Cézanne’a. Skoro więc każdy człowiek, póki żyje, jest wygnańcem, a co drugi artysta, poeta czy pisarz jest wygnańcem, dlatego że na swój własny sposób widzi i wyraża świat, w takim razie my, członkowie Międzynarodowego P.E.N.-Klubu na Wygnaniu, oddział amerykański, po trzykroć jesteśmy wygnańcami. W moim skromnym mniemaniu jest to nie tylko nieszczęście, może to również być przywilej. Nikt chyba nie zaprzeczy, że na wiele spraw ziemskiego bytu jedynie artyści, a więc wygnańcy, umieją rzucać właściwe światło, jedynie poeci umieją spojrzeć na „condition humaine” z odpowiedniego dystansu. Znakomitą perspektywę funduje im utrata ojczyzny. Powiadam: ojczyzny, żeby nie nadużywać tytułu arcydzieła Milтона.

Ale zejdźmy na ziemię, gdzie emigracja polityczna jest przede wszystkim nieszczęściem. Kto z tego nieszczęścia stwarza sobie religię, nie będzie zbawiony. I daleki od chwały jest ten, kto nie potrafi tego nieszczęścia przetrwać, lecz uważa je za normalną formę bytu, poza którą jest już tylko niebyt.

Wybitny pisarz E.M. Cioran, emigrant rumuński, żyjący w Paryżu i piszący po francusku, autor fascynujących książek: „Précis de décomposition” i „Syllogisme de l’amertume”, laureat Prix Rivarol, nagrody dla cudzoziemców, piszących w języku francuskim, poświęcił naszemu zagadnieniu niezwykle bystre rozważania. Cioran zastanawia się m.in. nad dola poety na wygnaniu i obawia się, że ta dola może doprowadzić do tego, iż poeta zasmakuje w wygnaniu. „Nikt nie potrafi”, powiada Cioran, „zakonserwować młodości swoich smutków. Smutek zużywa się. Tak jest też z tęsknotą do kraju, z wszelką nostalgią. Natchnienie wysycha w poecie z powodu braku różnorodności w doznaniach i braku autentyczności niepokojów”. Oczywiście wygnanie w czysto świeckim i brutalnym znaczeniu tego słowa, nie jest wyłącznie sprawą pisarza, który, jak wiemy, jest już i tak wygnańcem z przyczyny swego powołania. Nie tylko pisarze odczuwają blaski i nędzę exilium.

W tragedii Szekspira pt. „Król Ryszard Drugi”, władca ten skazuje księcia Norfolku na dożywotnie wygnanie. O ile nam wiadomo Duke of Norfolk nie był literatem, a jednak po usłyszaniu królewskiego wyroku wybuchnął on takim lamentem:

*„Twardy to wyrok, królu miłościwy,
I niespodziany z twoich ust królewskich.
Jam na nagrodę lepszą niżli takie
Straszne odcięcie zasłużył u ciebie.
Teraz zapomnieć muszę mej rodzinnej
Angielskiej mowy, której się uczyłem
Przez lat czterdzieści. Na cóż mi się teraz
Zda język więcej niżli gęśl lub arfa*

*Bez strun lub w skrzynce czarownicy instrument,
Albo wyjęty lecz oddany w rękę
Która nie umie zgodzić jego tonów?
Tyś mi uwięził język w ust mych głębi
Za tą podwójną warg i zębów kratą,
A młot, nieczułą, jałową ciemnotę
Stawił jak stróża, by mnie pilnowała.
Jam już za stary, by się łączyć mamce,
Zanadto w lata zaszedł, by być uczniem.
Śmierć więc bezmowną twój wyrok zamyka,
Bo dźwięk rodzinny wydziera z języka”.*

(Przekład Leona Ulricha. Akt I, Scena III)

Skoro więc książę Norfolku tak bardzo ubolewa nad grożącą mu na wygnaniu utratą ojczystego języka, jakże bolesna jest ona dla pisarza! Nawet pisarze, przebywający na wygnaniu w krajach, gdzie potocznym językiem jest ich własny język, nie czują się tam całkiem w domu. Na przykład pisarze z Hiszpanii w krajach Ameryki Łacińskiej. Niestety nie żyjemy już w świecie, w którym greka lub łacina były wspólnym narzędziem poezji i prozy wśród oświeconej elity różnych narodów i wielkich i małych. Żyjemy w świecie, w którym nawet język islandzki stawia współczesnemu pisarzowi w Islandii te same wymagania i wywołuje u jego współobywateli ten sam rezonans, co w Anglii i Stanach Zjednoczonych — język angielski. A przecież językiem islandzkim posługuje się niewiele ponad 100.000 ludzi.

Wykorzenienie pisarza z ziemi, na której dłużej czy krócej żył w symbiozie z językiem tej ziemi, może być okrutnym gwałtem. Odcięcie od rodzinnego pnia odczuwają boleśnie nawet pisarze, przebywający poza swym krajem czasowo i dobrowolnie. Na przykład Dostojewski, który pisał z Vevey w Szwajcarii do Mikołaja Mikołajowicza Strachowa: „A propos mojej pracy tutaj, oczywiście, będę pozostawał w tyle, jeśli idzie o znajomość tego, co się u nas dzieje chociaż wiem o tym lepiej niż ty, bo każdego dnia czytam trzy dzienniki rosyjskie od deski do deski i otrzymuję dwa czasopisma. Odczytuję się od żywego prądu istnienia, nie tylko od idei istnienia, ale od samej esencji. A jak to oddziaływa na pracę literacką!”

Dostojewski nie jest typowym przykładem pisarza, który źle znosi wykorzenienie. Powyżej przytoczone słowa pisał on nie jako wygnaniec, lecz jako dobrowolny podróżnik po nie-lubianej Europie Zachodniej. Spędził w niej cztery lata. A jednak niewiele z tego Zachodu przesączycie się do jego twórczości. Jakby w końskich okularach chodził Dostojewski po ulicach Berlina, Drezna, Florencji. Niemców nie znosił, ale też nie pragnął poznać bliżej ich życia, cywilizacji i kultury. O kulturze zachodniej Europy miał urobione, n.b. niepoehlebne mnie-

manie, jeszcze zanim udał się na Zachód. W Dreźnie, owszem, zwiedzał muzea i galerie. Ale od muzeów, bardziej pociągały go niemieckie kasyna gry. Niby to dla poratowania zdrowia pojechał autor „Gracza” do Wiesbaden i do szwajcarskiej miejscowości Saxon-les-Bains, gdzie były nie tylko wody lecznicze, ale i słynne kasyno. Najważniejszym „echem” pobytu w Europie zachodniej, jest, w wielkich powieściach Dostojewskiego, obok ruletki i sylwetek graczy, gilotyna w Lyonie i ostatnie chwile skazańca. Opowiada o tym książkę Myszkin w „Idiocie”. Oczywiście, bardziej interesowało Dostojewskiego to, co czuje człowiek na kilka minut przed odcięciem głowy, niż ludzie otaczający gilotynę, niż miasto Lyon i w ogóle Francja. Cztery lata pobytu na Zachodzie spłynęły po Dostojewskim-belletryście, jak mdła i nieczysta woda. Być może jednak, że bez tych czterech lat nie mielibyśmy Iwana Karamazowa, ani „Opowieści o Wielkim Inkwizytorze”, mimo iż niechęć do Zachodu i do katolicyzmu przywiózł Dostojewski z Rosji. Jeśli więc jego wyobraźnia przez te cztery lata życia poza Rosją, czerpała niejako pożywienie z tego, co działo się dookoła, były to dla tej wyobraźni, jeśli tak rzec wolno, raczej witaminy negatywne. Bo i na Zachodzie żył Dostojewski Rosją i po rosyjsku sondował głębiny rosyjskich dusz. To zaś, że scena zgilotynowania zbrodniarza, którą, podobnie jak bohater „Idioty”, Myszkin, oglądał Dostojewski w Bazylei, na ilustracji w jakimś piśmie, uczyniła na nim tak wstrząsające wrażenie, nie jest wyłącznie pamiątką z podróży po Europie zachodniej. Autor „Idioty” sam stał niegdyś na szafocie jako skazaniec, co prawda nie w Lyonie, lecz w Rosji, a miano go nie zgilotynować, tylko rozstrzelać. Przywiózł więc Dostojewski z Zachodu — do swojej tematyki to, co tej tematyce odpowiadało od dawna. Nie groziło mu wyjałowienie, którego tak nerwowo obawiał się w Vevey, pisząc ów list do Strachowa. Wykorzenie, czy wyjałowienie grozi raczej takiemu artyście, który łatwo i chętnie ulega fascynacji obcego świata, ale nie potrafi go w sobie zasymilować tak, aby obcy stała się dlań pełnowartościowym tworzywem. Niektórzy artyści nawet umyślnie starają się o to, aby ich dzieła miały jak najmniej składników życia ich ojczyzny. Uganiają się po świecie w poszukiwaniu egzotyki, obcego kolorytu i obcej „Condition humaine”. Nie mówimy tu o tych, co zawodowo uprawiają pisarstwo podróżnicze. Spójrzmy np. na twórczość Hemingwaya. Ludzie w najważniejszych jego książkach „operują” przeważnie na nieamerykańskich terenach, o ile w ogóle są Amerykanami. Widzimy ich we Włoszech, Hiszpanii, Francji, w Afryce, na Kubie. Sam Hemingway, chyba większą część swego arcybujnego życia spędził poza Stanami Zjednoczonymi. Od wielu lat ma on swoją stałą siedzibę na Kubie, skąd wyrusza w różne części świata, w poszukiwaniu niezwykłych wrażeń. Niewątpliwie uważa on za pożyteczne dla swej twórczości — przebywanie poza krajem

rodzinnym, z którego, o ile nam wiadomo, nikt nigdy go nie wygniał (2).

Nasz Witold Gombrowicz, od dwudziestu lat przebywa w Argentynie, ale nie przestaje tam myśleć na swój, nader swoisty, sposób o Polsce i Polakach. W ciekawej polemice z wspomnianym wyżej emigrantem rumuńskim Cioranem, słusznie powiada Gombrowicz, że „jest rzeczą obojętną, w jakim miejscu świata męczą się pisarze”. Albowiem: „każdy wybitny pisarz wskutek wybitności swojej był cudzoziemcem nawet u siebie w domu”. Gorzki smak tej prawdy znają wszyscy prawdziwi twórcy nowych wartości w sztuce, choćby byli członkami Akademii lub laureatami Nobla.

W języku hiszpańskim istnieje na określenie wygnańca wyraz: *destierro*, człowiek, pozbawiony ziemi. Jaby dodał jeszcze inne określenie: *destiempo*, człowiek pozbawiony czasu. To znaczy: tego czasu, który upływa obecnie w jego własnym kraju. Czas na wygnaniu jest zupełnie inny. Jest to czas nienormalny, prawie że obłąkany. Wygnaniec bowiem żyje w dwóch różnych czasach jednocześnie: w teraźniejszości i w przeszłości. Życie przeszłością bywa niekiedy intensywniejsze od życia teraźniejszością i tyranizuje całą jego psychikę. Ma to swoje dobre i złe strony. Zaczniemy od złych. Wygnańcowi, żyjącemu przeszłością, zagraża mnóstwo niebezpieczeństw, np. niebezpieczeństwo wzdychania do rzeczy błahych, których istotny lub rzekomy czar przeminął raz na zawsze. Grozi mu niebezpieczeństwo wzdychania nawet do martwych rekwizytów, jakimi posługiwały się w swych dramatach lub farsach dawniejsze, dziś już nieżywe światy. W normalnym, przedwygnańczym istnieniu, te rekwizyty w ogóle nie zasługiwały na uwagę. Dam przykład z własnego doświadczenia. W roku 1950-ym w Nowym Jorku często zatrzymywałem się przed oknem wystawowym pewnego antykwariusza na Lexington Avenue. Były tam stare broje, stara broń, hełmy i czaka. Szczególnie przykuwał mnie widok czaka oficera sztabowego IV pułku austriacko-węgierskich ułanów. Pułk ten przed pierwszą wojną światową stacjonował we Lwowie. Proszę jednak nie myśleć, że ja służyłem w tym pułku (byłem tylko zwykłym piechurzem). Rozmarzenie na widok takiego czaka byłoby w normalnej egzystencji groźnym infantylizmem. Ale w roku 1950 w Nowym Jorku, po drugiej wojnie światowej, a w czasie wojny koreańskiej — przyznaję to bez fałszywego wstydu — ułańskie czako budziło nostalgię. Za czym? Za austriacko-węgierską kawalerią, czy w ogóle za wojskiem? Nic podobnego. Budziło nostalgię za dawnością, za światem, który przestał istnieć w roku 1914, a który może był lepszy od obecnego. A może tylko w naszym urojeniu był lepszy. To czako budziło tęsknotę do dawnej Europy, do barwności ówczesnego życia, do podejrzanego zresztą uczucia bezpieczeństwa

(2) Ostatnio osiedlił się w górach stanu Idaho.

i, last but not least, do naszej własnej młodości. Zapatrzenie się w nieużyteczny dziś rekwizyt — oto jedno z niebezpieczeństw, czyhających na pisarza-wygnanca. Każdemu z nas grozi takie czy inne czako. A wraz z tym czakiem grozi fałszywa ocena przebrzmiałych wypadków i zapomnianych ludzi. Fałszywa, bo okryta mgiełką rozrzewnienia.

Pisarzowi na wygnaniu grozi też zanik zdolności do selekcji wspomnień, jako materiału, nadającego się do literackiego opracowania. Życie wygnanca, jak życie każdego człowieka, rwie naprzód, ale wygnaniec niejako zawodowo cofa się wstecz. Stąd nieraz rodzą się poważne a nawet tragiczne kolizje życiowe i literackie. Zdarza się, że emigrant żyje w zupełnej próżni, którą jego wyobraźnia zaludnia wyłącznie zjawami z umarłego świata. Nie każdy pisarz na wygnaniu jest Proustem Joyce'm czy Mickiewiczem. Ci wielcy pisarze odważnie zapuszczali się „à la recherche du temps perdu”, ale nie po to, aby przeszłość gloryfikować, jeno po to, aby ją bezlitośnie demaskować, albo też, jak Mickiewicz, pobłażliwie nią się bawić. Nazwijmy więc ten odcinek badań fizjologii literatur na emigracji: „Dobrodziejstwem i przekleństwem retrospekcji”. Dobrodziejstwo jest równie wielkie jak przekleństwo. Profesor Harry Levin w swej książce o James Joyce'ie słusznie pisze: „Pierwszą zasadą artystycznej gospodarki było odosobnienie. Joyce odwrócił się od swojej narodowości i religii, ale odnalazł swe źródki wyrazu i język nawróciwszy ku narodowości i religii”

Joyce był dobrowolnym emigrantem, tzw. „expatriate”, i kto wie, czy nie właśnie dzięki temu, że spędził większą część życia w Paryżu, Trieście i Zurychu, a nie w swoim rodzinnym Dublinie, stworzył własny, autentyczny styl i język. I stworzył nowy Dublin, całkowicie zbudowany z elementów jego poetyckiej wizji.

Jednakże częściej się zdarza, że pisarz odcięty od swego narodu i przebywający przez dłuższy czas poza ojczyzną, ponosi z tej przyczyny dotkliwe straty. Nie każdy potrafi à la longue żyć twórczo wspomnieniami. Np. Turgeniew, uważany za najbardziej zżytego z Francją pośród wielkich pisarzy rosyjskich XIX wieku. Dwie jego powieści: „Dym” i „Ziemia dziewczęca”, w których usiłował odtworzyć życie w Rosji toczone w czasie jego długiego pobytu w Paryżu, padły ofiarą wykorzenienia autora.

Pisarz-wygnaniec żyje w społeczności zwężonej, w której nie łatwo jest tworzyć, a tym bardziej ogłaszać dzieła rewoltujące. Taka zwężona społeczność najchętniej daje posłuch temu, co już od dawna zna. Od artysty wymaga przeważnie potwierdzenia własnych smaków i przyzwyczajęń. Toteż ciężko jest pisarzowi na wygnaniu narzucić emigracji swój smak i swoją nowość. Biada mu jeśli ulegnie. Bo jeśli w normalnym społeczeństwie każdemu artyście grozi największy jego wróg, którym jest chęć podobania się, niebezpieczeństwo od strony tego wroga jest stokroć większe w społeczności zwężonej, ghettowej,

skazanej na własne siły i zasoby. Na emigracji prawie z reguły następuje pomieszanie pojęć i kryteriów, powstają nieprawdopodobne hierarchie, nie ma bowiem istotnych mierników prawdziwej wartości pracy pisarza. O tej wartości rozstrzygają przeważnie względy uczuciowe, przebrzmiałe mity i przebrzmiałe prawidła estetyki narodowej, jakimi kierowały się dawne emigracje w ocenie swoich „wieszczów”. Ta konfuzja szczególnie dotkliwie dała się we znaki polskiej emigracji w czasie ostatniej wojny. O czym będzie mowa w dalszych częściach „zarysu fizjologii literatur emigracyjnych”.

W miarę jak wygnanie się przeciąga, a piśmiennictwo odala się od życia własnego narodu, nawet stosunkowo młodym pisarzom trudno jest uchronić się od „miłego” gawędziarstwa. Oderwanie się od problematyki i tematyki swego czasu może być jednak zbawienne, nawet dla pisarza przebywającego we własnym, a wolnym kraju. Każdy bowiem, kto zbyt namiętnie tkwi w swoim czasie może się stać jego niewolnikiem. Biada pisarzowi uwięzionemu dożywotnio w swoich dniach i nocach! Tylko *destierro* jest naprawdę wolny i czas swój osądza w niezawisłości od niego. Każdy prawie pisarz, nawet taki, którego ambicją jest mniej lub więcej wierne „odbicie” swej epoki, dąży do przeskokowania tej epoki. Wyrażając się pretensjonalnie: pragnie on produkować tzw. ponadczasowe wartości. O ile takie wartości naprawdę pod słońcem istnieją. Pisarz *destierro-destierro* od tego winien rozpocząć właściwą karierę, choćby przy tym skankaniu złamał kark.

Sprawa języka. Jeżeli przyjmiemy, że język jakiegoś narodu ulega zmianom zależnym od życia tego narodu, to na wygnaniu rozporządzamy zaledwie takimi elementami języka, które:

- a) przywieźliśmy z własnego kraju,
- b) które zostały stworzone na obczyźnie przez dawniejszych emigrantów,
- c) które sami tworzymy na wygnaniu.

A zatem nasz język nie zawiera już elementów, powstałych w kraju, w czasie naszej nieobecności, mimo iż pilnie śledzimy wszystko co tam się pisze. Żywą mowę naszego kraju poznamy z drugiej ręki. Przeważnie z lektury.

Lektura. W normalnych warunkach lektura w języku ojczystym jest dodatkiem do toczącego się wokół nas życia. Jest dodatkiem do żywej mowy potocznej, jest pożywką tzw. władz umysłowych, pobudzającą wrażliwość i wyobraźnię. Na wygnaniu lektura w języku ojczystym staje się często jedynym źródłem tzw. wzruszeń patriotycznych.

Można też na emigracji zaobserwować ciekawe zjawisko, które nazwałbym powrotem słów. Słowa zapomniane, nieużywane już w obecnym naszym życiu, wracają do świadomości w postaci wspomnień. Właściwie pozostała z nich tylko dźwiękowa zawartość; sens użytkowy dawno już z nich wyparował.

Takie słowo jest już nie głosem życia, lecz jego echem. Jest pustą muszlą, w której czasem słychać szum życia. Przyłożymy je do ucha: owszem — gra. Niekiedy nawet pięknie, niż dawniej, gdy było wypełnione żyjącym organizmem. Słowo-wspomnienie znaczy też często co innego, niż ongi, w kraju rodzinnym. I tak wyobraźnię wygnańca wypełniają wspomnienia nie tylko opuszczonych miejsc, pozostawionych tam ludzi, wspomnienia często blahych wypadków, które z oddalenia nabrały ważności. Wyobraźnię tę wypełniają również wspomnienia słów, słyszanych jedynie przed wygnaniem. Takie słowa nawiedzają pisarza jak cienie. Po pewnym czasie cienie te zaczynają żyć własnym, cieniowym życiem, stając się mitami. Każdy pisarz na wygnaniu posiada cały zapas mitów słownych. Zaczyna też u pisarza, a szczególnie u poety emigracyjnego działać osobliwa magia słów, które w życiu codziennym nic lub prawie nic nie znaczą. I znów proszę pomyśleć o Joyce'ie, który z dala od swojej Irlandii i z dala od Anglii budował całe kosmosy ze słów przez siebie wynalezionych lub po swojemu przetworzonych.

Wspomniany już Cioran zastanawia się nad losem pisarza, który pracuje na wygnaniu w obcym języku. Dochodzi on do takiego wniosku: „Kto porzuca swój język dla innego, zmienia osobowość, dokonywa heroicznego zdrady, zrywając ze swoją przeszłością i do pewnego stopnia ze samym sobą”. Widzi też Cioran dwie formy wyzwolenia dla poety na wygnaniu. Formy te są, jego zdaniem, radykalnie sprzeczne. To — humor i wiara. „Zależnie od temperamentu” powiada Cioran „ulega poeta pobożności lub sarkazmowi”. Nie rozumiemy dlaczego nie można pogodzić humoru z wiarą. Léon Bloy był bardzo wierzącym człowiekiem, a jednak w jego pismach nie brak gorzkiego sarkazmu. Nie widzę też przyczyny, dla której humor mamy pozostawić wyłącznie diabłu. Jedną z fałszywych legend rozpowszechnionych u schyłku XIX wieku było przekonanie, że niebo jest beznadziejnie nudne, piekło zaś — jakimś niezwykle interesującym klubem „intelektualistów”, czymś w rodzaju super-P.E.N.-Klubu. Do rozpowszechnienia tej legendy przyczynił się walcnie G.B. Shaw świetną sztuką pt. „Człowiek i nadczołowiek”. Dla mnie sama nuda jest piekłem.

Nie mogę też podzielić poglądu Ciorana, że wygnanie jest szkołą szaleństwa. Owszem, wszyscy na emigracji jesteśmy z lekka pomyleni, ale niejedyn z nas właśnie na obczyźnie zaczął myśleć rozsądnie, a co się tyczy pisarzy, niejedyn na wygnaniu odnalazł właściwą swoją drogę i stworzył wybitne dzieła, których nie mógłby napisać u siebie w domu. Dość przypomnieć bogaty dorobek emigrantów niemieckich z lat 1933-1945. Nie zawsze wygnanie jest szkołą szaleństwa. Może też być szkołą jasnego i przenikliwego patrzenia na świat. U siebie, w domu, w zgiełku życia publicznego, pisarz napotyka na nieprzewidywalne przeszkody w bezstronnej ocenie tych zjawisk. Czasem bywa współtwórcą tych zjawisk, więc trudno mu być bezstron-

nym. Na obczyźnie dopiero widzi wyraźnie ich kształt i rozpoznaje ich wartość. Tak niekiedy człowiek dopiero w więzieniu czuje się wolny, bo odcięty od wszystkiego, co go na wolności pętało. Jak Guillaume Apollinaire, w samotnej celi paryskiego „Santé” wyraził to w pięknym wierszu „A la Santé”:

„Nous sommes seuls dans ma cellule
Belle clarté Chère raison”

(Pewien niefortunny tłumacz polski przełożył tytuł tego wiersza: „Na zdrowie!”)

Nawet Sartre, gdy szukał „Drogi wolności”, kazał w drugim tomie swego cyklu powieściowego, w „Le Sursis”, jednemu z bohaterów, Mathieu Delarue wołać: *La liberté c'est l'exile et je suis condamné à être libre*. Wszyscy na wygnaniu możemy powtórzyć te słowa, a pisarz emigracyjny, jeśli dobrowolnie nie odda się w niewolę emigracyjnych dekalogów, może z osamotnienia uczynić bazę swej twórczości.

Samotność ostudza pasję, ale też zaostrza spostrzegawczość. Samotność jest cudowną glebą, na której rodzi się zdolność bezczasowego widzenia doczesności.

Ale nie każdy twórca wyrzeka się sławy i nie każdy potrafi zwalczać swą próżność. Winien on jednak uświadomić sobie, że gwiazdą można być tylko na autentycznym firmamencie, a nie na sztucznym. A wygnanie pozwala mu błyszczeć tylko na tle urojonego nieba, lub raczej na tle dekoracji, przedstawiającej niebo.

„How do you spell your name?” Jak pan sylabizuje swoje nazwisko? Takie pytanie wciąż stawiają cudzoziemcowi na obczyźnie. Pisarzowi też. A pisarz na ogół lubi swoje nazwisko, ceni je i uważa, że to nazwisko przynajmniej powinno być znane, jeśli nie jest lubiane lub cenione. Pytanie: „How do you spell your name?” nie sprawia mu przyjemności. Niektórzy uważają je nawet za obelgę. Co prawda znamy pisarzy, których nazwiska zabłysły dopiero na emigracji i dzięki emigracji. Sannemu faktowi wygnania zawdzięczają oni sławę. Z reguły jednak większość pisarzy na wygnaniu ma „status” anonimów i odczuwa to jako „nędzę”. Nie będziemy analizowali tego faktu. Raczej zwrócimy uwagę na dobre strony bezimienności pisarza. Wygnanie i przebywanie tam gdzie jest on mało znany, albo całkiem nieznan, może być dlań doskonałą okazją do porównania własnego sądu o sobie z tym, co pisarz ten prawdę reprezentuje. Może on przede wszystkim porównać swoje dzieła z dziełami wybitnych tubyleców. Taka konfrontacja niejednokrotnie prowadzi do zabójczej megalomanii lub wytworza równie zabójczy kompleks niższości. Na ogół jednak sprzyja właściwemu wartościowaniu. Pomyślmy teraz o roli tych wielkich artystów, którzy zdobili mozaikami bizantyńskie bazyliki, budowali romańskie i gotyckie katedry, a w tych katedrach

stawiali witraże i figury świętych Pańskich i męczenników. Nie tylko my dzisiaj nie znamy nazwisk tych, prawdziwie natchnionych, artystów, ale i oni sami nie liczyli na to, że potomność je odkryje. Pracowali dla samego piękna swej pracy, dla samej — proszę mi wybaczyć — świętości pracy.

Anonimowość dać może twórcy duże korzyści i ma nawet pewien urok. Jakże często pisarze i artyści dopasowują swe dzieła, a także idee do imienia, które zdobyli w świecie dzięki poprzednim pracom. Taka zależność bardzo źle wpływa na ich nowe dzieła. Artysta staje się niewolnikiem własnego imienia. Pracując natomiast „na zasadzie” anonimu, może nie oglądać się wstecz, na to, czego już dokonał, lecz z każdym nowym dziełem może rozpoczynać nowe życie, jak gdyby w stanie dziewictwa. „To forget its creator is one of the functions of the creations” pisał największy dziś może żyjący pisarz angielski E.M. Forster w eseju pt. „Anonymity”. „Jedną z funkcji twórczenia jest to, że twórca zapomina o sobie”. Albowiem: „The poet wrote the poem, no doubt, but he forgot himself while he wrote it and we forget him while we read”. (Niewątpliwie poeta napisał poemat, ale zapomniał o sobie w czasie pisania, tak jak my, czytając poemat, zapominamy o poecie). „It was not the speaker who was in the beginning, but the Word”. (Na początku był nie mówca, lecz było Słowo).

Mówiąc o korzyściach i uroku twórczości bezimiennej nikomu z kolegów i koleżanek, piszących na emigracji, nie zalecam ogłaszania książek anonimowo. Broń Boże! Ale wszystkim kolegom i koleżankom, no i sobie także życzę, by dzieła nasze miały tak szeroki rozgłos, jak „Loreley”, choć nazwisko twórcy tego utworu lirycznego przez dwanaście lat było tabu w jego własnej ojczyźnie.

Ale z drugiej strony to, iż twórczość na wygnaniu nie ma rozległego pola radiacji i musi rezygnować z aury, która niegdyś otaczała nasze nazwiska przeważnie tę twórczość hamuje. Trudno czuć się użytecznym tam, gdzie nas nie potrzebują. Twórcy katedr i witraży wiedzieli, że w tych katedrach będą się modliły tłumy. Nawet szewcem być trudno tam, gdzie ludzie wolą chodzić boso. Szewc, który szyje buty dla imaginacyjnych nóg, może z czasem stracić ochotę do szewstwa i wziąć się do innej roboty. Każdy z piszących emigrantów znalazł się może w podobnym położeniu. Ale nie każdy porzuci swoje szewstwo. Zwyciężyła w nim jakaś iluzja czy nadzieja. Pisarz tworzący bez natychmiastowego rezonansu tworzy na zapas, spodziewając się, że dzieła jego będą rozchwytywane w przyszłości. Tak było z Stendhalem, który w pewnej mierze był również wygnancom w Civita Vecchia. Świadomie ofiarował swą „Pustelnię Parmeńską” — „to the happy few”, nielicznym szczęśliwcom. Dokładnie też przepowiedział lata kiedy go odkryje szersza publiczność i lata, kiedy będzie należycie zrozumiany i oceniony. Niejeden powieściopisarz bez rezonansu, czy to w własnym kraju, czy na wygnaniu, żyje

podobną nadzieją. Ufa, że stanie się nowym Stendhalem. Taki maksymalny stosunek do własnej nadziei nakłada również maksymalne obowiązki. Kto pragnie, żeby go czytano za lat pięćdziesiąt czy sto, musi pisać inaczej niż autor folgujący chwilowym upodobaniom.

Nie wiemy jak będzie wyglądał świat czytelników za lat pięćdziesiąt czy sto. Liczymy wszakże na to, że i wówczas będą jeszcze ludzie wrażliwi na pewne bodźce moralne, estetyczne, a może i religijne. Tak, jak my dzisiaj, mimo błyskawicznie postępującej barbaryzacji nie straciliśmy jeszcze wrażliwości na tzw. ogólnoludzkie sprawy i pozaczasowe, czy też ponadczasowe wartości, przekazane nam w literaturach starożytnych, czy w pismach z XV, XVI lub XVII wieku. W XXII stuleciu może już ludzie nie będą grali w football. Tragedia futbolisty będzie wówczas atrakcją dla czytelnika tylko wtedy, gdy w niej znajdzie „czysto ludzkie” elementy, niezależne od samej gry w piłkę nożną. Żaden generał nie zdobywa dziś oblężonych miast przy pomocy drewnianych koni, w których brzuchu siedzą uzbrojeni żołnierze. A jednak nawet w erze atomowo-wodowej interesują nas dobrze opowiedziane dzieje tamtego oblężenia. Oto jest wdzięczna pokusa dla pisarza na emigracji. Oto blaski wygnania. Możemy szyć buty dla nóg, które za sto lat dopiero będą deptały ziemię. Nb. jeśli będzie jeszcze co deptać.

Ale czas kończyć. Wróćmy do tego, od czegośmy zaczęli te luźne dywagacje. Jeżeli, jak chce autor „Salve Regina” życie nasze na ziemi jest wygnaniem, musieliśmy na to wygnanie przynieść z sobą jakieś mgliste pojęcia o rajach utraconym dzięki naszym grzesznym rodzicom. Wśród grozy życia i piekła na ziemi raz po raz odzywa się w nas nagle tęsknota do czegoś, co nie jest piekłem, ani grozą, ani wygnaniem. Kto wie, czy misją pisarzy i artystów nie jest wychwytywanie i postaciowanie tych właśnie tęsknot i przeczuć.

Sądzę, że pracując na wygnaniu, mniej lub bardziej anonimowo, możemy zbliżyć się do tych artystów, którzy w średniowieczu przygotowywali duszę człowieka do innego, już nie wygnańczego bytu. Do takiego, gdzie nikt nikogo nie pyta: How do you spell your name?

Józef WITTLIN

Nowości

BIBLIOTEKI " KULTURY "

TOM XLIV

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

Przelożył z rosyjskiego Paweł HOSTOWIEC
Wiersze w przekładzie JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

JUŻ JEST NA WYCZERPANIU

Cena egzemplarza frs 1750 (sh. 25, dol. 4,00)

TOM XLII

MAREK HŁASKO

HŘBITOVY

(Gmentarze)

W przekładzie K. BENY na język czeski

Cena egzemplarza frs 750 (sh. 11, dol. 1,50)

Swoi i obcy (1)

(Z CYKLU „ŻYDZI W KULTURZE POLSKIEJ”, II)

I

Przekonanie, że Żydzi są czymś obcym, a przynajmniej różnym czy odmiennym, przeważało wśród tych ideologów i pisarzy, którzy od początku wieku XIX uwagę poświęcali sprawie Żydów w Polsce. Przeważało ono po stronie polskiej i po stronie żydowskiej; wśród Polaków odnoszących się do Żydów niezyczliwie i wśród Polaków, którzy w Żydach widzieli materiał na wartościowych obywateli kraju; przeważało ono wśród Żydów-asymilatorów i wśród Żydów-nacjonalistów. Były to poglądy elity intelektualnej, ludzi myślących i piszących. W jakim stopniu odpowiadały one postawom, ocenom i odczuciom najszerzych mas społecznych — polskich i żydowskich?

Nie popełni się chyba błędu, przyjmując, że w bardzo znacznym stopniu zachodziła zgodność między refleksjami ideologów i ocenami szerszego ogółu. Ideologie te nie były spekulacjami oderwanymi od życia. Opierały się na pewnych faktach, na pewnych doświadczeniach zbiorowych. Jak to zazwyczaj bywa, ideologie te były racjonalizacją nastrojów szerszego ogółu. Nastrojom tym dawały jakieś sformułowanie, jakiś logiczny wyraz, i je uzasadniały. Z drugiej zaś strony w ten czy inny sposób, bezpośrednio czy pośrednio, wpływały na te nastroje, jakoś je kształtowały, szukały dla nich racjonalnego ujęcia.

Nigdy jednak nie zachodzi doskonała zgodność między ideologami a postawami i nastrojami wielkich zbiorowości ludzkich. Każda ideologia — już przez to samo, że jest racjonalizacją — musi zawierać w sobie element uproszczenia, redukcji, musi być skrótem logicznym. Dąży ona do uniknięcia

sprzeczności wewnętrznych i — choć rzadko jej się to udaje — stara się być jak najbardziej jednolitą i zwartą. Przynajmniej na powierzchni, w swym wyrazie zewnętrznym. Dopiero bardziej sumienna analiza potrafi wydobyc sprzeczności wewnętrzne i faktyczne błędy ideologów. Na oko jednak wszystko tu jest gładkie i proste.

Zupełnie inaczej wygląda sprawa tego, co zwykliśmy określać jako postawy i nastroje ogółu, jego reakcje, oceny i odczuwania. Niewątpliwie i tu poważną rolę odgrywają racjonalizacje. Każdy z nas szuka jakiegoś logicznego czy pseudologicznego uzasadnienia dla swych odczuwań, reakcji, przekonań. Prawie stale uzasadnienia te mają postać stereotypowych sformułowań, branych z tradycji, zapożyczanych od zawodowych ideologów, od wszystkich tych, których uważamy za autoritety. Najczęściej też racjonalizacje takie przyjmujemy na wiarę, mało dbając o sprawdzenie ich logicznej czy empirycznej podstawy. Ważne jest to, że dają nam poczucie pewności w naszych ocenach i stosunkach z innymi ludźmi. Taką też rolę spełniają te różnorodne filozofie życiowe, które tak często uważamy za mądrość narodów.

Wszystkie te racjonalizacje, którymi stale się posługujemy w naszym życiu codziennym, nie silą się na usunięcie tych różnorodnych sprzeczności, jakie normalnie cechują postawy i nastroje zarówno każdego z nas jak i całych zbiorowości. Człowiek, nawet wtedy gdy motywem swym, postępowaniu swemu i swym ocenom usiłuje nadać postać racjonalną, jest przede wszystkim istotą emocjonalną, pełną sprzecznych uczuć i reakcji. Rzadko też kiedy sam sobie z tych sprzeczności zdaje sprawę. W każdym razie jego stosunek do innych ludzi, do samego siebie, do świata wszelkich wartości jest wybitnie ambiwalentny. A równocześnie momenty magiczne w myśleniu, odczuwaniu i działaniu dzisiejszego człowieka odgrywają rolę nie mniejszą od tej, jaką odgrywały w życiu naszych odległych przodków. Różnica jest jedynie w formach, w wyrazie na zewnątrz, w stereotypowych racjonalizacjach, jakich się przy tym używa. Choć jeżeli chodzi o te ostatnie, to wiele z nich zachowało swą świeżość sprzed stuleci czy nawet tysiącleci!

O wszystkich tych momentach należy dobrze pamiętać, gdy rozpatrujemy zachowania się ludzkie. Albowiem wszystkie te momenty w jakimś stopniu decydują o stosunkach międzyludzkich i mają zasadnicze znaczenie, gdy chodzi o ustosunkowanie się każdego z nas do tych spośród nas, których uważamy za różnych od nas i za obcych. Bez względu na to, jakimi racjonalizacjami się tu posługujemy, to, co decyduje o naszym zachowaniu się, ma zazwyczaj bardzo mało wspólnego z trzeźwą obserwacją i myślą logiczną.

Takie oto są okoliczności, które musimy stale mieć w pamięci, rozpatrując miejsce Żydów w Polsce i ich rolę w kulturze polskiej. Okoliczności takie muszą być zresztą stale w pamięci każdego, kto zajmuje się stosunkami między różnymi

grupami etnicznymi czy kulturalnymi w każdym kraju i w każdej epoce. Stosunki polsko-żydowskie, choć uwarunkowane przez swoiste właściwości życia polskiego, zawierały jednak w sobie pewne zasadnicze elementy ogólnoludzkie, dające się w takiej czy w innej postaci zauważyć na całym świecie.

II

Każdy z nas jest różny od drugiego pod jakimś względem. Zachodzą wszelkiego rodzaju różnice obiektywne w naszym wyglądzie, zachowaniu się, sposobie noszenia się, w języku, w przekonaniach itp. Olbrzymia jednak ilość tych różnic nie narzuca się naszej uwadze, albo, jeżeli się narzuci, to jest po prostu zarejestrowana jako rzecz bardzo zwykła, powiedzmy — naturalna. Rejestrując takie różnice, bynajmniej tym samym nie przypisujemy ludziom, w których je zauważamy, cechy obcości. W obrębie tej samej rodziny, w obrębie rodzeństwa mogą zachodzić duże różnice zewnętrzne i wewnętrzne. Niemniej jednak w obrębie tej rodziny może panować doskonała harmonia, wzajemne przywiązanie i miłość. W życiu erotycznym właśnie różnice i kontrasty mogą najsilniej pociągać. Odrębność wyglądu, odrębność charakterów może tu być właśnie punktem wyjściowym dla powstania silnej więzi międzyludzkiej.

Łatwo więc daje się zauważyć, że stwierdzenie różności bynajmniej nie jest identyczne ze stwierdzeniem obcości. Można być różnym ode mnie, ale niemniej być dla mnie bardzo swoim. Inaczej jednak sprawa wygląda, gdy kogoś odczuwamy jako obcego. W tym wypadku z reguły powołujemy się na to, że ów obcy jest pod jakimś jednym czy wieloma względami od nas różny i że różność ta jest tak zasadnicza i uderzająca, iż pociąga za sobą wytworzenie się w nas poczucia obcości w stosunku do owego człowieka czy całej grupy.

Są to postawy i oceny niezmiernie pospolite, właściwe każdemu z nas. Niekiedy je racjonalizujemy, najczęściej przyjmujemy je jako coś oczywistego i nie wymagającego uzasadnienia. X jest zasadniczo różny ode mnie i dlatego muszę go odczuwać jako obcego.

Różność ta może być odczuwana bardzo ostro, jako coś całkowicie sprzecznego z tym, co uważamy za specyficznie nam właściwe. Co więcej, możemy w niej widzieć groźbę dla siebie, niebezpieczeństwo dla własnego istnienia i dlatego, co uważamy za szczególnie cenne. X może być tak dalece od nas różny, że jego istnienie zagraża mojemu istnieniu, że on i ja razem się nie mieścimy. W tym wypadku różność będzie podstawą odczuwania nie tylko obcości, ale i wrogości. Do takiego obcego ustosunkowujemy się bardzo niezyczliwie, antagoniście.

Zresztą jakaś — choćby drobna — doza zachowania się antagonistycznego cechuje nasze ustosunkowania się do wszelkiego obcego. Nawet w tym wypadku, gdy stosunek nasz do niego jest pozbawiony emocjonalnego zabarwienia, gdy do obcego odnosimy się obojętnie. Sama ta obojętność świadczy o braku zaufania, o jakiejś dozie nieżyczliwości. Aby mieć do kogoś pełne zaufanie, musimy przestać uważać go za obcego. To nie oznacza, byśmy zawsze i bezwzględnie ufali tym, których uważamy za swoich. Ale obcy, przez to samo już że jest dla nas obcym, wywołuje w nas poczucie dystansu, niepewności, nieufności. To zaś łatwo może się przerodzić w otwarty antagonizm, we wrogość.

Wszędzie też tam, gdzie w stosunkach międzyludzkich zaznacza się postawa wrogości i stosunki te determinuje, wszędzie tam istnieje obojętność. Niekiedy poczucie obojętności rodzi wrogość, ale niekiedy wrogość rodzi obojętność. Skłócenie członkowie tej samej rodziny, skłócenie małżonkowie, kochankowie, przyjaciele stają się sobie obcymi. Ciągłe mówimy o ludziach, którzy się „wyobcowali” z naszego życia czy naszego środowiska.

Pamiętajmy jednak, że poczucie obojętności nie koniecznie musi iść z wyraźnym antagonizmem. Ta doza antagonizmu w stosunku do przypadkowego obcego, wynikająca z braku zaufania czy z niepewności, może być bardzo niewielka. Sprowadza się ona raczej do braku zainteresowania dla osoby obcej i jej spraw, do obojętności z naszej strony, do neutralności w naszej ocenie obcego. Dla Polaka Gwatemalańczyk jest obcym. Ale nie jest przedmiotem jego nieżyczliwości. Może mu być doskonale obojętny. Ostatecznie cóż Polak wie o Gwatemalańczyku? Ten jest całkowicie poza obrębem życiowych doświadczeń Polaka. Jest jakąś nazwą, symbolem czy cieniem. W życiu codziennym olbrzymia ilość „obcych” jest dla nas tylko cieniami, symbolami, figurami, które — jeżeli bezpośrednio się z nimi stykamy — przechodzą koło nas bez zwrócenia na siebie uwagi i szybko giną z naszej pamięci.

W rzeczywistości jednak sprawa nie wygląda tak prosto, jak by to wynikało z naszego dotychczasowego przedstawienia. W praktyce życia codziennego rzeczy te nie wyglądają tak prosto ani tak jednolicie. Jak wszystko co ludzkie, są one pełne sprzeczności, niekonsekwentne i — gdy chodzi o przełamywanie się ich w świadomości ludzkiej — ambiwalentne.

Zacznijmy od różności. Aby stwierdzić, że X jest różny ode mnie, muszę tę różność zauważyć. Inaczej — musi to być różność, która narzuca się mojej uwadze w sposób wystarczająco silny i przekonywujący. Jakaż to ma być różność, co sprawia, że mi się ona narzuca, w jakich warunkach to następuje?

Otóż tu wszelkie formułki zawodzą i żadne ustalone kryteria nie mają zastosowania. Albowiem różność „obiektywna” i różność „subiektywna” są czymś zupełnie od siebie odmiennym.

Weźmy za punkt wyjściowy różnice w wyglądzie zewnętrznym — więc to, co nam się powinno najsilniej i od razu narzucać. Pod względem wyglądu fizycznego ludzie bardzo różnią się między sobą: X jest wysokim blondynem, Y — niskim brunetem, Z jest gruby i rudowłosy, N — chudy i łysy. Widzimy te różnice, zdajemy sobie z nich sprawę, mówimy o nich. Czy jednak są one zawsze odczuwane jako różnice? To znaczy, że X jest świadomy tego, iż wyglądem swym różni się od Y, Z i N, ale nie przypisuje tej różnicy istotnego znaczenia, nie odczuwa jej jako różnicy. Słowem — „różnica” nie zawsze oznacza to samo. „Różnica” może być jednocześnie dostrzegana i zupełnie ignorowana, po prostu — nie widziana. Jeżeli X, Y, Z i N są przyjaciółmi, członkami tej samej rodziny, uczestnikami tego samego bliskiego zespołu itp. — odrębności wyglądu są przez nich ignorowane. Dostrzegane jest natomiast tylko to, co ludzi tych łączy ze sobą.

Dobrze — ktoś powie. Ale w tym wypadku chodzi o ludzi tej samej rasy, o ludzi, których odrębności fizyczne mieszczą się w obrębie pewnych zasadniczych cech, wyznaczających fakt wspólnoty rasowej. Z miejsca więc nie możemy uniknąć zagadnienia rasy. Zwłaszcza gdy żyjemy w epoce, w której w imię rasy popłynęło morze krwi. I choć na temat błędów i absurdów teorii rasowych powiedziano wszystko, co należało powiedzieć, sprawie tej kilka uwag musimy tu poświęcić.

III

„Rasa” jest konstrukcją schematyczną, którą posługuje się antropolog przy klasyfikowaniu typów fizycznych istoty zwanej homo sapiens. Typ rasowy oznacza stwierdzenie faktu zbieżności pewnych cech anatomicznych człowieka. Sprawa doboru tych cech jest przedmiotem dyskusji. Dla celów klasyfikacji można przyjąć zbieżność czy powtarzalność takich lub innych cech. Wiemy poza tym, że „czysty” typ rasowy jest fikcją teoretyczną. W praktyce — przyjmujemy, że nastąpiło to w wyniku tysięcy krzyżowań — wytworzyły się różnorodne kombinacje cech antropologicznych. W pewnych populacjach kombinacje te mogą występować wyraźniej, w innych — mniej wyraźnie. Nigdzie jednak nie występują one tak wyraźnie jak np. w wypadku sztucznie wyprodukowanych ras psów, kotów czy koni.

Antropologii nie jest znana „rasa” żydowska. Ani — „rasa” semicka. Zresztą „semicki” oznacza grupę językową i nie ma nic wspólnego z antropologią. Mówić o „rasie” semickiej oznaczałoby to samo, co mówić o „rasie” ludzi mówiących po angielsku. Żydzi wszędzie są kombinacją różnych elementów rasowych, przy czym wśród Żydów polskich typ „nordycki” bynajmniej nie należał do rzadkości. W Polsce

tw. cechy „armenoidalne” i „śródziemnomorskie” były uważane za swoiście żydowskie i je zazwyczaj miano na myśli, mówiąc o „typie” żydowskim. W amerykańskim tyglu narodów, gdzie cechy te są pospolite wśród Włochów, Hiszpanów, Greków, Ormian, Arabów itd. bez końca, nikt ich specyficznie nie przypisze Żydom.

Wszystkie próby ustalenia jednolitego typu rasowego żydowskiego — na te niebezpieczne wody puszczali się i sami Żydzi — były bezapelacyjnie odrzucane przez poważną naukę. Nie miało to oczywiście wpływu na mitologię społeczną, która niezmiernie serio traktowała „rasę” żydowską. Jak serio — o tym najlepiej świadczą takie miejsca, jak Majdanek i Bełżec.

Od dawna robione były próby ustalenia związków między „rasami” fizycznymi a cechami psychicznymi, socjalnymi i kulturalnymi istot ludzkich. Długi szereg teorii pseudonaukowych i filozofii politycznych powstał na takim tle. Nauce jednak związki takie nie są znane. Co najwyżej zauważano, że pewne dyspozycje psychiczne mogą być bardziej wyraźne w obrębie jednego typu antropologicznego niż w obrębie drugiego. Ale i to były stwierdzenia ogólnikowe, bardziej o charakterze hipotetycznym niż kategoriowym. Rasizm naukowo jest absurdem, który w faktach obiektywnych nie ma dla siebie uzasadnienia. Ze absurd ten stał się wyrazem wiary milionów ludzi, że stał się źródłem cierpień i zagłady dla milionów innych ludzi — to sprawa zupełnie inna. Szaleństwo człowieka jest bezgraniczne i racjonalne myślenie, rzetelne poznanie bardzo rzadko ma jakiś większy wpływ na postawy istot ludzkich i na ich działania.

Niemniej jednak musimy przyjąć, że rzucające się w oczy właściwości antropologiczne są podstawą naszego różnicowania istot ludzkich i że prowadzą do definiowania tych istot jako od nas różnych i nam obcych. Taką szczególnie narzucającą się uwagę właściwością jest kolor skóry. W tym wypadku mówi się nawet o różnicach „naturalnych”, takich, co do których nie można mieć wątpliwości, oczywiście dla każdego.

Zagadnienie koloru skóry ma zasadnicze znaczenie w krajach takich jak Stany Zjednoczone, Afryka Południowa i wszystkie kolonie. We wszystkich tych krajach kolor skóry jest jedną z najważniejszych podstaw różnicowania ludzi. I właśnie w tych krajach uważa się to za różnicowanie „naturalne”, płynące z samej natury rzeczy. Różnorodne doktryny teologiczne i teorie filozoficzne uzasadniają naturalność takiego różnicowania i stoją na jego straży. „Gdyby Bóg nie chciał tego, nie stworzyłby Murzynów i nie uczyniłby ich takimi jakimi są” — głosi niezbyt logicznie, ale wysoce autorytatywnie doktryna popularna, na Południu Stanów Zjednoczonych. Jak jednak w rzeczywistości jest z tą „naturalnością”?

Synek moich przyjaciół miał ciągle kłopoty z jednym ze swych kolegów szkolnych. Matka ciągle słyszała skargi. Bruce jest taki a taki. Bruce zrobił dziś takie czy inne świństwo.

Przez całe lata ciągle była mowa o podłościach owego Bruce'a. Aż przypadkowo i nie od swego synka matka dowiedziała się, że Bruce jest Murzynem. Osoba wolna od przesądów, delikatnie zapytała się o to swego syna. Ten wzruszył ramionami! „Tak, no to co?” i, przeszedłszy w ten sposób do porządku dziennego nad kolorem skóry Bruce'a, wrócił do jego podłości.

Było rzeczą oczywistą, że kolor skóry Bruce'a nie zarejestrował się w umyśle białego chłopca. Zresztą wśród swych najbliższych przyjaciół miał on Murzynów. W szkole nowojorskiej — wszystko to działo się w New Yorku, a nie na Południu — nie mogło być inaczej. Reakcja mojego młodego przyjaciela nie oznaczała, że kolor skóry nie był przez niego „obiektywnie” zauważany, tak jak był zauważany kolor włosów, oczu, cera, wzrost czy tusza innych chłopców o jasnej czy ciemnej skórze. Ale „subiektywnie” rzeczy te nie były rejestrowane, nie służyły za podstawę dla jakiejś klasyfikacji, dla jakiegoś podziału czy różnicowania. O „naturalnym wstręcie” do obcej rasy — o czym tak wymownie prawią rasiści — nie było tu mowy.

Otóż przykład, który pozwoliłem sobie przytoczyć, ma absolutne potwierdzenie we wszystkich bez wyjątku badaniach, jakie były prowadzone wśród dzieci amerykańskich na całym obszarze kraju, włączając w to i Południe. Dziecko nie rejestruje faktu odrębności rasowej, nie zauważa go. Następuje to później pod wpływem otoczenia dorosłych, gdy dziecko dojrzewając i wchodząc w życie, przejmuje system wartości, obowiązujący w danej cywilizacji. Jeżeli system ten opiera się na różnicowaniu ludzi według koloru skóry, różnice w wyglądzie będą niezwłocznie dostrzegane i staną się podstawą odpowiednich klasyfikacji społecznych.

Będzie jednak inaczej, jeżeli panujący system wartości nie zna takich różnicowań, lub tam gdzie są one bardzo słabe. W tym wypadku istniejące i obiektywnie zauważane różnice zewnętrzne nie będą dostrzegane „subiektywnie”, jako coś istotnego, silnie narzucającego się uwagę i pociągającego za sobą zasadnicze wnioski praktyczne.

Tak jest np. w wielu republikach Ameryki Łacińskiej, włączając w to nawet Brazylię. Niewątpliwie i tam istnieje pewien snobizm rasowy, zwłaszcza w środowiskach „wyższych”, o tradycjach arystokratyczno-hiszpańskich. Jako przykład może tu posłużyć Peru. Ale w szerszych masach społecznych, gdzie przemieszania rasowe zachodzą od stuleci, odrębności rasowe nie są rejestrowane i nie prowadzą do poważniejszych konsekwencji społecznych.

To samo da się powiedzieć o całym szeregu wielkich cywilizacji, w których odrębności koloru skóry nie były czy nie są dostrzegane. Nie mam wrażenia, by były one dostrzegane np. w Portugalii. Nie są one mocno dostrzegane we Francji. W przeszłości nie były one zupełnie dostrzegane w świecie cywilizacji muzułmańskiej. W całej historii tej cywilizacji nie znaj-

dujemy faktów dyskryminacji rasowej, nie znajdujemy dowodów, by różnice rasowe były tam w ogóle dostrzegane. Wyznawcy Allaha i Jego Proroka należą do tego samego zespołu, bez względu na różnice w swym wyglądzie zewnętrznym.

Wszystko też przemawia za tym, że różnice te nie były rejestrowane w późnym Cesarstwie Rzymskim, gdy objęło ono ludy wszelkich ras i wszelkiego wyglądu. Ludzie o czarnej skórze byli wśród najwyższych postawionych Rzymian i tylko przez implikację domyślamy się, że skóra ich była czarna czy też bardzo ciemna. I znów przez implikację możemy przyjąć za prawdopodobne, że Tertullian i Św. Augustyn nie mieli białej skóry. Współcześni jednak nie zdawali się zwracać zbytnej uwagi na wygląd zewnętrzny wielkiego biskupa Hippony.

Sprawa koloru skóry i w ogóle wyglądu „rasowego” występuje szczególnie interesująco na tle tzw. „passing”. W Stanach Zjednoczonych ma się tu na myśli mieszanców, w których pierwotne cechy murzyńskie uległy takiemu zatarciu, że ludzie ci zaczynają uchodzić za białych. Ale „passing” da się odnieść i do innych wypadków. W Polsce, w Niemczech, na Węgrzech można było mówić o „passing” w odniesieniu do ludzi żydowskiego pochodzenia, o których „niearyjskości” nikt nie wiedział. Ludzie ci nosili nazwiska „aryjskie”, byli chrześcijanami, mową, obyczajem, wyglądem zewnętrznym nie różnili się od innych. I „plamę” swego pochodzenia — jeżeli w ogóle byli jej świadomi — trzymali w głębokiej tajemnicy. Ustawodawstwo norymberskie wykazało, że ludzi takich było nie mało.

Sinclair Lewis powieść swoją „Blood Royal” oparł na zagadnieniu „passing’u”. Bohater powieści, grzebiąc się w jakichś starych papierach rodzinnych, przypadkowo odkrywa, że jednym z jego przodków był Murzyn. Nie jest więc białym, jest mieszancem, jest „colored”. Mógłby tę tajemnicę ukryć. Ale jest człowiekiem uczciwym, nie chce innych oszukiwać. I nie chce oszukiwać samego siebie. Prawda o przodku odkryła w nim inną prawdę — naraz poczuł w sobie „murzyńskość”. A więc tajemnicę przodka odkrywa swej rodzinie. Wstrzas jest tu szalony. Rodzina błaga go, by prawdę pochodzenia zatrzymał dla siebie. Błaga i grozi. Ale bohater powieści nie ustępuje. Rodzina go się wyrzeka, przyjaciele porzucają, traci swą pozycję społeczną, jest wyobcowany ze środowiska białych. I przechodzi do świata murzyńskiego. Tu znajduje jakieś miejsce dla siebie.

Niewątpliwie powieść ta operuje daleko posuniętymi uproszczeniami. Nawet na Południu próbuje się ignorować „passing”, który miał miejsce przed wieloma pokoleniami. Ale nie w tym jest istota zagadnienia, poruszonego przez amerykańskiego pisarza. Chodzi o to, że z tą chwilą, gdy ogół dowiedział się o pochodzeniu bohatera, zaczęto naraz dostrzegać cechy murzyńskie — fizyczne i duchowe. Co więcej, on sam w sobie te cechy zaczął zauważać. Skoro jest pochodzenia murzyńskiego, musi odpowiadać temu, czego od Murzyna się

oczekuje. Musi być różny od białych, musi mieć określone właściwości antropologiczne, określone właściwości psychiczne, określony sposób zachowania się. Rzeczy te nie były dostrzegane, nie były rejestrowane, zanim tajemnica nie została odkryta. I nie ulega wątpliwości, że obiektywnie nigdy nie istniały. Ów przodek murzyński był pradziadkiem i wysoce nieprawdopodobne, by mógł w swych potomkach zostawić jakieś ślady antropologiczne, które by odbiegały od typu np. europejskiego Śródziemnomorca. Różnice, które zaczęto dostrzegać, były subiektywnym wkładem otoczenia, które Murzyna odpowiednio zaklasyfikowało. A i nowokreowany „Murzyn” przyjął na siebie od razu technikę postępowania i zachowywania się wobec białych i czarnych, jaka jest zgodna ze wzorem Murzyna w Stanach Zjednoczonych.

Analogiczne zjawiska i postawy są doskonale znane w wypadku „passingu” Żydów w Polsce i wielu innych krajach Europy Wschodniej i Zachodniej. Dopóki tajemnica żydowskiego pochodzenia Pana X była ogółowi nieznaną, dopóty w Panu X nie dostrzegano cech, świadczących o jego żydowskim pochodzeniu. Z chwilą jednak, gdy tajemnica ta przestała być tajemnicą, niezwłocznie zaczynano dostrzegać odrębność wyglądu rasowego, swoistość języka, właściwości psychiczne i obyczajowe. W takich to wypadkach z reguły można było słyszeć powiedzenie: „Aha, Żyd. Nie dziwię się. Zawsze podejrzewałem, że jest w nim coś nie w porządku”. I ludzie, którzy to mówili, naprawdę w tym momencie wierzyli, że zawsze w X znajdowali coś nie w porządku.

Musimy więc stwierdzić bardzo wyraźnie: moment subiektywny, moment socjopsychiczny ma decydujące znaczenie w dostrzeganiu i ocenianiu przez nas różnic zewnętrznych, nawet gdy zachodzą one obiektywnie. W wielu wypadkach różnice takie są widziane oczyma, ale nie umysłem. Nie są rejestrowane jako coś istotnego, jako coś, co może być podstawą rozróżnienia społecznego, społecznej kategoryzacji czy klasyfikacji. Ale zarazem są dostrzegane i oceniane różnice, które bądź obiektywnie nie istnieją, bądź też w innych warunkach nie narzuciłyby się uwadze. Są one dostrzegane wtedy, gdy w wyniku pewnych społecznie przyjętych założeń oczekuje się, że muszą one istnieć i zaznaczać się.

Na temat tego zagadnienia można by powiedzieć nieskończenie więcej. W rzeczywistości zachodzą tu różne odchylenia. działają momenty niepewności i nieufności do własnych obserwacji. Zasadniczo jednak mechanizm zachowania się jest jednolity: dostrzega się różnice wtedy, gdy obowiązujące konwencje i przekonania zbiorowe nakazują, by były one dostrzegane. Dostrzega się je wtedy, gdy powinny być dostrzeżone lub gdy oczekuje się, że powinny one wystąpić.

(Dokończenie nastąpi)

Aleksander HERTZ

Tom XXXVII BIBLIOTEKI " KULTURY "

JURIJ ŁAWRYNENKO

ROZSTRZELANE ODRÓDZENIE

1917-1934

Antologia w języku ukraińskim

POEZJA-PROZA-DRAMAT-ESSEJ

*Wybór utworów czołowych pisarzy ukraińskich
zakazanych na Ukrainie.*

Tom objętości 1.000 str. w oprawie

Cena egzemplarza frs 3.000 (\$ 6,00; £ 2.04.00)



ЮРІЙ ЛАВРІНЕНКО

РОЗСТРІЛЯНЕ ВІДРОДЖЕННЯ

1917-1934

АНТОЛОГІЯ

створених і заборонених в Україні липших аразків

ПОЕЗІЇ - ПРОЗИ - ДРАМИ - ЕСЕЮ

також

40 літературних силвет

умішених в антології авторів, написаних упорядником
антології.



Вийшов великий том на 1000 сторінок в оправі:

Цена: 3000 Фрс., 6 дол., £2.04.00.

Fragmenty z dziennika

Poniedziałek

Kilkanaście stron wchłonąłem z wielką satysfakcją, że taki inteligentny i, brawo, tak mnie czytał, tak zna drobne nawet zakamarki mojego dorobku, ach, krytyk który czyta, ależ to rzadkość! (Mowa o studium „Problematyka Ślubu Gombrowicza”, które napisał Andrzej Falkiewicz — ukazało się w kraju). Jednakowoż im dalej w las tym większy gąszcz — i pod koniec eseju Falkiewicza chwilami gubiłem się. Ja, o którym mowa, ja, któremu teren powinien być znany... A inni?

To kłopotliwe... zwłaszcza że nie można tego zwalić w tym wypadku na nieudolność krytyka, bardzo wnikliwego, rzetelnego, o niecodziennej subtelności... Skądże więc takie nieporozumienie? I gdybyż nie było ono jednym z wielu! Ale ileż razy zdarzyło mi się to samo z innymi krytykami — i myślę, że to dowodzi nie tyle nieumiejętności krytyków, ile spaczenia samej krytyki, tej w szczególności, najtrudniejszej, dotyczącej literatury stającej się dzisiaj, czyli literatury jutra „nowoczesnej”. Uważam nawet, że sytuacja jest groźna, że trzeba koniecznie coś zmienić w metodzie, czy w nastawieniu, czy bo ja wiem w czym — i że staje się nieodzowne pewne novum, dotychczas niepraktykowane, mianowicie współpraca omawianych autorów z krytykami... może to zdoła wyciągnąć wóz z trzęsawiska?

Albowiem dotąd autor, choć żywy, musiał udawać umarłego. Byłem obecny kiedyś przy zażartej dyskusji Kotta — czy nie z Breiterem? — na temat „co chciał powiedzieć” X w swoim ostatnim utworze. Ciskali w siebie cytatami. Zapropnowałem, żeby go zapytali przez telefon i nawet dałem im numer. Zamilkli, a po chwili zaczęli rozmawiać o czym innym — gdy problem został zredukowany do telefonicznego zapytania, przestał ich interesować.

Wracając do Falkiewicza — jeśli on, według mnie, nie ze wszystkim dobrze rozumiał „Ślub”, jaka jest przyczyna tej rozbieżności? Czyż nie ta, że z punktu, niecierpliwie, zapragnął zrozumieć zanadto głęboko? Krytykom nowoczesnej, najtrudniejszej, sztuki trzeba poradzić żeby nie byli z miejsca za głębocy — żeby byli na początku płytki, a dopiero stopniowo i bardzo ostrożnie zanurzali się w poszukiwaniu dna. Idzie mi o to: każdy utwór literacki dzieje się na rozmaitych planach, bliższych i dalszych, naprzód musi ta historia „wzruszyć, zabawić, rozśmieszyć”, potem nabiera rozmaitych „głębszych znaczeń”, a dopiero w ostatnim swym sensie staje się (jeśli zdoła) przepaścista, zawrotna i czasem szalona. Trzeba ustanowić zasadę — i przestrzegać jej — że o głębszych aspektach sztuki nowoczesnej można mówić dopiero po opanowaniu tych bardziej doraźnych, łatwiejszych, tych które łączą ją z dawniejszą sztuką.

Falkiewicz zbyt pośpiesznie chyba jął zaglądać za kulisy zaniebawił przyjrzeć się wprawdzie dokładniej temu co dzieje się na scenie. Nie ma racji mówiąc, że fabuła „Ślubu” jest „niejasna i niekonsekwentna” — wręcz przeciwnie. Cóż dziwnego w fakcie, że sen (będący wyładowaniem dziennych niepokojów) ukazuje Henrykowi ruinę i poniżenie rodziców, narzeczonej, domu rodzinnego? Czyż jest takie dziwne, że w śnie tym, karczemnym, jawią się Pijacy i że ci Pijacy poczynają prześladować Ojca, gdy on im zabrania dobrać się do Mani? Czy nie jest logiczne i w zgodzie z sytuacją, że Ojciec, oszalały z przerażenia, ogłasza się — aby ująć dotknięciu Pijaka — „Nietykalnym Królem?” A to iż Henryk we śnie swoim czuje, że od niego samego zależy, czy ten cud się utrzyma, czy też pograży się w farsę — czyż nie jest uczuciem nawiedzającym nas w niejednym śnie? Nie jest że więc zrozumiałe jego szamotanie się między Mądrością a Głupotą na początku 2-go aktu? I jego nowe zmaganie się z Pijakiem, który jeszcze raz wkracza ze swoim Palicem aby „dudtknąć” króla, a potem i Manię? Lecz oto Pijak, widząc, iż nie zdoła przemoc Henryka w otwartej walce, zmienia taktykę, proponuje żeby „mądrze pogadać” na boku — wskutek czego scena przeistacza się w dworskie, dyplomatyczne, przyjęcie (nigdy nie zdarzyła się wam we śnie taka zmiana scenerii?) A, w dalszym ciągu czyż nie jest kulminacją procesu psychicznego, już w pierwszym akcie zapoczątkowanego, iż wzrastające wątpliwości Henryka odnośnie do królewskości tego króla doprowadzają w coraz mętniejszej atmosferze pijaństwa do zamachu stanu? Gdy zaś, uciekając się do nowych sposobów, Pijak wzbudza w nowym królu zazdrość o Władzia — czyż nie jest on konsekwentny w swym dążeniu do uniemożliwienia ślubu i „dobrania się” do Mani?

Ślub, jakiego Henryk chce udzielić sobie w trzecim akcie, jest jak słusznie pisze Falkiewicz konsekwencją tej jego myśli, że nie Bóg stworzył człowieka a człowiek Boga. Ten ślub

„w kościele ludzkim”, zastępujący poprzedni „w kościele boskim”, to główna metafora dramatu. Gdy nie ma Boga, z ludzi — lub raczej między ludźmi — rodzą się wartości. Ale panowanie naszego bohatera nad ludźmi musi stać się rzeczywiste — dlatego potrzebna jest Henrykowi śmierć Władzia, dlatego rozkazuje uwolnić rodziców i Pijaka aby zmierzyć się z nimi w ostatecznym starciu. I tutaj załamuje się...

Czy ta akcja tak trudna do wydobywania z tekstu? Zapewne, ja sam nie jestem bez winy. We wstępie („Idea dramatu”) napisałem: „Wszystko tu bez przerwy „stwarza się”, Henryk stwarza sen a sen Henryka, akcja też stwarza się nieustannie sama, ludzie stwarzają się wzajemnie i całość prze naprzdę ku nieznanym rozwiązaniom”.

Jak trzeba uważać! Teraz wiem, że to niedokładne sformułowanie uwodzi na manowce. Pisząc o stwarzaniu się, a w szczególności że akcja stwarza się sama, miałem na myśli iż jedna scena powstaje z innej często w sposób luźny, jakby przypadkowo, że dramat będący upostaciowaniem wewnętrznej pracy duchowej Henryka stanowi kanwę skojarzeń, czasem absurdalną, czasem wyłamującą się z formy — ale zapomniałem dodać, że pozorne dowolności osadzone są na trzonie historii, którą dramat opowiada, a która w ogólnym zarysie nie jest pozbawiona logiki. Nie wspomniałem o tym, bo wydało mi się widoczne na pierwszy rzut oka.

Falkiewicz uchwycił ten zarys, ale nie prześledził go do końca — zamiony moją mętną informacją o „stwarzaniu się”, ujął dramat jako niczym prawie nieskrepowany wybuch skojarzeń i, w konsekwencji, nawet dla tego co się da wytłumaczyć zwykłym przebiegiem akcji szuka uzasadnienia w karkołomnościach najnowszej filozofii, socjologii, psychologii. Zastanawia się on nad sensem egzystencjalnym i anty-egzystencjalnym mojego śmiechu, szuka ostatecznej sprzeczności między problematyką a formą, analizuje moje związki z „logiką snu”, a nie dostrzega czasem najgrubszych powiązań w rozwoju zdarzeń tej sztuki. Z czego moral dla krytyki awangardowej: uwaga! Tylko z największymi ostrożnościami i krok za krokiem schodźcie do głębszych warstw utworu — nigdy nie zgubcie związku powierzchni z głębią. Ujmijcie najpierw dzieło w jego kształcie najłatwiejszym, tym „dla publiczności”, a dopiero potem idźcie za kulisy. Metafizyka, tak, ale trzeba zacząć od fizyki. Ujmijcie też dzieło w związku z przeszłością, z literaturą bardziej klasyczną, bo ostatecznie każda, najbardziej rewolucyjna, nowalia wyrasta z form dawnych, do których odbiorca jest przyzwyczajony. I przyjmijcie za zasadę, że jeśli coś znajduje swoje uzasadnienie w fizyce utworu, może często obejść się bez metafizyki. Na własnej skórze nieraz doświadczyłem, że poruszano niebo i ziemię, aby wytłumaczyć przecinek, który po prostu wynikał z konstrukcji zdania...

Wtorek

Jeszcze parę słów o krytyce awangardowej, ale teraz w jej aspekcie bardziej dziennikarskim i już bez związku z Falkiewiczem... Trzeba upraszczać. Trzeba udogadniać, ułatwiać czytelnikowi! Zanadto odwróciliście się od niego, recenzje pęcznią wam niestrawnościami. To właśnie jeden z problemów stylu, tych rzeczywistych — tych co są bólem i smiesznością, które jednakowoż pomija się z dumą, bo są natury zanadto praktycznej, niedość *à la hauteur*... Ja, gdybym trudnił się tym fachem — awangardowego krytyka — na głosie bym stanął żeby coś tu zmienić i ulepszyć, jakoś wybrnąć z sytuacji.

Kimże jest ten krytyk awangardowy, pisujący w gazecie? Intelktualistą? Artystą? Nauczycielem? Dziennikarzem? Jeśli dziennikarzem, to, przyznać trzeba, jest nim za mało, nie umie trafić do czytelnika. Jeśli nauczycielem, to wiedza ta zbyt bełkotliwa, streszczona, pośpieszna, niejasna. Jako artysta, jest za mało czarujący, zbyt ociężały, nie umie tańczyć... W roli intelektualisty przypomina gulasz, bigos, sałatki, flaki z olejem i groch z kapustą. A jakżeż często jest elegantem o niechlujnej bieleźnie i brudnych paznokciach — bo to wszystko bywa niedomyślane... niedomyślane i niedopisane... nieraz tandeta pretensjonalna i terroryzująca (czytelników, także redaktorów). Snobizm? Ależ tak, snobizm. Niestety, to prawda, ta dziedzina zatruta snobizmem i błagą. Przypatrzcie się ich zdaniom, które przygniatają terminologią *dernier cri*, gdy ich budowa, znakowanie, poprawność gramatyczna, bywa pod zdechłym Medorem. Wspaniały krawat, brudna koszula.

Pytanie, co by tu można poprawić, od czego zacząć. Według mnie potrzebna jest pewna reforma, na którą już czas najwyższy. Jeśli krytyka, zwłaszcza ta awangardowa, staje się fikcyjna, dęta, oszukańcza, to ponieważ zawieszona jest w abstrakcji, z dala od jakiegokolwiek konkretnego ciała z krwi i kości — ci krytycy pławią się w sztuce, kulturze, filozofii i w innych takich ogólnikach — no, w tym łatwo można utopić rzeczywistość i wtedy hulaj dusza bez kontusza! Istota tedy zagadnienia sprowadza się do zerwania z abstrakcją i nawiązania z owym zgubionym konkretem — gdy krytyk poczuje się człowiekiem, piszącym o człowieku i dla ludzi, gdy odnajdzie zagubioną Towarzystwość, uzyska solidną podstawę dla niejednej naglącej rewizji.

Pseudonaukowość dzisiejszej krytyki staje się już nie do wytrzymania. To wina szkoły, szkoły średniej i uniwersytetu — ileż szkód wyrządziły uniwersytety wmawiając że do sztuk można podejść naukowo. Jakże katastrofalna okazała się metoda polegająca na zajmowaniu się samym tylko dziełem, w oderwaniu od osoby autora — za tą abstrakcją poszły inne,

odrywając jeszcze bardziej dzieło od osoby, ujmując je jako samoistny „obiekt”, ujmując „obiektywnie”, przenosząc wszystko na teren fałszywej, fikcyjnej, kulawej pseudo-matematyki estetycznej czy socjologicznej, otwierając na oścież wrota pedanterii i głędzącym analizom, oraz dowolności, ustrojonej i w pozór majestatycznej ścisłości naukowej. Nie domagam się bynajmniej aby naiwnie interpretowano dzieło biografią twórcy i wiązano jego sztukę z jego żywymi przygodami — idzie mi o zasadę zawartą w aforyzmie, że „styl to człowiek”, że zatem styl Szopenowski to organizacja duszy Szopenowskiej, a styl Rabelais'go to rozwiązanie osobowości Rabelais'go. Nie wiele obchodzą mnie romanse Szopena z Georges Sand — ale poza muzyką Szopena szukam samego Szopena, chcę z dzieła zrozumieć twórcę, poza bajką, którą mi opowiada Poe, muszę odnaleźć tego, kto opowiada, jako — zrozumcie to — jedyną rzeczywistość, jedyny konkret. Tak tedy z dzieła muszę wnioskować o twórcy; ale znów ta osobowość twórcy ułatwi mi i otworzy dzieło, wiążąc je nierozdzielnie z kimś... z czymś konkretnym istnieniem.

Czymże jest ten, czy inny, utwór? „Dziełem sztuki”, „zjawiskiem kulturalnym”, „wykładnikiem procesów społecznych”, „źródłem wzruszeń estetycznych” — czy też może jest to jednak i przede wszystkim dzieło czyjeś, wchodzące w skład czyjegoś życia, będące czyimś wysiłkiem duchowym. Któż wątpi, że „Hamlet” jest nie tylko marzeniem Szekspira, jest także Hamletem, to jest postacią wymyśloną wprawdzie, ale tak autentyczną, iż jak gdyby żyła bardziej od Szekspira... a poza tym zawiera przecież „Hamlet” wiele odkryć i wiele piękności, które mu zapewniają istnienie niezależne od szekspirowskiego. A mimo wszystko, prawda o Hamlecie jest taka, że go wymyślił Szekspir (choćby nawet ów Szekspir był dla nas bardziej nieuchwytny niż Hamlet) i dopiero taki król duński związany ze swym twórcą, osadzony w twórcy, jest rzeczywisty na sto procent. Czy pamiętacie Descartes'a? Gdy myślę o centaurze, nie mogę mieć żadnej pewności, że centaur istnieje — jedyne co wiem na pewno, to iż istnieje moja myśl o centaurze... Choć Hamlet, król duński, jest marzeniem, jest pewne, że ot szekspirowskie marzenie o Hamlecie istniało i to jest ten fakt konkretny, którego na gwałt nam potrzeba. Gdy zaczniecie rozprawiać o „sztuce”, możecie gadać co ślina na język przyniesie — abstrakcje nie stawiają oporu. Gdy jednak poza książkami odkryjecie osoby, gdy kultura załadni się wam Tolstojami, Schillerami, Balzakami, Ibsenami, gdy styl stanie się czyimś stylem osobistym, gdy formę zwiążecie z czyimś przeżyciem, wówczas ustąpi sporo mgły osiadającej nam teraz na oczach. Nie, nie zapominam, że forma, sztuka, rodzą się „między” ludźmi, nie z człowieka, jestem jak najdalszy od przyznawania twórcy wyłączności w tym względzie, ale jeśli słowo nowoczesnej krytyki ma odzyskać jędrność, towarzyskość, skuteczność w obrębie świata ludzkiego, musimy doj-

rzeć poza dziełem człowieka, twórcę, przynajmniej jako tzw. punkt odniesienia. Nie — na Boga! — żeby pytać się „co chciał powiedzieć?”, (to by znowu sprowadziło krytykę do badania intelektualnych, czyli abstrakcyjnych, zamierzeń autora i zresztą takie pytanie jest niedorzeczne na terenie sztuki). Ale aby książka wyrastała nam z jakiejś — z czyjejs — rzeczywistości, z czyjegoś przeżycia.

Nawiązując w ten sposób z osobistością autora, czyż krytyk nie powinien wprowadzić na scenę także własnej swojej osoby? Analizy, owszem, syntezy, tak, rozbiory i paralele, no, trudno, ale niechże to będzie organiczne, krwiste, dyszące nim, krytykiem, będące nim, jego głosem mówione. Krytycy! Tak piszcie żeby było wiadomo po przeczytaniu, czy pisał blondyn, czy brunet!

(Dedykuję to Polsce. Kiedyś, przed wojną, przysłuchując się tym ich rozmowom — gdy ubóstwiano Wiedzę, Społeczeństwo i wszystko co społeczne i racjonalne, gdy z wściekłością zwracano się przeciw Osobie i Osobistemu, gdy nienawidzono, gorzej, nie lubiano sztuki za jej szept poufny, nie dający się skontrolować — przysłuchując się im, tym artystom-moralizatorom, artystom-konstruktorom, artystom-teoretykom i poetom-matematykom — wtedy już wiedziałem, że zbliża się epoka w sztuce nieudolna i pełna bolesnych pomyłek).

Czwartek

Jadłem śniadanie w porcie. Nastąpiło spiętrzenie scen, wważających jedną i tę samą ideę. Przy sąsiednim stoliku dyskutowali robotnicy o polityce, jeden się mądrzył, gadał, rajcował, inni też się mądrzyli rajcowato — a jednocześnie w głębi, za kontuarem, zrezygnowany właściciel usiłował wyperswadować coś kelnerowi, który, starszy już człowiek a chytrus, a bęwał, a gębacz, ciskał się na niego podniecając się i upijając własnymi bzdurami, ogłuszając siebie samego bełkotem — a dalej tragarze dowcipkowali rechocząc na temat pewnej części ciała... Jakąż ideę to wyrażało? Okropną! Jedną chyba z najstraszniejszych, najbardziej odbierających nadzieję...

Nam, inteligencji, przyswieca myśl zbawcza, że *dół nie jest szalony*... My tak, my skazani jesteśmy na wszystkie choroby, manie, szale, ale w dole jest jednak zdrowie... i podstawa na której wspiera się ludzkość jest jednak w porządku... A tymczasem? Lud jest bardziej chory, bardziej szalony niż my! Chłopi są szaleńcami. Robotnicy to patologia! Słyszycie, co mówią? — to są dialogi ciemne i maniackie, tępe nie zdrową tępotą analfabety, ale bełkotem wariata, wołające o szpital, o lekarza... Czy mogą być zdrowe te niekończące się nigdy przekleństwa i sprośności — i nic poza tym — ta pijacka, obłądana, mechanika ich współżycia? Szekspir miał rację przed-

stawiając ludzi prostych jako ludzi „egzotycznych” tj. właściwie niepodobnych do człowieka.

Poniedziałek

Do redaktora „Wiadomości”.

Dopiero teraz miałem sposobność zapoznać się z fragmentem „Dziennika” Lechonia z Nr. 16 „Wiadomości” z 19 kwietnia br., gdzie mowa o mnie i moim „Trans-Atlantyku”. „Gombrowicz... jest też wariatem wiem na pewno, bo go znam... Transatlantyk to historia bardzo plugawą... Dostyc zabawne, choć cokolwiek śmieszące...”

Wobec tego pozwalam sobie zacytować następujący urywek z listu Lechonia do mnie, otrzymanego w maju 1956 r., tj. na miesiąc przed jego śmiercią:

„Odpowiem Pana słowami „dusza Pańska poniekąd mi znana” i chciałbym żeby dała mi ona raz na zawsze kredyt. Jeżeli jakiś utwór sztuki podoba mi się, przeważa to wszelkie różnice przekonań, czy nawet pisarskich porachunków. O Pana pracach, o „Ferdydurke”, o „Transatlantyku”, myślę z niezmierną przyjemnością, jako o świetnych utworach...”

A dalej:

„Chcę więc Panu powiedzieć, że co o Panu myślę tom najszczerzej i, jak myślę, z należyтым uszanowaniem powiedział w wywiadzie, już przed paru laty chyba, w „Wiadomościach” i to jest aż do nowych wydarzeń moja skromna „Roma locuta”.

????????

1) Mając na uwadze, że wspomniany fragment lechoniowego Dziennika pochodzi z r. 1953-go, a list z 1956-go, może należałoby przypuścić, że Lechoń zmienił zdanie...

2) Odrzucając to tłumaczenie, musielibyśmy przyjąć, że te ustępy listu są hipokryzją od a do zet. Ale w jakim celu? Taka supozycja byłaby mi przykra, gdyż cenię Lechonia.

List jest w całości do przejrzenia, gdyby któryś z współpracowników „Wiadomości” nim się zainteresował. Bliższe szczegóły, dotyczące tej korespondencji, podam zapewne w moim dzienniku, drukowanym w Kulturze.

Zamieszczam tekst tego listu, gdyż — oczywiście — nie obyło się bez tego żeby nie został najechany wścibskim ołówkiem redaktora „Wiadomości”. Zmieniono mianowicie początek jak następuje:

„W swoich „Kartkach z dziennika” pod datą 1 marca 1953 („Wiadomości” nr. 681) pisze Jan Lechoń w związku z moim Transatlantykiem”: „Gombrowicz... jest też wariatem...” etc.

Matko Boska! Nie mogę mieć pretensji — przysłano mi zmieniony tekst do korekty i ja, dla świętego spokoju, nie protestowałem — ale czyż nie jest odrobinę denerwujące, że nawet kilkunastowersowy list do redakcji nie może się obyć w tej gazecie bez poprawek i przeróbek? I takie buszowanie po listach bądź co bądź, nie artykułach, nie byłoby nawet cokolwiek niedelikatne i nieuprzejme, zwłaszcza w stosunku do osób mających już za sobą sporo zapisanego papieru? Gdyby jeszcze ta poprawka była dokonana w imię św. Gramatyki! Ale chodzi po prostu o to, iż ja napisałem „dopiero teraz miałem sposobność zapoznać się”, z czego szerokie rzesze czytelników mogłyby wydedukować iż rzadko do tego pisma zaglądam. No cóż, rzeczywiście rzadko zaglądam, a o tym, że Altissimo mnie zabrał dowiedziałem się dopiero w parę miesięcy i to zupełnie przypadkowo (u Świeczewskich, nakładając palto). Zapewne, fakt iż z takim opóźnieniem doszedł mnie pocisk, wystrzelony z Londynu, nie świadczyłby zbyt korzystnie o druzgoczących właściwościach starej kolubryny, ale czyż jedyne listy, mające szanse ukazania się w „Wiadomościach” bez poprawek to te głoszące „Nie mogę wprost doczekać się nowego numeru etc. etc.”? A może pochwalne też są poprawiane?

Ze był to pocisk i wystrzał, że celowano we mnie z intencją zastrzelenia lub co najmniej zranienia — nic pewniejszego. Wystrzał nastąpił zaraz po ucieśnej utarczce mojej z pewnym polonistą, figurującym w World Biography (New York 1948). Ale trzeba przyznać, że mają pecha. Albowiem bohaterski atak autora powieści „Cisza lasu” umożliwił mi właśnie wychwalenie się do rozpuku, jak jeszcze nigdy w życiu się nie wychwaliłem — a teraz tak fatalnie się składa, że druzgocząca w proch opinia Altissimo przeistoczyła się ni to za sprawą czarno-księskiej magii w arcy pochwalną i pochlebną opinię Altissimo. A wszystkich wiernych, należących do tej kapliczki, postawiłem wobec straszliwego dylematu — gdyż aut, aut, albo Altissimo Poeta zachwyca się owym plugawym „Trans-Atlantykem”, albo Altissimo Poeta jest bliźniem i faryzeuszem co się zowie. Dosyć. Żart na stronę. Co to za magia? W jaki sposób Lechoń mógł dokonać takiego susa z abominacji w zachwyty w ciągu niedługiego czasu (wywiad, o którym mowa w jego liście, datuje się z r. 1954, i już wtedy bardzo przychylnie o mnie się wyraża)? W tym kryje się zagadka, interesująca dla badaczy życia literackiego.

Może jednak zagadka jest zagadkowa tylko dlatego iż — podobnie jak ów słynny dokument z noweli Poego — rozwiązanie wywieszono nam przed nosem zamiast schować do najskrytnych szuflad. Dlaczego zmienił zdanie? Dlatego, że nigdy go nie miał. Dlaczego nie miał? A bo nie przeczytał. Zastanawiałem się czasem, jak to się dzieje, iż studenteria niewypierzona wcale nieźle daje sobie radę z zawartością moich utworów, gdy literaci fachowi mówią same głupstwa. Stu-

dent czyta, w tym rzecz — literat przegląda, kartkuje, obwachuje... Tak, tak, panowie, nie tylko ja zapełniłem sporą ilość stron niniejszego dziennika sądami o literaturze polskiej nie wiele z niej przeczytawszy (o czym lojalnie nadmieniałem we wstępie). Ale o literaturze odleżałej i ucukrowanej można od biedy tak pisać, gorzej gdy idzie o autora nowego i nie dającego się zaszufłakować. Czy Lechoń, gdy pisał o mnie w dzienniku, tj. 1 marca 1953 r., mógł w ogóle przeczytać „Trans-Atlantyk”? Przecie ja sam otrzymałem lotniczo okazowy egzemplarz świeżo wydanej przez Giedroycia książki w początkach lutego. Najpewniej tedy przeczytał (przejrzał) dwa fragmenty, drukowane uprzednio w „Kulturze”, może nawet (jak wielu) nie spostrzegł się że to tylko urywki większej całości i, paf, zdenerwowany machnął sobie do dziennika kilka epitetów. W następnym roku przeczytał (przejrzał?) całą książkę, a może i wpadły mu w ręce egzemplarze „Kultury” z moim dziennikiem, z którego wywnioskował, że ja nie taki znów wariat... Przeczytał? Przejrzał? Bardzo się obawiam, że czytał, jak ja zwykle czytałem jego wiersze... ale czyż nie dzięki temu nasze opinie nie wykopały między nami przepaści?... Zresztą te jego zapiski były prywatne, do druku ich nie przeznaczał. Czasem bywa gorzej. Parę lat temu pewien znany publicysta skarcił mnie w prasie krajowej, że mój „Dziennik” okropnie prowincjonalny... że to właściwie tylko „nieustające wariacje na temat: Polska i ja”... Przetarłem oczy — czy w pijanym widzie ten człowiek, przecież nie wiem czy 10% dziennika jest o sprawach polskich — aż wykombinowałem, że on przeczytał kilka fragmentów w „Kulturze”, które były akurat o Polsce, i z tej obgryzionej kości wymyślił sobie całego zwierzaka.

Nie, na Lechonia bynajmniej nie jestem cięty. Z Lechoniem jestem w doskonałych osobistych stosunkach, a jeśli przykleiłem mu tutaj tego „Altissimo”, to tytułem satyry na brązowniczą kampanię „Wiadomości”, którym dotąd się marzy rozdawanie buław w piśmiennictwie polskim. Na Lechonia nie mogę się gniewać, gdyż on wielkodusznie i elegancko sobie ze mną poczynał, nie bacząc, iż nie raz założyłem mu za skórę. Na krótko przed jego śmiercią, gdy mi powiedziano iż poparł mnie w pewnej dosyć ważnej dla mnie sprawie, odezwałem się do niego przyjaźnie proponując nawiązanie bliższych stosunków — oraz, prawiąc mu niemałe i zresztą zupełnie szczerze komplementy na temat jego dziennika, zapytywałem żartobliwie czy prawda, co mi doniesiono via Staś Baliński, że zawiera on passus mocno mnie babrzący. Z jego odpowiedzi pochodzą zdania wyżej cytowane.

Jeszcze kilka słów o Lechoni. Był to poeta nietwórczy i nieoryginalny, którego w samych jego początkach niepomiernie wywyższono — który całe życie pozostał ową „zapowiedzią”. Sytuacja niewygodna, wzmagająca jeszcze wrodzoną niemoc twórczą. Co gorzej poeta ten, zabarykadowany w więzy

klasycyzmu (także następstwo nadmiernego wyděcia, tudzież bezpłodności, klasycyzm to „mistrzostwo” artystów nie mających nic do powiedzenia) stracił zupełnie wyczucie człowieka współczesnego i jego problematyki (o której nb. nie wiele mu było wiadomo, gdyż drogi myślenia ludzkiego począwszy od Hegla były tej głowie polskiej prawie nieznane). Jego życie nielojalne, hierarchia niezastuzona, postawa nieszczerza, nie były z tych, które pozwalają wejść w bezpośrednią styczność z epoką, z historią. Przemykał się bokiem. Wykręcał się i nadrabiał miną. W pewnej chwili znalazł się zupełnie poza nawiasem. Cała jego polityka polegała na wypuszczaniu w świat, w dłuższych odstępach czasu, jakiegoś „pięknego” wiersza aby nie mówiono zbyt głośno, że się skończył, oraz na pielęgnowaniu swych towarzyskich prestiżów, w czym jego kultura, inteligencja i dowcip bardzo były mu pomocne. Pisał też „do szuflady” ów dziennik, znakomity literacko i lśniący naturalną inteligencją, ale kompromitujący skutek chorobliwego, kompleksowatego prawie, zwężenia horyzontu intelektualnego — jakby ten człowiek wolał nie wiedzieć, nie widzieć — dziennik melancholijny, żalotna inkarnacja ducha burżuazji warszawskiej i ówczesnych kawiarń... Tak to Lechoń próbował jeszcze udawać, że żyje, restaurując sobie świat umarły, ten z pierwszej młodości, z czasów które potraktowały go łaskawiej... Stać! Co to, czyżym nienawidził Lechonia? Dlaczego go niszczyć? Niszczyć? Nie! Nic podobnego! Ani mi się śni! Cenię Lechonia! Cenię Lechonia tym bardziej, im liczniejsze wynajduję racje aby go poniżyć, cenię go wbrew racjom, cenię bo to jednak i pomimo wszystko był ktoś — to była figura — nie wiadomo jak, nie wiadomo dlaczego ten profil wrył się nam w pamięć, ten gest i ton, ta sylwetka, pozostaną, gdy o dziełach już mowy nie będzie... On *osobiście* się urzeczywistnił. Ten człowiek nie zaznaczył się w polskim rozwoju ani jednym ważnym wierszem, ani jedną myślą, a jednak stworzył coś... stworzył siebie... stworzył Jana Lechonia. I może fascynuje mnie ta jego gra z własną nicością, to urzeczywistnianie się w próżni, to iż nie mając ani dziesiątej części zasług poetyckich Tuwima zdołał zaznaczyć się w naszym świecie literackim nieomal z tą samą intensywnością... W każdym razie to była figura!

Figura wszakże nie nadająca się do tego, co z nią wyrażały „Wiadomości”. Lechoń jako wieszcz emigracji — to był kiepski pomysł, predestynowały go na ten stolec jedynie najgorsze jego słabości, paseizm, klasycznie polski romantyzm i wszystko co, niestety, było w nim z „Kuriera Warszawskiego”. Znadto zresztą się czuło, że reklama „Wiadomości” jest bardziej dyktowana manią wielkości redakcji pisma, niż uznaniem dla rzekomej wielkości Lechonia — ta kampania natchniona była przeświadczeniem, że w „czytelników” wszystko da się wmówić — odór tego przeświadczenia fatalnie mieszał się z kadzidłem i do dziś się miesza. Poza grupka „Wiadomości” nikt tej tezy nie podjął, w kraju Lechoń miał

po śmierci prasę mierną, nawet w obozie który mu sprzyjał, wieszcz tedy pozostał wieszczem lokalnym Londynu. I jest smutne, że z człowieka który był „świetnym Lechoniem” zrobiono (nieznośną już frazeologią) „świetnego poetę” — na tej propagandzie wyszedł biedak jak Zabłocki na mydle.

Jeszcze słówko o „Wiadomościach”. Zaprawdę, mnie samego to zdumiewa i przeraża, ale muszę tym razem przyznać rację panu Zbyszewskiemu: podniecające, przynaglające, rozszerzające było to pismo niegdyś, a Grydzewski wielkie położył zasługi. A teraz?

*Wiedz bowiem miły mój Damonie
Ze z rajy dziś tu — stęp
Gdzie dawniej Jowisz był na tronie
Tam dziś panuje...*

Dorymuj sobie sam, mości książe! Jak do tego doszło? Jak nastąpiło w Grydzewskim sprzeniewierzenie się Grydzewskiemu, zdrada stuprocentowa? Trzeba o tym zacząć mówić, i nie dla szykany: dziś „Wiadomości” to kapliczka, muzeum, stowarzyszenie wzajemnej adoracji, katalog, album zasuszonych pamiątek, cmentarz, herbarz, kącik filatelistów czy też bilardzistów, anegdota, gawęda, korekta, snobizm, felietonizm — ale przede wszystkim i nade wszystko to wskrzeszony i, jak się okazuje, nieśmiertelny „Kurier Warszawski”. Niestety! Jest naprawdę coś złowrogiego w tym pozagrobowym zwycięstwie rodziny Lewenthalów — któżby pomyślał! Ten tygodnik londyński to ta sama niezniszczalna burżuazja z Krakowskiego Przedmieścia w najprzedniejszym wydaniu. A poza tym toż to rzeczywiście Instytucja Narodowa całą gębą: tu zecer zatriumfował nad pisarzem, czytelnik nad autorem, redaktor nad twórcą, przecinek i średnik nad talentem, forma, marka, szampa nad indywidualnością, formalizm nad sztuką, organizacja i biurokracja nad polotem, dramatem, poezją i życiem. „Wiadomości” w ciągu kilkunastu lat swego istnienia zdołały zrazić do siebie wszystkie prawie twórcze elementy literatury na wygnaniu. Miłosza potraktowano z wrzaskliwą nieinteligencją, godną nieboszczyka Rabskiego, wylano mu na łeb kubeł pomysł i ogłoszono „zdrajcą” — co nie przeszkodziło temu pisarzowi więcej zdziałać dla zorientowania opinii światowej w terrorze czerwonym w Polsce niż tego dokazały wszystkie numery „Wiadomości” razem. Któż z lepszych autorów jest dzisiaj współpracownikiem tego pisma? Ale odcięto pismo nie tylko od talentów, odcięto je, co gorzej, od żywej myśli polskiej. Jeśli w środowisku emigracji dzieje się jakaś dyskusja, wysiłek, walka, coś wreszcie, cokolwiek, to o sto mil od „Wiadomości” i tych konkursów „Kogo wybralibyśmy do Akademii Literatury”. Ja, słusznie czy niesłusznie, umiejętnie czy nieumiejętnie, poruszyłem w ciągu mego emigranckiego pisania spory zastęp zagadnień pierwszorzędnego dla nas znaczenia —

nie doczekałem się w „Wiadomościach” na przestrzeni dziesięciolecia ani jednego poważnego komentarza, czy przyzwoitej polemiki, niczego prócz zdawkowych „recenzji” nie tak znów ujemnych, ale płyciutkich, szczebiotliwych, niemądrze nonszalanckich i często złośliwych. Naturalnie nie trzeba zapominać, że na emigracji tandeta musi być naszym chlebem codziennym i że, gdy chodzi o krytyków na bezrybiu i rak ryba — a przecież gdyby p. Grydzewski znosił lepiej polską myśl współczesną i polską twórczość, gdyby nie miał takiej alergii na tym punkcie, stosunki „Wiadomości” z pisarzami ułożyłyby się bardziej sympatycznie, a współpracownicy pisma powoliby się podciągnęli. Tak jak jest w tej chwili, jest żałośnie, nie ma co gadać! W kraju „Wiadomościami” nikt się nie interesuje, politycznego znaczenia na szerszą skalę pismo nie ma żadnego, ze współczesnym wysiłkiem twórczym narodu, czy emigracji, nie ma nic, ale to nic, wspólne. Jedyne co mu pozostało to czytelnicy, wciąż jeszcze przekonani, iż są okropnie kulturalni abonując ten olimpijski organ i biorąc udział w konkursach i głosowaniach, będących (jeśli nie w wyniku, to w swoim przebiegu) zawstydzającym świadectwem zupełnej dezorientacji, artystycznego grochu z kapustą i bigosu intelektualnego, oraz jaskrawym dowodem, że w tych łepetynach owieczek p. Grydzewskiego nic absolutnie nie poruszyło się od 1939-go roku.

(...powinienem być wybrać inny moment... doprawdy, dając im broń do ręki, to do złudzenia wygląda jakby moje rozegotyżowane i solipsyzujące „ja” rzuciło się na nich z zemsty za Lechonia... Lechoń? Mnie ten incydent z Lechoniem dogadza — i w ogóle wszystkie zaczepki wprawiają mnie ostatnio w doskonały humor, bo dziś atuty są po mojej stronie i od tego tylko się robi wokół mnie głośniejsze. Panowie, to nie zemsta, ani drobna rozgrywka czysto osobista, to po prostu szczerze moje przekonanie że „Wiadomości” niepostrzeżenie stają się kulą u nogi duchowi polskiemu na emigracji. Kultura ma być sprawą ludzi, nie mechanizmów — gdy mechanizm zaczyna przygniatać, trzeba bić w niego jak w bęben... choćby to miało wywołać milczenie... Zupełne milczenie... głączą ciszę... przemilczanie systematyczne, całkowite i mordercze, wykańczające moją karierę pisarską... No, trudno! Niech tam! Nie przejmuję się tym zbytnio, bo już wypłynąłem na szersze wody...).

Witold GOMBROWICZ

Podróż do Portugalii

BAEDEKER PEWNEJ MIŁOŚCI

„I stało się w one dni, że wyszedł dekret od cesarza Augusta aby opisano wszystek świat... I szli wszyscy, aby popisani byli, każdy do miasta narodzenia swego”...

Caminha u ujścia Rio Minho, 1 czerwca

Bez przesady: ta podróż spadła mi z nieba.

Zaraz po powrocie pojechałem odwiedzić rodzinne strony, od lat niewidziane...

„Gdy się tam powitamy,
to znów sobie ręce damy...”

Ten nieudolny dwuwiersz prześladował mnie przez całą drogę, jak również strzęp ckliwej, patriotycznej pieśni, posłyszanej kiedyś w domu:

„O Warnijo, o Warnijo,
Ty ziemio swento moja,
Krsio mech przodków złano...”

Od wczoraj jestem w Olsztynie!

Zostawiwszy walizkę w przydworcowej kawiarence, obiegłem uliczki z bijącym sercem. Na próżno szukałem domu, w którym ujrzałem światło dzienne po raz pierwszy: rozpadł się w gruzy. Także i dwupiętrowa kamieniczka na ul. Młyńskiej, gdzie niegdyś była gazeta, i skąd pana Seweryna zabrano w niebieskim kitlu, z wierszownikiem w ręku, prosto od zecer-skiej kaszty, zniknęła bez śladu. I tylko ponure krzyżackie zamczysko rzuca swój zimny cień na miasto, jak przed kilkuset laty i jak za czasów mego dzieciństwa. Stary ratusz, któremu

wieżyczka wyrasta ze spadzistości dachu, już odbudowano. Jest i gotycka brama przez którą tramwaj przepycha się z trudem, a ze szczelin między czerwonymi ceglami zieje, jak dawniej, piwnicznym chłodem. Katedra św. Jakuba! Wszedłem do środka na palcach. Tutaj mnie ochrzczono. Położyłem rękę na kamiennej chrzcielnicy. Poglądziłem czarne, okopcone drzewo w prezbiterium. Stalle szczeniały ze starości i pewnie od tych ognisk, jakie za różnych wojen rozpalali tutaj żołnierze biwakujący w świątyni.

Chodziłem po rynku, świeżo wymiecionym po targu, i wspomnienia jak oswojone gołębie, siadały mi na ramionach. Nie moje wspomnienia, miałem wtedy niespełna dwa lata, ale nasze wspólne domowe, przechowywane w rodzinie...

A więc to tutaj, przed pomnikiem Wilhelma, rozegrała się scena między Maksem Worgickim a starym Stantzgiem z Jańsborka. Agitator Worgicki, jeszcze do niedawna parobek pod Szabarkiem, napisał się psiwka, w przededniu plebiscytu przywiódł na sznurku na rynek krowę z tablicą u szyi: „To jest Polska”. A gdy biedna krowa zdechła, włożył na nią racicami i powiedział, że tak jak ta krowa padła, dycht wnetki i zaroćko szczególnie sezonowe państwo machlarskich wiśłoków z Kongresówki, więc po co na nich stymmować? Nie ma żadnego cweku więcej!

Wtedy stary Stantzig (niegdyś Stańczyk) nie wytrzymał. Porozpychał łokciami rechocących szurków i rozchichotane dziewczaki, podbiegł do agitatora i rozdygotanym z oburzenia głosem wykrzyknął:

— Ty nie jeżdżaś Poulakam, ty nie jeżdżaś Mniemcam, ty jeżdżaś żezawnam blerwam z poulskam łozoram!

„Żezawna blerwa”! Epitet-klejnocik dla językoznawców. Wiśłok z Kongresówki powiedziałaby mniej groźnie: parszywa owca...

Viana do Castelo, plaża, palmy, winnice, 2 czerwca

Ów Worgicki zaczął się później pisać „Worgitzky” i zrobił nawet niemałą karierę polityczną. W wyobraźni dziecka jawił się jednak zawsze jako diabeł w ludzkim ciele. Tym bardziej, że po prusku przystrzyżone kudły przy silniejszym podmuchu wiatru układały mu się po obu stronach czaszki w czarne diabelskie rogi. Nad rogami unosiło się jeszcze groźne, tajemnicze słowo: „renegat”. Wszak na jarmarku przypominano sobie srogi wiersz Gottlieba spod Szczytna:

„Hoch! Hoch, gbury, wolność! Prek z przyłizanstwem!
I z renegactwem, gbury, z zaprzanstwem!
Nasz torzeł jest biały, zaś dla was, cyganie,
Jest corna wej gapa i butów lizanie!”...

Na olsztyńskim rynku dziwnie się „mówziło”: ni po polsku, ni po niemiecku, pewnie i nie po mazursku, chyba i nie po warmijsku. Eleganci, na przykład, chodzili do golarza „rasirować się”. Niejeden z nich, już wyrasirowany, próbował „kisnąć” swoją „lubkę” nad brzegiem Łyny. A podchmieleni obywatele miasta wyśpiewywali po nocach najprzedziwniejsze piosenki:

„Morgen früh um sechse
kogut kurę depce —
kura mówzi: muss das sein?
kogut gziżdo: fajń, fajń, fajń!”...

Nieprzystojna, pijacka śpiewka. Znowu się jakiś gbur królewieckim psiwkiem zachlapał jak ferkiel! Psiwko, corne jak woda w kanale pod Ostródą, przywożą do nas bahną z Królewca („Z Koenigsbergu” — poprawiał Superintendent Hensel z Jańsborka), ale grzech nieczystości, jak twierdził w księgarce sprzedającej „Księgi Sybilli”, przywleczono nad Łynę ze „skaradnej Warsiawy”.

— Tamuj, u nich, w Warszawie, dziewczaki malują sobie usta i kurzą cygaretki na ulicach! — mówił ks. Skowronek z Trelkowa. — Teraz już wieta dlatego Matka Bouska Gietrzwałdzka, przyjaciółka ludu warmijskiego i mazurskiego, nie chciała przyłączyć tej ziemi do Sodomy i Gomory...

Superintendent Hensel, chociaż innej konfesji, też powoływał się na karę niebios:

— Śtrafa od Boga! Choćby za te łgarstwa i machlarstwa, że Kaiser Wilhelm chce się rozwieść ze swoją drugą małżonką Herminą!...

Biegłem przez park, nie spuszczać oczu ze szczytu zamkowej wieży. Znajoma okrągłość baszty, a tam, nieco niżej, szyba skrzy się jak rybia łuska. Gotyckie okienko, przeszyte słońcem. Kaplica św. Anny. Spod tego łuku Kopernik spoglądał na niebo i na miasto.

Z okna basztowej wieży widok miałem przepiękny. Zdjąłem kapelusze i pokiwałem nim ludziom, domom, kwiatom i drzewom. Witaj, ziemio od dawna niewidziana, czasem tylko we śnie wracająca! A w lornetce kraj ten podszedł do mnie jeszcze bliżej, niemal na odległość wyciągniętej ręki. Wydawało mi się, że w wiosennym, chłodnym jeszcze słońcu iskrzą się na widnokręgu sędziwe dęby, okalające sławne pobojuwisko, na którym Jagziello i Wzitold...

*Povoa de Varzim, „plaża radości”, akwadukty,
klasztor Santa Clara, z któregoś tam wieku, 3 czerwca*

Miałem uczucie, że patrzę nie tylko w dal, ale i w głąb tej ziemi.

O, tam, w Krzyżawie, za topolami, wyrasta spod bluszczu obelisk z napisem :

„Tu odpoczywa w Bogu Euphrozyna Kolenda, 1822-1884”.

Kim była ta Eufrozyna? Na pewno dobrą żoną, bo na drugiej stronie, jeśli zeszkrobać grubą warstwę mchu z kamienia, wyłania się wiersz żałobny :

„Tyś mnie w żalu opuściła,
bo ty mi wciąż wierna była —
gdy się my tam powitamy,
to znów sobie ręce damy”...

A w zacisznym Hozamburgu, pod żywoplotem, trzy nagrobki „ustawione w jedną rąj”, palą się w słońcu jak spiczaste hełmy katedry we Fromborku. Trzy języki, kultury i narody zamknięte w rodowym kamieniu: pradziad, potomek hugenotów, pisał się z francuska: Labouche, syn — z niemiecka: Labusch, a wnuk już Labuszem został! Dzisiaj milczą, jedną wszechludzką i najmądrzejszą narodowością pogodził: przymierzem zmarłych.

W głębi czarnej zieleni, pod mosiężną stopą Anioła, odpoczywa szlachetny książę Kunigk z kapituły fromborskiej, chyba Litwin spod Tylży za życia, ten co biedną Annę Lentz, ostatnią czarownicę w Bisztynku, siedmiokrotnie torturowaną, z rąk pobożnych oprawców oswojował.

Wędrowcze przybyły z daleka, westchnij za ich dusze, i żałuj że tutaj nie spoczniesz: cień tu głęboki, cisza kojąca; ani krąg dzwonu ani plusk ryby w rzece nie poruszą powietrza nad twoim popiołem.

Obróciłem się twarzą w stronę słońca. Może z przeciwległego okna, otwartego na Mazury, uda się dostrzec łańcuchy jezior, z których rybak dziś jeszcze wyławia z mułu zarzewiały bagnet lub manierkę oklejona wodorostem? Za kamieniem samobójcy Samsonowa, za pasmem lichej torfiastej gleby na której pług oracza czasem kość zaśnieżoną odsłoni sprzed wieków, pod płaskimi dachami niskich i brzydkich chałup mieszka lud z dziada pradziada milczący i nieufny, „scypiący” po mazursku. Poznać ich łatwo po smutnym wejrzeniu i niepewnym uśmiechu. Ile przesady jest w pomawianiu ich o „hardość” czy zgoła o „zadzierzystość”! Nawet na spodzie beztroskiej zabawy ukrywa się tutaj lęk niezagojony, troska i przepaści. „Łubogiemu zistrz zawdy w łoczy wieje...”

Porto, katedra romańsko-gotycka, Campo dos Martires de Patria, „bukiet półwyspu Iberyjskiego”, 4 czerwca

Historia nie sprzyjała bezbronnym. Superintendent Hensel z Jańsborka pamięta ile wiosek mazurskich wyciął „przez

pomyłkę” hetman w służbie Jana Kazimierza w pogoni za Szwedami. Księgarz Samulowski, co się przez kordon na odsłonięcie pomnika w Krakowie przekradał, budzi się w środku nocy z krzykiem, ilekroć posłyszysz we śnie chrzęst czarnej zbroi komtura w białym płaszczu...

Krzyżacy! Alboś to sam, dzieckiem będąc, nie gryzł pięści z żalu na wiadomość o sprowadzeniu ich do Polski! Rok 1228: data w żałobnej obwódce. Konrad Mazowiecki wysłał wysłannika piekiel w ziemię chełmińską i łobawską, nie wiedząc że po siedmiuset latach ręka rozgniewanego na tę lekkomyślność dziecka wymierzy mu sprawiedliwość. Niezgrabne literki, wypisane na marginesie podręcznika historii, krzykną mu w martwą twarz: „głupi!” Nie ostatni to wpływ patriotycznego gniewu. A zmarowanie Grunwaldu, nieodłączne dobywanie Malborka, nieszczęsny traktat welawski? Historio, historio, coż ty za pani, że się tobą trują chłopcy rozgniewani!

Naprawdę intensywne i czyste przeżycie, przejście się losem jednego człowieka czy całego narodu możliwe jest chyba tylko w okresie, o którym katechizm powiada: „przed powzięciem rozumu”. Ilekroć w kinematografie mojego dzieciństwa podstępny gałgan wciągał niewinną, niczego złego nie prze-czuwającą ofiarę w pułapkę, cała sala podnosiła szlachetny krzyk ostrzeżenia: „Nie idź tam! Nie wierz mu! On kłamie!” Podobnie się rzecz miała z moją pierwszą lekturą: „Naiwny książę! Nie wierz im! Nie sprowadzaj ich do Polski! Oni chcą twojej zguby!”...

Jak się też rodzi i rozwija nieuleczalna choroba narodowości w młodym, nieodpornym organizmie małego fąfla? Ilekroć spod futryny, listwy czy spróchniałej framugi wypełzał czarny robak, u Hensłów wołano z obrzydzeniem: „francuzi!” U nas zaś na calutką kuchnię rozlegał się okrzyk: „szwabry, karaluchy, prusoki, krzyżaki!” Czarny robak, zbieg z zakonnego płaszcza, ścinał dziecięce serce lodem przerażenia, a kojarzył się nie wiadomo dlaczego z nietoperzem zwanym w tych stronach „latopiszem”, „kacoperzem” lub „mantopyszem”.

Babusia Wirckubowa, właścicielka magła, podpora chóru kościelnego i barwnych „kiermasów bartęskich”, potężna macierz w czarnej chuście zawiązanej pod tłustym podbródkiem, też odegrała niemalą rolę w rozbudzaniu świadomości narodowej małego Warmiaka. Lista zasług Wirckubowej jest długa i wszechstronna: potrafiła, na przykład, wyciągnąć małowici ziarno grochu, nieopatrznie wepchnięte w głąb nosa, policzkując go przy tym potężnymi piersiami, lub trzema wydechami nadmuchać dętkę od roweru. Mając w swej suternie narzędzie atrakcyjne i nieco tajemnicze, dla zwykłego śmiertelnika raczej niedostępne, autorytetem swoim w kozi róg zapędzała innych wychowawców. Już to magiel, rzecz wzniosła. Zwłaszcza gdy pozwalają małemu kibicowi pokręcić korbkę przy dużym kole lub podłożyć drewniane wałki pod obciążoną

kamieniami machinę. Jeszcze dzisiaj pamiętam czyjeś zatroskane pytanie, unoszące się nad koszami bielizny :

— Czy też Niemiec może pójść po śmierci do nieba ?

I odpowiedź starej Wirckubowej, wygrdyconą wśród kaszlu i szyderczego śmiechu.

— Głuptoki, głuptoki ! Miemiec do nieba ? Psierwej tam Cykrysta pusca ! Psierwej Zyda lub Czygana, jino nie Mimca !

— A Polak ?

— Poulak zawdy ma psiersienstwo !

Nareszcie dobra nowina ! Co więcej : zasłużona pociecha, gdyż jeszcze ojciec mój nosił w szkole tablicę na piersiach z napisem : „Ich darf nicht polnisch sprechen !” Jakże się nie cieszyć z przynależności do narodu, który jest lepszy od Niemców, Żydów i Cyganów, a nawet posiada własną kolonię wy-poczynkową w niebiesiach ! Jakim więc prawem żandarm Hartmann, powrotnik z Kamerunu, przechowuje pod szkłem pamiątkę z lat młodości : pas żołnierski z napisem „Gott mit uns” ? Z kim Pan Bóg trzyma ? Z nami czy z nimi ? I wtedy to, zacna prowincjo z patriotycznej czytanki, poczciwy padole najserdeczniejszej grafomanii Kajków i Samulowskich, srogiej muzyki Nowowiejskiego, w młodym umyśle wyrósł pierwszy chwast nienawiści.

— Czy Hartmann jest naszym wrogiem ?

Stary Wirckub, szewc-kuternoga, ściągając krzaczaste brwi, odpowiada złym szeptem :

— Klar ze jest. Łod-wiecz-nym !

Wirckub w chwilach wolnych od szycia cholewek roznosi „Olsztyńską”, gazetę która dzień w dzień upomina czytelników :

*„Ojców mowy, ojców wiary
brońmy zgodnie młody, stary !”*

Brońmy ! Walczmy ! Nie dajmy pogrzyć !...

— Hartmann, ten corny dajbel, chce nama zabrać jinyzyk poulski ! — straszą Wirckubowie w suterynie.

Jezus, Maria ! Prerażony gzubek czym prędzej podbiega do lustra, szeroko otwiera usta, chwytając język w palce...

Jest ! Chwała Bogu, jeszcze jest, cały i nietknięty : czerwony koniuszek trzepoce w jamie ustnej jak rybka w akwarium, ale jeszcze tej nocy nikczemny Hartmann może go ukraść ! Zakradnie się, łotr-Kameruńczyk, z obciążkami, szarpnie z nie-nacka, i już po języku !

W czeluściach pamięci zostaje lęk i obraz zaciśniętej w kułak nienawiści : Wirckubowa zaciska wielką żółtą pięść na korbie magła, Wirckub ściska pociągiciel w fioletowych palcach aż mu nadgarstki przeświecają przez skórę, a wokół osaczonego olsztyńskiego żyjątko wyrasta w tej chwili niewidoczna dla oka muszla, która go odciąć nie tylko chronić, ale i więzić będzie przez długie lata...

— Mimiec rechoce kiejby zaba — poucza Wirckub przy kopycie.

— O Polak ?

— Poulska mowa, ho-ho, je dycht najpsiekniejso. Matka Bouska mówi jino po poulsku.

— Gadki powziadota, łociec — poprawia go Wirckubowa, bieglejsza w teologii od męża. — Recht mota, że mówi po naszymu, ale zawdy tylko w niedziele.

— A na codzień ?

— Po niebiesku — wyjaśnia gruba Warmicha po naszymu.

Wirckubowie wiedzą wszystko. Jakże im nie ufać ?

*Foz do Douro, „westchnienie malarzy”,
kotlina drzewek migdałowych, 5 czerwca*

Nie, to nie jest mój pierwszy powrót do gniazda wilkołaków. Znam to upiorne zamczysko od bardzo dawna. Ściślej mówiąc : od dobrych kilkuset lat. Właściwie byłem tutaj zawsze. Nigdy w świat nie wyjeżdżałem. Trudno mi nawet mówić o jakimś „powrocie”, skoro duchowa obecność ważniejsza jest od cielesnej. A podręcznik historii i książki z ojcowskiej szafy dbały już o to, bym się z tego miejsca na krok nie oddalał. Nawet sny mnie pod ten mur podprowadzały. Tak więc zamek nigdy mnie nie opuszczał. Widać go było przez okno dziecięcego pokoju w smudze księżycy. Wisiał nad łóżkiem w postaci starego miedziorytu. Nawet w obcych stronach spoglądał na mnie ze zwykłej, zniszczonej pocztówki, przybijanej do coraz to innych tapet i ścian. Ile krajów objechał w walizce ! Każdy z nas wozi ze sobą jakieś pamiątki niedorzeczne po świecie. Wziąłem go kiedyś do odrapanego hoteliku w San Francisco. Słapiami okopconych okien straszyl mnie w Wenecji i pod Barceloną. Zawieruszył się kiedyś w Londynie, w kolejce podziemnej, ale odnalazłem go w biurze rzeczy zagubionych. Bałem się go od dziecka, ale trudno mi się było z nim rozstać na zawsze. Czulem się nieraz jak ów młodzieniec z romantycznej noweli, który sprzedał swój cień diabłu.

Wystarczyło oderwać wzrok znad Grażyny czy Konrada Wallenroda, a od razu z mgieł przeszłości wyłaniała się mrowana, brunatno ceglasta groza wczesnego dzieciństwa. Blanki, mury warowne, baszty ochronne, kraty żelazne w bramach, strzelnice, fosy, mosty zwodzone — świat bez liłości. Nie było zamku warownego na świecie, który by z miejsca nie przybierał wizerunku olsztyńskiej fortecy zakonnej. Ku tej wieży z blaszaną chorągiewką płynął z kart Sienkiewicza lament Danusi i wyglądały puste oczodoły Juranda. Nad tę fosę kaczeńcami porosła Żeromski wiódł swego strzygonia w habitcie, Hermana Balka spod Kwidzyna. W głąb gotyckiego krużganka

ulatał wiersz Trembeckiego o księciu biskupie warmińskim. Piewca Sofijówki naszą Warmię nazywał „obcym krajem”.

Tak, a tę basztę nazywano kiedyś w miasteczku „beluardą”. Także i kratę w bramie, choć nie zachował się po niej nawet kolec zardzewiały, określano z cudzoziemską „katarakcją”. Zapewne dla uświetnienia zabytku, gdyż nic tak nie imponuje swojakom jak obca i niezrozumiała nazwa! Brzmiało to jednak sztucznie i pozostawało w jaskrawej niezgodzie z epoką: posępna, do więzienia podobna, budowla nad Łyną nie miała nic wspólnego z późniejszymi, na pół fantastycznymi warowniami, zdobywanymi przez Jana Trzeciego w „Psalmodii polskiej” Wespazjana Kochowskiego.

Dotknąłem starego muru czubkami palców. Jak „samopiśzącego” talerza na spirytystycznym seansie. I chociaż dla dzisiejszych uszu odkrycie moje może brzmieć teatralnie, jeśli nie wręcz humorystycznie, nie mam zamiaru go przemilczać: poprzez grudki pokruszonej w ciągu wieków zaprawy murarskiej, poprzez suchą chropowatość pękniętej cegły poczułem nagle żywy puls bijący w głębi ściany. Gdybym się nie lękał fałszywego patosu, mógłbym zawołać na cały zamek, ku zdumieniu kustosa i zwiedzających, że oto włączam się do plemiennego kręgu, że nie przybywam tutaj jako nieświadomy ukrytych przeznaczeń turysta, ale wracam na miejsce urodzenia jako syn tej ziemi, żywa cząstka wszystkich tutejszych atawizmów i fatalizmów, ogniwo w łańcuchu pokoleń zbratanych wspólnym niepokojem, smutkiem i lękiem...

Ej, ty na szybkim koniu z papieru!... Po co te słowne zakrętasz? Nie pozwólmy się tyranizować literaturze patriotycznej, skądkolwiek by na nas nacierała! „Łańcuch pokoleń”, „plemienny krąg”, „wiatr od morza”, „trop Smętka”, „płonąca granica”... Koleiny prowadzące do nikąd. Niewiele dobrego wyrasta dla świata z odkurzania rekwizytów mrocznej mistyki „Blut und Boden”, z rodzimej i obcej Wagneriady, a jeszcze mniej dla wiecznie poniewieranego podmiotu dziejów: pojedynczego człowieka. Uczono mnie kiedyś w szkole przy „Mowie o narodowości Polaków” Brodzińskiego, że „sam Bóg chciał mieć narody, jak ludzi, indywidualnymi”, chciał by każdy naród był wyrazem pewnej jemu tylko właściwej idei, by miał swoją osobowość, zwaną przez poetę „sumieniem” i „powinnością”. Natchnione słowa... A jednak...

A jednak z cegłą krzyżackiego zamczyska pod stopami, z dzwonem pobliskiej katedry w uszach i z potężnym konarem starego dębu w oczach, nie mogę się oprzeć podejrzeniu że wszystkie nasze huczne sprawy, walki, triumfy i rozpacz mogą być zaledwie jednym wielkim złudzeniem, zwykłą abstrakcją podgorączkowanego surrealisty, a jedyną naprawdę konkretną treścią życia jest niestrudzony bieg tej oto czarnej rzeki w odnalezionej po latach dolinie dzieciństwa, twoje powietrze, twoja ziemia z którejś wyszedł i w którą się obróciś, i ta garść mazurskiego piachu, co sypie ci się przez palce. Szczęśliwy kto

rodzi się i umiera na tym samym kartoflisku. Dopiero rozłąka, nauczycielka mądrego defetyzmu, przywraca nam właściwą hierarchię wartości.

*Costa Nova, wieża Maurów,
gaje cytrynowe u ujścia Aveiro, 6 czerwca*

Nad rzeką mądrzejszą od wydarzeń unoszą się mewy przybłąkane znad jezior, słońce błyszczący w kamiennym oku biskupa Waczenrode, a tam, w prawo, za potarganymi sosnami, w Ostródzkim, modlą się w zmurszałych, drewnianych kościółkach. Na konfesjonat mówią „słuchalnica”. A co dziwniejsze: jak wieść niesie, odprawiają nieraz podejrzone, pół pogańskie stypy. Nie godzi się tam mówić o najbliższych że umarli, to nieuprzejme słowo. Człowiek, nie gad: trzeba o nim powiedzieć że z dechu wyszedł.

— Cegój rycys, dziewciaku? — pytają w Szafaldzie splekanej dziewczyny.

— Jak ja nie mam buceć? — chlipie sierotka. — Adyć krowa nama zmerli i matula zdechli!

To znowu inna przypomina się powiastka z ojcowskiej skarbnicy: o stypie w Pęglitach. Jeszcze stary Kuspiel dobrze nie ostygł, a już Kuspielowa sprasza gości na psiwko i tańce. Chałupa aż huczy z radości. Wpada ksiądz, co niedawno z Bochum tutaj nastał i do starego obyczaju jeszcze nie był nałożony.

— Poganie! — sroży się, zgorszony. — Czy wam ta trumna w tańcu nie przeszkadza?

— Rychtyk że przeszkodzo! — mówi Kuspielowa. — Ganz rychtyk mówzicie! My ją zaroz hochkant w sam róg ustawimy!

W mgnieniu oka narychtowali biednego Kuspiela w pudle na sztorc i od razu więcej luzu było w izbie do tańca.

Może tak było, a może i nie? Nie takie to znów ważne. Jeśli nieprawdziwe, dość zręcznie zmyślone, bo w lesie do prawdy, dziwne zachowały się zwyczaje. Za Mikołajkami, na przykład, za zbawienie duszy zawsze tylko z jednego wolno pić kieliszka. I chociaż cała kolekcja szkła błyszczący za gablotką kredensu, tylko jeden kieliszek wódki krąży wokół stołu aż wszyscy po kolei umoczą w nim wasy i usta. Czasem i przez pół nocki piją tak społem za zdrowie przedwcześnie zgasłego.

Na zdrowie, na wiekiście, mój zacny Kuspielu!

Mówią że światło elektryczne zmienia świat wierzeń człowieka. Po pierwsze: to nieprawda. A po drugie: nad jeziorem Łuknajno, w rybackiej chałupie, nie ma elektryczności. Księżyc im tylko świeci i skrzydła kilkuset łabędzi. Więc ten jeden kieliszek krąży tam pewnie dziś tak samo, jak kiedyś przed wiekami.

Raz jeszcze podszedłem do okienka, w którym, jak mówią w mieście, wielki astronom „lubił się zamyślać”. Słońce

z punktualnością zamkowego szyldwacha obeszło górną galerijkę i przystało w innym wykuszu. Smugi ceglatego kurzu przedarły się przez otwory strzelnicze w baszcie na kamienne schodki. Goty, podmyty ciepłem, zapachniał starością. Niedługo zamkną zamek dla publiczności. Trzeba się śpieszyć, a tu jeszcze tyle do obejrzenia!

Ech, bo najlepiej by z dachu tej krzyżackiej rudery skoczyć za ścianę lasu i czasu, rozerwać horyzont łokciami jak papierową dekorację, rzucić się całym ciężarem ciała na to roziskrzone niebo jak na drzwi, wyrwać je z zawiasów, i znowu znaleźć się przed rozchybotaną furtką ogrodu, niedomkniętą przed wielu laty... Położyć na niej niecierpliwą rękę i patrzeć jak czas z niej wycieka, jak palce maleją, jak zmienia się i topnieje w drobną i słabą dłoń dziecka...

Była tam leśniczówka, a może zwykła rybacka szopa? Wyglądała jak oślizgły, mchem i zielonym liszajem oklejony korab, z trudem unoszący się na wezbranej paproci. W jednej z kajut tej pogruchotanej przez czas łodzi słychać było śpiew. Może właśnie tam, w kręgu starych rybaczek drących pierze przy naftowej lampie, odnalazł byś lata pogubione w świetle, spokój ducha, radość nadziei? I znowu posłyszał kaleką strofę starego psalmu, brzmiącą jak pozdrowienie z samego dna zatopionej Atlantydy dzieciństwa:

*„...o psiekna świata fabryko,
podobaj się komu tam chcesz,
zwierzchnie twoje lśnienie,
wsićko jest scyrych klęsek odzież,
wsićko jest wej omamienie...”*

Na tej ziemi niezwyklej jest miejsce i dla psalmów sędziwych gromadkarzy, odśpiewujących szwabachę z kancyonału Wasiańskiego, i dla polskich lutrów biskupa Burschego, i dla pątników pielgrzymujących co roku po żniwach na „łosiery” do Cudownej Gietrzwałdzkiej czy na odpust do odległej Świętolipki, i dla pogańskiego Kołboga przyczajonego o północy na Czarciej Wyspie po środku jeziora Śniardwy... Kołbóg zilk jest zielgachny, chto go tylko łoboczy, pod zistrz niech łumyka! I niech go Bouska Łopsieka!...

Zabobonne chłopcy, te Mazury! Na każdą wodę wypłyną i w każdą pogodę, na pływające wyspy się wyprawiają, ale jak im się jakiś „zilk” przywidzi, nie ma sposobu. Na Dobskim, na przykład, nie chcą chodzić na kępę kormoranów. A szkoda, kormoran — morski kruk, lśniący czarny, krzyżacki ptak. Kroplę bursztynu ma w oku. Gdzie kormoran, tam dobra ryba, ale nawet tym nie znęcisz starego Laterne, odkąd jeleń się tam zimą po lodzie przeprawił. Wiosna mu odwróciła odcieła. Po płytkim przepłynąć nie może: długie nogi ugrzęzłyby mu w dwumetrowym bagnie. Więzieln został na kępie i „straszy”

w krzewach leszczyny. Kto go tam wie, czy on jeleń naprawdę? Pewnie zilk jakiś zielgachny!...

Figueira da Foz, u ujścia Rio Mondego, fort Santa Catarina, gaj pomarańczowy, ocean, 8 czerwca

Wiatr pachnie rybą, piana roztrąca sitowie. Ach, widzę go, samotnego skazańca na kępie, na tle jeziora wysrebrzonego księżycem! W oszklonym oku migoce gwiazdka i światło gra na świeczniku rogów. Pocztówka z lat dziecięcych...

Są i tacy, co w głąb puszczy Piskiej chodzić nie chcą, by czarnego nie zobaczyć bociana, zwiastuna nagłej i niepoświęconej śmierci:

*— „Corny klek od Belzebuba,
nie potrż psierwszy, bo to zguba!”*

— Może jakieś frechowne poświetniki, wysierdki i czygany się nie boją — mówi stary Geldub ze Skajbotów — ja się bojam i fertig. Diabła nama łobzorguje!

Geldub, to nie byle kto! Znał jeszcze na pół mitycznego Winczara-powsinogę, wędrownego kramarza, czarodzieja i znachora, a przede wszystkim zaklinacza serc dziewczęcych. Wystarczyło, że Winczar za jednego talara ubogiemu rybakowi list miłosny napsisł, a najpiękniejszy dziewczciak w kraju, choćby z grafowskiej familii, po uszy zakochany, rybacką białką ostać musiał, i już. Za dwa talary powsinoga urodzaj pomnażał, choćby na piaszczystej roli, i przed kłakolem gbura chronił, a za trzy — ledwie zipięcemu starykowi moc męską cudownie przywracał...

*„Cy to dziwka cy to stara,
kożda ceko na Winczara...”*

Niech tam tylko pęcherzyki błotnego gazu zabulgotają w czarnym bajorze, babiny w Oleckim, sędziwe gróźki, żegnają się pod chustką i mruczą:

— Dycht w Berlinie na kuminie diabeł Mimca dusi...”

— Żaden angst — zarzeka się Geldub — ale co baczę, to baczę...

„Baczyć”, to pamiętać. Zwłaszcza starego Wistubę mam ochotę pogładzić po bursztynowej ręce, gdy zamiast „o Bogu”, mówi „o Bodze” i jego „swentej łopsiece”... Nic, tylko karetę posyłać po niego, zaprzężoną w cztery siwki, i co koń wyskoczy zawozić go do Warszawy, na seminarium językoznawstwa, by zechciał, tak jak stoi z przekrzywionym łbem starego niedźwiedzia, powiedzieć kilka słów po staromazursku.

— Coście też, dziadku, robili przez całe życie?

Wiśłok odpowiedziałby: „łowilem ryby”. Wistuba rzecze piękniej:

— Rybacułem sobie...

O, Warmijo, słodka „jako mniód”! O, Mazuri, „plakający kwiatuśku” — jak śpiewał Kajka w Ogródku.

Ino te nazwy wiossek zapadłych. Dalibóg, mogłyby być pobożniejsze: Zamordeje, Pupy, Babięta, Zyzdrowy Piecek, Cierzpięty... A są i takie, co rumieniec gniewu wywołały niegdys na ascetycznej twarzy biskupa Waczenrode: Przydupki, Zasraje, Zebździochy, Zapierdki...

Wistuba, stękoc nad stękoce, lamentuje że „dwa księżyce temu” przenieśli go z drewnianej chałupy do „białego, muranego domu”. W skrzelałach mu teraz cosik „gżizdo”, dech ma za króćki, skaradna cegła „ani luftu nie pusco ani cugu”...

O, jakże cię rozumiem, zacny krajanie! Pół życia spędziłem w „skaradnej cegle”, między bezdrzewnymi ulicami i wysmolonym asfaltem, w pożyczonym i nieprawdziwym świetle. Dopiero dzisiaj unoszę wieko znad głowy. A tutaj niebo tysiąca skrzydeł, ulewa piór i wiatr żywiczny w gałęziach!

Zdarza się nieraz w utworach słodkiego truciciela naszej młodości, Żeromskiego, że ten lub inny bohater, mieczem olśnienia przepołowiony, romantyczną błyskawicą przeszyty, w jednej chwili widzi i wie wszystko. Któż z nas nie doświadczał podobnych objawień? Nie spuszczać wzroku z łańcucha jezior i lasów na horyzoncie, ujrzałem całą urodę odzyskanej ojczyzny w jednym przeblysku.

Wszystkie barwy, zapachy i głosy olśniły mnie na raz: podmokły mrok buków, gęste liście pałki wodnej pod wiosłem; piskłę czapli do wiedzy podobne; nakrapiany kaftanik perkoza odbity w dymiącym rozlewisku; ostry krzyk po nocy: kuna zakradła się do czaplińca; węgorz wijący się w dziobie kormorana; chmura jętek nad fioletami dzikiego łubinu; odór gnijących ryb w upale i ptasich odchodów; księżyc nocnego połowu, przecięty siecią na wodzie; dzwon na niewidocznym brzegu, to oddalany mokrym wiatrem, to przybliżany; i lament przeciągły pod figurą Matki Ryb: „Chtooo się łoop-sieekee...”

Nazaré, „perła Portugalii”, wśród palm, winnic i eukaliptusów, 9 czerwca

A nade wszystko: wyprawa na orła bielika! Po drugiej stronie jeziora Śniardwy! „Nasz łorzeł jest biały”... Ochryple krakanie nad wierzchołkiem sosny, sucha jak tytoń paproć sypie się z gniazda na oczy, jasno szare pióra nad głową. O, teraz go widać wyraźnie. Miliony ludzi widują go tylko na herbie i na pieczętkach, na wojskowej czapce, a ja go widzę żywego! Jeśli prawdą jest, że Lech znalazł jego gniazdo pod Gniezmem, nie mógł to być orzeł skalny, tylko właśnie ten. Czub ma na pół zjeżony jak niedoczesany chłopak, który w

pośpiechu zmoczył włosy pod kranem, ale nie zdążył ich przylizać do czaszki, a szpony większe od ludzkiej ręki. W głębi otwartego dzioba, jak otwarta rana, czerni się krwawo czerwona gardziel, oko pali się blisko dzioba; skrzydła rozpięte szeroko, szerzej od męskich ramion, a przeszyte na wyłot setkami błyszczących szpilek słońca. Jest na co popatrzeć! Majestat i ostre pogotowie. Nasz ptak...

Bądźmy sprawiedliwi: nasz, ale chyba i Wilhelma Grotha spod Bartoszyc, gdyż ptaki, póki żywe i nie wypchane, są, na szczęście, bepaństwowcami. Rówieśnika Wistuby, starego Grotha, poznałem kiedyś przypadkiem w dalekim Wisconsin, na przedmieściu Milwaukee. Syn Grotha już amerykańskim „doctorem” został, czy nawet „rehtorem”, a wnuk cudzoziemski szurek, do swej wschodniopruskiej gróźki już tylko po angielsku szwargotał. Ale nas, ludzi stamtąd, od razu połączył znajomy dąb pod Bartoszycami.

— *Mein Gott! Der alte Bartek!* — starzy zaczęli wspominać króla drzew jak kogoś bliskiego z rodziny. — Z wioski Rygarby. Od ilu lat tam stoi? Chyba od sześciuset? A jak wyrósł! 30 metrów! A jaki dykus: osiem metrów w obwodzie...

Sine, żyłaste ręce rozpościerali w powietrzu jakby go chcieli objąć po latach rozłąki.

— *Dort ist am schönsten* — wzdychali.

— *A wonderland...* — krzywił się wnuczek z niedowierzaniem.

— Nie wytrzymałbyś tam, fater, dłużej jak dwa tygodnie — mówił „dochtor” z pobłażliwym uśmiechem. — *Ostpreussen, Ochsenpreussen! Believe me:* z daleka każdy loch wygląda wie *ein Paradies...*

Starzy spoglądali na syna „dochtora” i wnuczka-niedowiarka w sportowej wiatrówce ze smutkiem. A potem podnieśli zmętniałe oczy na mnie i wtedy zrozumiałem, że ja, Polak urodzony w Olsztynie, a podług nich: w Allenstein, jestem im w tym momencie znacznie bliższy od własnej, duchowo już wynarodowionej rodziny.

— Cóż oni mogą wiedzieć o n a s z y c h stronach? — powiedział mi Herr Groth na pożegnanie. — *Heimat bleibt Heimat...*

S. Martinho do Porto, modne kąpielisko nad zatoką Concha, las piniowy, aleje palm daktylowych, tyraliera drzew korkowych, kolegiata na czerwonej skalce, 10 czerwca

Już szósta, jeśli wierzyć dzwonom u św. Jakuba. Co wojny przy płaczu gróźek, na znak protestu owiniętych w żałobne chusty, zdejmują je z wieży i przelewają na armaty, i co pokoju zawieszają je na nowo. Wojny przychodzą i odchodzą, a dzwony biją po dawnemu, jakby rzezie i zagłady nie były rozmyślnym dziełem rąk ludzkich, jeno popisem ślepych sił przyrody na równi ze zmianą pór roku, przyplływem i odpły-

wem morza. Czas schodzić ze szczytu zamkowej wieży: Olsztyn czeka w dole; podróż zwolna dobiega końca. O każdym dębie, o każdym jeziorze i o każdej z tych wiosek, przykrytych mchem czasu, można by napisać grubą księgę, Baedeker wiernej miłości, ale po co wypatrywać zielonej obręczy na widnokręgu i przybliżyć krajobraz przez lornetkę, gdy zaledwie o kilka kroków stąd...

Tak, na tej fosie, schowanej do połowy pod bluszczem, uczyłem się chodzić, stawiałem pierwsze kroki, próbowałem słabą stopą przytrzymać ziemię w pędzie. A tam za wachlarzem bzu, nieco w głębi, wpadł kiedyś kamień do naszego pokoju. Po przegranej plebiscycie mama wróciła w zabloconym kostiumie i z płaczem rzuciła się na łóżko, ojciec leżał na podłodze z rozciętą twarzą i nie pozwalał nikomu podchodzić do okien, a w nocy spaliśmy w kuchni pod stołem, bo przez wybite szyby wpadały do środka kamienie, cegły i bryły błota...

— *Raus nach Warschau!* — huczało na Dolnokościelnej. — *Raus, ihr Antken!*

A za tym mostem, za altaną przedzierał się kiedyś płotek z malowanych desek. Przez krzak agrestu, pamiętam, rybak w czarnej kapocie podawał mamie koszyk ryb przywieziony w podarku do miasta. Płotek sięgał mu do roześmianych oczu, wąsy widać było poprzez listki agrestu. Wesoły był to rybak: Bogumił ze szczyńskiego powiatu...

Czas w miejscu nie stoi, wiele się tutaj zmieniło: altaną ktoś rozebrał, agrest wyrwano z ziemi, płotek też zniknął bez śladu. Wsićko jest wej omamienie. Jeno ten gest: koszyk ryb podany zgrabnie ponad malowaną deską zastygł w powietrzu na zawsze.

Nielatwo zapomnieć o rybaku w czarnej kapocie: to sławny Linka! Bogumił Linka. Właśnie ze Bogumił, a nie Gottlieb, jak go kiedyś chciano przepisać w Żądźborku. Ten sam, co z delegacją do Wersalu pojechał prosić prezydenta Wilsona i marszałka Focha o sprawiedliwość. Nowe buty do kolan uszył mu na drogę cholewkarz Wirckub w ciągu jednej nocy, oczywiście za darmo — dla dobra sprawy. Podobno Linka swoim wyglądem wywołał furorę w Zwierciadlanej Sali, jeśli prawda jest, że podobna próbka kolorytu lokalnego może uskrzydlić wyobraźnię dyplomatów i mężów stanu. W każdym razie natchniony Paderewski, wskazując na regionalne delegacje ze Śląska, Warmii i Mazur, mógł zawołać:

— Przyszli tutaj bracia moi, ludzie prości jako ci pasterze chaldejscy...

A gdy Linka wrócił do rodzinnej wioski... O jego śmierci uczą się dzisiaj dzieci w szkołach. Także i o tym, że grób mu stratowano, a dwóch Bogu ducha winnych synów na dziesięć lat poszło do więzienia. Za... kłusownictwo.

Lecz spójrzmy jeszcze na mostek, owinięty bluszczem, i na tę poręcz z brzoźowego drzewa, na której ktoś wyciął serce! Nasz prowincjonalny i obcemu światu (ba, nawet Warszawie!)

mało znany Panteon ma wychodne. Rodzina Pieniężnych po niedzielnej kawie z kuchem idzie sobie — wej! — spacirować po małomiejsku nad rzekę. Pani Joasia, córka wiejskiego kowala z Dużego Klebarka, w długiej spódnicy z falbanką do kostek, w kapelindrze z rajerem, z echt berlińską parasolką. Ukłonił się jej nisko, w rękę spracowaną pocałuj z szacunkiem, to nasza Anna Chrzanowska. Chudy drukarz w za dużej jaszce, z obrozą sztywnego kołnierzyka na grdyce, to syn jej Władysław. Poległ w niemieckim mundurze od francuskiej kuli pod Reims. A ten drugi, w nowym wiosennym ancugu, to Seweryn, przemytnik polskich szczonek zza kordonu, niepoprawny podpalacz miejscowych serc i umysłów, ostatni na barykadzie, Leonidas w kitlu zecera. Zginął po latach z synem w otchłani Hohenbruchu, na śmierć zamęczony; żonę, Wandę wywieźli do obozu... Bez rodu Pieniężnych i wydawanej przez nich gazety „nasz łorzel” nie byłby „bziały”... ..

Stary Groth w Milwaukee ze łzami w oczach mówił mi o cierpieniach i stratach, jakie poniosła jego rodzina na tej ziemi w pamiętnym roku 45-tym. Będąc najpierw człowiekiem, a dopiero później Polakiem, ubolewam szczerze nad tragedią rodu Grothów i szanuję jego zmarłych na równi z moimi własnymi. Nikt nie ma prawa mówić o swojej krzywdzie, jeśli przymyka oczy na cudze nieszczęście... A jednak muszę się uderzyć w piersi — moi zmarli są mi bliżsi...

A jednak z tej wiosennej, podzamkowej zieleni, jak ze studni pamięci, wyłania się głowa kędzierzawa z listkami w jasnych włosach: czoło delikatne, niemal panięskie, oczy duże i rozmarzone, nos zadarty, uśmiech chłopięco nieśmiały. To piękna i szlachetna w rysunku głowa Janka Jagiełły-Jaegertala. Spadła później do kosza w Moabicie.

Tym się bowiem jeszcze mazurscy i warmijscy ludzie różnili od wiśloków, że ich nie wieszano: kat im głowy ścinał.

Zgięta w kabłąk Wirckubowa, Niobe przerażonego dzieciństwa, klęczy przed obrazem pierwszego umęczonego na tej ziemi, żegna się zamasyżycie przed zakopconym oleodrukiem, żółty kciuk całuje z głośnym cmoknięciem, głos jej rwie się poprzez lata:

— Módlma się za Jagiełłę z łobciętą głową! Swenty Wojciechu, łopsiekunie nasz, łotwórzu mu drzwirze do nieba!

— Nad dębową furtą starego zboru w Ostródzie — mówi stary Wirckub ze złym błyskiem w oku — widniał napis po polsku „Dom Boży”. Gotycki był to napis, „krakowskim śriftem” wymalowany. Ale którejs nocy przyszło ich kilkudziesięciu. Smołą go zamazali...

— Trzeba było nie pozwolić!

— Głowę by nama łobcięli.

— Kto taki?

— Oni!

Oni! Znowu „oni”!... Wielki Mistrz w białym płaszczu, komtur z katowskim mieczem, feldwebel w pickelhaubie, zan-

darm w świątym kasku, Max Worgitzky w czarnych sztyblach podkutych gwoździemi...

Taki jest twój warmijski elementarz, wiatyk na polskie życie.

A ten drobny, skurczony chłopaczyna w połatanych „drei-viertel”-porciętach (nic dziwnego: jedenaścioro rodzeństwa w domu!), co jak jaskółka śmignął przed chwilą, a może przed latami, nad brzegiem lśniącej rzeki (jeszcze widać jego cień biegnący na wodzie!), to najmłodszy szurek Żurawskich, „Fonsio-śmieszek”. Wesoły pędziwiatr! Ści-ga się z własnym śmiechem. Daj mu Boże, niech biegnie! Ma jeszcze kilkanaście lat życia przed sobą, zanim go skazą na śmierć za „zdradę”. Za zdradę? Za wierność.

Tam, w dole, na ścieżce trawą porostej, uczył się jeździć na „kole” Rheinhold Barcz, co hymn plebiscytowy Nowowiejskiego wyśpiewywał do słów zawziętych:

„...rodzina ziemi ma,
miłością pierś ma drga”!...

Toporem go później ścięli, jak wielu innych. I ten z rozciętą twarzą, ze wszystkich mi najbliższy, też już nie żyje, dosięgnięty zemstą komturów. I pomyśleć tylko, że ja tu dzisiaj wróciłem — pokłonić się żywym i umarłym.

Ale czas dołączyć do reszty towarzystwa. Zaraz zapadnie wieczór. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na dachówki dogasające w smudze czerwieni, na spóźnionego gołębia wylatującego spod rynkowej arkady, na wiecznie ciemną wstążkę domowej Lyny.

Tutaj jest mój świat. Jeziora, dęby i mewy dzieciństwa. Mrok lasu i szelest sitowia na wietrze. Chrupki trzask łamanego igliwia pod stopami i skrzywienie wioseł w trzcinie od dżdżu ciężkiej. Liche kartoflisko pyłem przydrożnym pobielone. Ścier-nisko czarne od wron. Wioski zgięte pod ciężarem życia. Ludzie tej samej mowy. A przede wszystkim niebo. Niskie, chmurne i zabiedzone. Ale własne i niezastąpione.

Do widzenia, ziemi rodzinna „krsio mech przodków złano”! Jeszcze nieraz tutaj wrócę. Na jawie lub we śnie. Zamiast kwiatów przyjmij ten list miłosny na powitanie. A kiedyś, po długiej i błędnej wędrówce, przyjmij i tego, co pisał te słowa. Przyjmij go w otwarte ramiona drzew nad rzeką. Użyź mu ciszy, cienia i garści wilgotnego piachu...



Jutro jadę dalej: Ericeira. Pojutrze: Carcavelos i Estoril, potem jakaś Arrabida, może jeszcze Vila Nova de Milfontes czy inne Armação de Pera...

Rzeczywiście... Nie ma to jak podróż po Portugalii!...

Tadeusz NOWAKOWSKI

Archiwum polityczne

Księżyc sprzed trzystu lat

Po obu stronach barykady odbywa się rewolucja „scjentyficzna”. W tym wypadku nie chodzi tylko o zdumiewający postęp nauk ścisłych — o energię atomową, automatyzację itd. Jak zauważył Sir Charles Snow w swym studium pt. „The Two Cultures and Scientific Revolution” — na Zachodzie obok kultury tradycyjno-humanistycznej rośnie druga kultura „scjentyficzna”. Przepaść między tymi dwoma kulturami stale się poszerza — przy czym kultura tradycyjna wyraźnie traci grunt na rzecz swej konkurentki. Według obserwacji Sir Charles Snow — technicy fizycy, chemicy — literatury, poezji, prawie nie czytają. Charakterystyczny wyjątek stanowi muzyka, która w jakiś intymny sposób harmonizuje z matematyką i naukami ścisłymi.

Ktoś może powie, że zawsze tak było. Już trzydzieści czy czterdzieści lat temu istniała przepaść pomiędzy fizykiem, a historykiem literatury — pomiędzy chemikiem a filologiem klasycznym. Dawniej jednak ów przedział miał zupełnie inny charakter niż dziś.

Wydaje mi się, że na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza postęp nauk ścisłych, a w szczególności fizyki — wytworzył zagadnienia, na które nie znajdujemy odpowiedzi w ramach tradycyjnej kultury. Ale to jeszcze nie wszystko. Humanistyka skarłała w świetle majestatycznych osiągnięć nauk ścisłych. Fizyka współczesna to nie tylko lodówka i bomby wodorowe w bazach amerykańskich, lecz również wspaniała konstrukcja intelektualna, od której piękna jesteśmy zupełnie odcięci. Trzeba być zupełnie pozbawionym wyobraźni by nie wyczuwać duchowego zubożenia jakie niesie z sobą technologiczny analfabetyzm tak typowy dla humanistów mojego pokolenia.

Kultura technologiczna znajduje się w ofensywie. Przed młodym człowiekiem, który wybiera studia techniczne wszystko stoi otworem. Stypendia, ułatwienia, wybór doskonale

płatnych stanowisk. Perspektywy życiowe młodego humanisty nie są zachęcające. Stanowisk dla humanistów jest coraz mniej i są coraz gorzej płatne. W Anglii i na całym świecie — podaje się rewizji programy szkół. Dawnego typu „ogólne wykształcenie” humanistyczne, zastąpi wkrótce „ogólnę wykształcenie” technologiczne.

Co to ma wspólnego z dziennikarstwem, z publicystyką, z literaturą? Można na to pytanie odpowiedzieć obrazowo. Małe procent ludzi, którzy czytają i rozumieją prozę pisarzy à la Gombrowicz czy poezję à la Miłosz. Bo mimo postępowości, nowatorstwa i doskonałego poziomu artystycznego — pisarze tego typu i tej kasy reprezentują humanistyczną, tradycjonalistyczną kulturę. Nawet tak niekonformistyczni i wydawać by się mogło antytradycyjni pisarze jak Gombrowicz mieszczą się z całą swoją „rewolucją” w ramach cofającej się tradycyjnej kultury i poza nią są całkowicie niezrozumiali. I w tym sensie Gombrowicz (którego osobiście cenię bardzo wysoko) nie jest heroldem „nowego” lecz przeciwnie, jego proza jest łabędzim śpiewem „starego”.

Za lat dwadzieścia czy trzydzieści większość wykształconych ludzi będzie znacznie więcej wiedziała o Einsteinie niż o Platonie — więcej o technologii niż o Grecji i Rzymie — więcej o atomach niż o heksametrach. To nie oznacza by świat ku któremu zmierzamy składać się miał z samych techników i inżynierów. Oznacza to jednak, że wykształceni ludzie, bez względu na zawód i specjalność — uformowani będą przez inny typ szkół inną atmosferę intelektualną i z całą pewnością ich myślowy horyzont będzie rozarty pod innym kątem niż nasz.

Czytelnik epoki „scjencyficznej” wymagać będzie zupełnie innego typu literatury i publicystyki, niż czytelnik tkwiący głową i nogami w kulturze tradycjonalistycznej.

Reprezentantów kultury „scjencyficznej” po obu stronach ideologicznej barykady cechuje — bardziej lub mniej uświadomione przekonanie, że masami ludzkimi można manipulować w sposób naukowy. Kultura „scjencyficzna” jest zaborcza i wykazuje tendencje do „unaukowienia” całości ludzkiej wiedzy i doświadczeń. Przez „unaukowienie” należy rozumieć w tym kontekście wysiłki zmierzające do nadania pewnym gałęziom wiedzy charakteru nauk ścisłych. Dotyczy to w pierwszym rzędzie socjologii i psychologii. Gdyby kiedyś powstało proponowane przez Dr. Thoulegs „Association for Social Psychological Resolution of International Tensions”, polityków zastąpiłby specjaliści naukowcy a konflikty międzynarodowe byłyby rozwiązywane niejako klinicznie. Prof. Thoulegs sam nie wierzy w realizm swego projektu — niemniej fakt, że tego rodzaju pomysły nurtują naukowców doskonale charakteryzuje obecną sytuację.

Ogórne, „naukowe” manipulowanie masami ludzkimi natrafia na przeszkody, ponieważ ludzie wykazują różne światopoglądy i w konsekwencji hołdują różnym przekonaniom ideo-

logicznym, filozoficznym, religijnym i politycznym. Ujednolicenie w pewnym stopniu masy ludzkiej byłoby możliwe tylko poprzez akceptację wspólnego, jednolitego światopoglądu. W zakonie Jezuitów nie ma partii politycznych ani frakcji opozycyjnych, ponieważ wszyscy członkowie zakonu wyznają jeden światopogląd skodyfikowany w regule Św. Ignacego Loyoli.

Kultura „scjencyficzna” nie dysponuje naukowym światopoglądem. Gdyby istniał naukowy światopogląd, oczywiście wszystkie inne światopoglądy zbankrutowałyby tego samego dnia, gdyż tylko światopogląd naukowy byłby prawdziwy i sprawdzalny.

Po tamtej stronie ideologicznego płotu sytuacja układa się inaczej, ponieważ komunizm dysponuje „naukowym” światopoglądem. Jak słusznie zauważył Zbigniew Jordan w swym doskonałym artykule o pracy L. Kołakowskiego o Spinozie. („Kultura” 7/141-8/142), filozofia i nauka są w marksizmie-leninizmie podporządkowane światopoglądowi. To wszystko co na Zachodzie uważa się za najbardziej wątpliwe, sporne i niesprawdzalne — marksizm traktuje za niewzruszone pewniki. I dla tego „socio-inżynierowie” komunistyczni nie mają trudności ani skrupułów w manipulowaniu masami ludzkimi.

Wszystkie kazania Żółkiewskich i Werblanów pod adresem pisarzy, mimo swych talmudycznych pogmatwań — zawierają przecież jedną prawdziwą sugestię. Literatura musi wejść w epokę scjencyficzną ponieważ ludzkość wchodzi w tę epokę. Jest natomiast nieporozumieniem i naiwnością od pisarzy odchodzącej epoki domagać się nowej literatury.

Zilustrujmy rzecz przykładem. Nie wyobrażam sobie by zbeletryzowaną biografię Einsteina mógł napisać literat, który nie wie na czym polega mechanizm tramwaju, którym codziennie jeździ do swojej kawiarni. Dobrą książkę o Einsteinie mógłby napisać tylko pisarz o poważnym wykształceniu w dziedzinie nauk ścisłych. Gdzie są tacy pisarze? Nawet gdyby się dziś znalazł pisarz dysponujący tego rodzaju przygotowaniem jego książka musiałaby być ujęta niezmiernie popularnie, ponieważ przez tzw. „ogólne wykształcenie” jeszcze ciągle rozumie się wykształcenie humanistyczne, a nie technologiczne. Ale za trzydzieści lat sytuacja ulegnie zmianie. Książki o Einsteinie nie będzie trzeba wówczas ujmować tak popularnie, ponieważ ogólny poziom wykształcenia technologicznego niepomierne wzrosnie.

Nasi literaci, którzy technikom zarzucają ciasnotę intelektualną i specjalizację — sami są jaskrawym przykładem ciasnoty i specjalizacji. Ich ignorancja w sprawach techniki i kultury technicznej wypływa z przekonania — w równej mierze naiwnego co anachronicznego — że istnieje tylko jedna kultura tj. tradycyjno humanistyczna. Poza nią rozciąga się czarny ład i „murzyni”. Ale Goethe epoki scjencyficznej, Albert Einstein, był również „murzynem” i jego intelektualne osiągnięcia dla humanistów są czarną magią.

Kultura „scjencyficzna” odebrała humanizmowi jego mit uniwersalizmu. Narodom zacofanym możemy zaoferować nagą scjentyfikę nie humanizm. W przeciagu trzydziestu lat można stworzyć kadry fizyków, chemików, inżynierów, technologów — ale nie można stworzyć rynku czytelniczego dla Huxley'ów, Proustów czy Mannów.

Z tych przemian humaniści na ogół nie zdają sobie sprawy. Jeszcze im się ciągle wydaje, że Olimp rządzi ziemią. Gdy spada nakład prasy literackiej humaniści podnoszą alarm twierdząc, że poziom odbiorców jest opłakany. Dla tradycyjnych humanistów istnieje bowiem tylko jedno pojęcie poziomu tj. humanistyczno-literackiego. W konsekwencji, techniczni „murzyni” winni się podciągać do ich poziomu. Innymi słowy, „murzyni” winni mieć podwójne obywatelstwo kulturalne: jako technicy i jako humaniści. Tak było dotąd, ponieważ kultura humanistyczna była kulturą panującą. Ale ten rozdział jest zamknięty. Dziś humaniści jeżeli chcą przetrwać muszą starać się o obywatelstwo w świecie kultury technicznej.

Bardzo znaczny procent współczesnych dzieł literackich jest anachronizmem już w chwili gdy ląduje na półkach księgarń. Są anachronizmem ponieważ szkoły, uniwersytety, radio, telewizja, prasa — kształtują równocześnie inny typ odbiorcy. Wydaje się książki dla wymierającego rynku. I w tym sensie bardzo znaczny procent pisarzy krajowych jest w równej mierze pisarzami „emigracyjnymi” jak Miłosz czy Gombrowicz.

W poezjach Wierzyńskiego czy Gałczyńskiego słowo „księżyc” powtarza się setki razy. Niemniej sędzę, że Wierzyński bez zaglądania do encyklopedii nie umiałby powiedzieć jaka odległość dzieli nas od księżyca. Ostatnio w Anglii podjęto próby komunikacji radiowej poprzez Atlantyk via księżyc. O naszym Satelicie ukazało się w ostatnich latach mnóstwo rewelacyjnych studiów. Przez amerykańskie teleskopy księżyc widać tak dokładnie, że gdyby na srebrnym globie istniał krakowski Kościół Mariacki to oglądalibyśmy go jak na dłoni.

Tuwim — mój „poeta wybrany za młodu” pisał przed ćwierć wiekiem: „Nie stracił czaru romantyczny smęt róż i słowików, rusałek i goplan — lecz coraz szybciej warczy życia pęd, tam gdzie jest księżyc jest i aeroplan”.

Lecz to wszystko zostało na papierze. Księżyc w naszej współczesnej poezji jest księżycem sprzed trzystu lat. Wszystkie metafory asocjacje, refleksje „księżycowe” są śmiertelnie wyczerpane, anachroniczne, irytujące, sztuczne, płaskie i nudne. Niemniej żadnemu poecie nie przyjdzie do głowy poszerzyć swych mizernych wiadomości o księżycu w nadziei, że wzbogaci łańcuch asocjacji i odkryje nowe, niespodziewane metafory. Gdyby poeci choć raz do roku spojrzeli w niebo gwiazdziste przez nowoczesny teleskop — księżyc w współczesnej poezji wyglądałby inaczej.

Księżyc symbolizuje w tym wypadku całą niemal panoramę współczesności w odbiciu poezji. Epoka scjencyficzna wzbo-

gaca i poszerza horyzonty tzw. przeciętnych ludzi, ale poeci trzymają się pazurami swej tonącej Atlantydy i problematykę własnej staroświeczyzny biorą za szczyty nowoczesności. Wido-wisko patetyczne i smętne.

W sumie wydaje mi się, że kultura humanistyczna straci w niedalekiej przyszłości swoje dominujące stanowisko. Kultura scjencyficzna jest totalna w tym sensie, że domaga się dla siebie całości sił twórczych danego społeczeństwa. Jak się raz wejdzie na drogę rewolucji technologicznej to trzeba kapitulować i wywieszać białą flagę na coraz to nowym bastionie tradycjonalizmu. Z każdym kwartałem trzeba bowiem więcej inżynierów, więcej chemików, więcej matematyków, a coraz mniej humanistów. Decydującym polem bitwy każdej rewolucji jest izba szkolna. Bo w szkole formuje się nowe społeczeństwo. Rewolucja technologiczna tę zasadniczą bitwę z całą pewnością wygra.

Osobiście skłonny jestem sądzić, że zainteresowanie poezją będzie nadal malało. Największe szanse przeżycia ma poezja małych narodów sprzęgnięta z poczuciem narodowym. Lecz tak jak dziś jeszcze przytłaczający procent ludzi o tzw. ogólnym humanistycznym wykształceniu — jest głuchy i ślepy w stosunku do elementu piękna ukrytego w „scjencyfice” — tak za ćwierć wieku przytłaczający procent ludzi, inaczej od nas uformowanych i wykształconych, konieczną dawkę poezji czerpać będzie nie z tradycyjno-humanistycznych źródeł. O nowej literaturze będzie można mówić dopiero wówczas, gdy pojawią się pisarze będący w całości produktem epoki scjencyficznej. Dziś jeszcze literatura światowa znajduje się pod decydującym wpływem średniego i starszego pokolenia pisarzy, którzy w większości traktują humanizm za Okopy Św. Trójcy w walce z komunizmem.

Na międzynarodowej giełdzie sloganów humanizm jest wysoko notowany. Przez humanizm, podobnie jak przez demokrację czy socjalizm, każdy rozumie to — co w danym momencie jest mu najwygodniej. Konieczne jest więc pewne sprecyzowanie tego terminu.

W gruncie rzeczy różnimy się od komunistów tylko w jednej sprawie. Wszystko inne mogłoby być przedmiotem dyskusji i kompromisu. W ramach kultury humanistycznej — nauka nie może być podporządkowana światopoglądowi czy to religijnemu czy ideologicznemu. Ta zasada stanowi zarówno historyczną genezę jak i istotę humanizmu. Odstąpienie od tego postulatu byłoby krokiem wstecz i przekreśleniem renesansu oraz wszystkiego co po nim nastąpiło. Tylko deklarując wierność tej zasadzie mamy prawo powiedzieć, że epoka scjencyficzna jest prawym dzieckim i dziedzicem kultury humanistycznej.

W tej perspektywie suma różnic między Wschodem i Zachodem sprowadza się do akceptacji lub odrzucenia kardynalnej zasady humanizmu. Wyrazem podporządkowania nauki świa-

topoglądowi jest monizm ideologiczny, którego ustrojową konsekwencją jest dyktatura proletariatu czyli rządy jednopartyjne. Natomiast konsekwencją niezależności nauki od ideologii czy religii jest wielopoglądowość i tolerancja, których wyrazem ustrojowym jest demokracja.

I to jest punkt w całym konflikcie co do którego nie może być kompromisu. Możemy nie czytywać poezji — zapomnieć o Dantem i Szekspirze — a mimo to pozostać humanistami. Bo o humanizmie nie decyduje ani nakład pism literackich — ani cyfra wydawanych rocznie tomów poezji — ani tradycyjny bagaż kulturalny. W okresie stalinowskim wydawano w Polsce tony literatury i poezji lecz humanizmu nie było nawet na koniec noża.

Humaniści po obu stronach barykady wykazując przyrodzoną skłonność do oportunistów — popełniają zasadniczy błąd. Jakże często godzą się na kompromis w najistotniejszej sprawie w nadziei, że za tę cenę uratują tradycyjny kulturalny bagaż. Taktyka komunistyczna w stosunku do humanistów sprowadza się do propozycji: „bagaż jest wasz — zasady nasze”. W rzeczywistości jednak bagaż jest nie do uratowania ani w Moskwie ani w Warszawie ani w Londynie czy w Nowym Jorku. Bagaż pozostawimy na płaszczyźnie owego szerokiego przejściowego pasa, który znaczy przejście z tradycyjnej humanistycznej kultury do epoki, która rodzi się przed naszymi oczyma. Księżyca sprzed trzystu lat i wszystkiego co on symbolizuje nie wniesiemy do epoki scjentyficznej ani po tej ani po tamtej stronie ideologicznej granicy. Nie walczyliśmy o tradycyjną kulturę, gdyż klęska w tej sprawie jest przesądzona. Walczyliśmy natomiast o humanistyczne ramy kultury scjentyficznej — innymi słowy walczyliśmy o to, by nowa epoka nie była w odniesieniu do zasad humanizmu odstępstwem.

Komunizm w stosunku do zasad humanizmu jest reakcyjny — przyznaje bowiem prymat światopoglądowi ideologicznemu, któremu nauka winna się podporządkować. Wszystkie oficjalne światopoglądy powoływały się w przeszłości i powołują się obecnie na... naukę. Marksizm-leninizm jest „naukowy”. Wyrok świętej Inkwizycji w sprawie Galileusza — zresztą jak na owe czasy świetnie umotywowany — stwierdził również, że teorie „Galileo, syna zmarłego Vincenzo Galilei” są mylne z punktu widzenia naukowego i filozoficznego. Na obronę Kościoła można powiedzieć, że teologia była wówczas królową nauk — podczas gdy marksizm-leninizm królem nauk nie był nigdy i nigdzie. Kościół wycofał się z praktyk inkwizycyjnych czego niestety nie można powiedzieć o „naukowym” marksizmie-leninizmie.

Na ogół humaniści nie rozpoznają istoty zagrożenia. Walczą o humanistyczny scenariusz tradycyjnej kultury — o łacinę i grekę w programach szkolnych — o antyk, o ową Via Appia z pięknego poematu Wierzyńskiego. W bagaż

humanistyczny wtłoczono również całość konserwatywnej tradycji narodowej z historycznym panteonem i karmazynowym poematem. To wszystko jest nie do obronienia, ponieważ rewolucja technologiczna, która objęła wreszcie i Polskę — wyprze z czasem tradycyjną kulturę, z którą humaniści się identyfikują. I to jest proces niezależny od komunizmu: Nie rewolucja komunistyczna tylko rewolucja przemysłowa powoduje strukturalne przemiany w polskim społeczeństwie. I tego procesu nikt nie zatrzyma. Walka toczy się nie o bagaż tradycyjny, który po zejściu ze sceny naszego pokolenia nie zostanie podjęty i wylądować w muzeum — lecz walka toczy się o zasadę — o jedną, lecz podstawową zasadę humanizmu.

Jeżeli wyłączymy wojnę atomową to przez „zwycięstwo nad komunizmem” rozumieć można tylko humanizację doktryny komunistycznej. Gdy komuniści odrzucą zasadę monopolu światopoglądowego, któremu podporządkowana jest nauka i sztuka — wówczas w świecie komunistycznym skończy się średniowiecze i nastąpi Odrodzenie. Jeżeli to w ogóle kiedyś nastąpi — to na pewno nie prędzej nim rewolucja technologiczna osiągnie swój szczyt. I wówczas z tradycyjnego schematu, który skłonni jesteśmy identyfikować z kulturą humanistyczną — nie będzie już śladu. Dlatego nie należy rozpraszać sił na walkę o prolongatę „wczoraj” — tylko skupić energię w walce o humanizację „jutra”.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

POLSKO-NIEMIECKA „REALPOLITIK”

W „Ostbrief” (Monatschrift der Ostdeutschen Akademie) — ukazał się interesujący artykuł Józefa Mackiewicza pt. „Niemcy i Polska w ramach europejskich”.

Wypowiedź Mackiewicza zasługuje na uwagę z dwóch przyczyn. Po pierwsze autor jest wybitnym pisarzem, a po drugie podtrzymuje konsekwentnie i odważnie bardzo niekonformistyczny pogląd w sprawie stosunków polsko-niemieckich.

Kiedys na łamach „Kultury” wyraziłem opinię, że naszym celem nie może być rozbięcie Związku Sowieckiego ani likwidacja komunizmu na wszystkich kontynentach globu, a jedynie odzyskanie niepodległości. Powyższą tezę Mackiewicz atakował wielokrotnie i rozprawia się z nią również w cytowanym powyżej artykule.

Autor „Drogi do nikąd” wierzy bowiem, że problem Sowietów i światowego komunizmu może być rozwiązany jedynie w płaszczyźnie ponadnarodowej ideologicznej solidarności. Innymi słowy nie rozwiążą tego problemu Amerykanie, Niemcy, Anglicy czy Polacy — lecz antykomuniści stawiający swój cel ideologiczny ponad ciasne, partykularne interesy narodowe. „Realpolitik” dawnego stylu nie sprostą temu gigantycznemu zadaniu.

Przed wielu laty, w okresie gdy na Kremlu rządził Stalin a w Warszawie rezydował Bierut i Rokossowski — ogłosiłem na łamach „Kultury” artykuł pt. „Trzeci Element”. Artykuł ów pokrywał się co do joty z dzisiejszymi tezami Mackiewicza. Twierdziłem wówczas, że nie decyduje ani przynależność geograficzna ani przynależność narodowa, lecz ów element trzeci — ideologiczny. Cytowałem Douglasa Hyde, który w swej książce pt. „I believed” — opisuje jak działacze partyni uspakajali sumienia młodych komunistów. Ojczyzną komunistów jest Związek Sowiecki i tylko zdrada Związku Sowieckiego jest zdradą — tłumaczyli młodym „skrupulantom” doświadczeni politycy. Wydając Sowietom brytyjskie tajemnice zbrojeniowe — komunista angielski nie popełnia zdrady, bo nie zdradza swojej Anglii tylko Anglię kapitalistyczną.

Tak pojętej solidarności — pisałem wówczas — należy przeciwstawić identyczną solidarność antykomunistyczną. Obiektywnie wypada stwierdzić, że żadne z polskich pism emigracyjnych nie zaangażowało się w tej sprawie równie bezkompromisowo jak „Kultura”. Wierzyliśmy bowiem, że antykomunizm stanie się fundamentem nowej, ponadnarodowej polityki. Wyszliśmy między innymi koncepcję Międzynarodowej Brygady Wschodnio-Europejskiej, która symbolizowałaby po tej stronie solidarność narodów wschodniej Europy i wolę wyzwolenia. Idąc konsekwentnie po tej linii posunęliśmy się jeszcze o krok dalej sugerując by Polacy wzięli udział z bronią w rękę w walkach na Korei. Argumentowaliśmy, że jeżeli walczymy z światowym komunizmem to front tej walki jest jeden.

W owej odległej epoce wydawało się również, że niemiecka Republika Federalna będzie pierwszym państwem w Europie — które zapoczątkuje nową erę w polityce wysuwając zasady ideologiczne przed nacjonalistycznymi interesami. Republika Federalna nie utrzymywała wówczas żadnych stosunków dyplomatycznych z państwami komunistycznymi. W prasie kontynentalnej, a zwłaszcza w prasie zachodnio-niemieckiej pisano nie o osi Bonn — Paryż, lecz o zjednoczonej Europie. Min. Dulles mówił o „wyzwoleniu”, a James Burnham w swoim studium pt. „Containment or Liberation” — rozprawiał się ze zwolennikami polityki powstrzymywania. W książce zbiorowej pt. „What Europe thinks of America” imieniem zespołu „Kultury” wysunąłem postulat przywrócenia wschodnio-europejskim emigracjom politycznym statusu sojuszniczego. Mieliśmy rząd z budżetem idącym w dziesiątki tysięcy funtów — przedstawicielstwa dyplomatyczne i tytuły legalistyczne jeszcze nienaruszone.

Umarł Stalin — przyszedł XX Zjazd wraz z „tajnym” referatem Chruszczowa — wypadki poznańskie, Październik i wielka odwilż. Zrodziła się polityka koegzystencji. Jest w pewnym sensie rzeczą zdumiewającą, że ujawnione w czasie XX Zjazdu zbrodnie komunizmu, udokumentowane i uwierzytelnione przez samego Chruszczowa — zamiast cementować ruch antykomunistyczny w rzeczywistości go rozbroiły. Na Zachodzie uwierzono w wielki odwrót od stalinizmu, od łagrów. X Pawi-

lonów, monstre-procesów i katowni tajnych policji. Niewątpliwie w bloku sowieckim dokonały się poważne i zasadnicze zmiany, ale suma różnic dzielących Wschód od Zachodu nie uległa redukcji. Komunizm ewoluuje i przetrwa się ale nie oznacza to bynajmniej by w czymkolwiek upodabniał się do ustroju demokratycznego.

Rozważając ten problem trzeba rozróżnić antykomunizm pogładowy od antykomunizmu ideologicznego. Znakomita większość ludzi — tak w krajach satelickich jak i na Zachodzie — hołduje poglądom, które są nie do pogodzenia z komunizmem i w tym sensie wszyscy niemal jesteśmy antykomunistami. Ale nie oznacza to, że istnieje jakaś ideologiczna więź — tym mniej solidarność — między mną a powiedzmy holenderskim czy belgijskim konserwatystą. Antykomunizm ideologiczny jest nie do pogodzenia z koegzystencją — postuluje bowiem zwycięstwo nad komunizmem czyli po prostu likwidację komunizmu. Polityka oparta na ideologicznym antykomunizmie głosiła hasła wyzwolenia narodów ujarzmionych — co było równoznaczne z planem wymuszenia na Rosji częściowej kapitulacji.

Po powstaniu węgierskim najbardziej zapaleni ideologiczni antykomuniści mieli okazję przekonać się — że choć wszyscy po obu stronach Atlantyku jesteśmy antykomunistami — w praktyce absolutnie nic z tego nie wynika. Albowiem wbrew płomiennym radom ideologicznych antykomunistów emigracyjnych — antykomuniści amerykańscy i zachodnio-europejscy w działaniu politycznym nie kierują się ideologią tylko wskazaniem staroświeckiej „Realpolitik”. Krajem, który ze zdumiewającą szybkością zaadaptował się do nowej sytuacji były Zachodnie Niemcy.

Dzisiaj ideologiczny antykomunizm jest zjawiskiem wyłącznie emigracyjnym. Gdy się dysponuje tylko wiatrówkami „Pogoni” można głosić, że naszym celem jest rozbicie Związku Sowieckiego i likwidacja komunizmu na całym globie. Gdybyśmy jednak odzyskali kiedyś możliwości konkretnego działania — tego samego dnia i my przeszlibyśmy na „Realpolitik”. Ponieważ nie leży w możliwościach średniego liczebnie narodu organizowanie krucjaty w skali światowej.

W sumie należy stwierdzić, że w okresie najpodatniejszym — tzn. do XX Zjazdu KPZS — nie powiodło się emigrantom przekształcić powszechnego lecz biernego antykomunizmu społeczeństw zachodnich w ruch ideologiczny, który mógłby stanowić fundament aktywnej polityki wolnościowej. Program ten zawiódł nawet w znacznie skromniejszej skali. Antykomunistycznej solidarności nie starczyło, by zjednoczyć emigracyjnych antykomunistów — Ukraińców, Polaków, Czechów, Węgrów. Albowiem nasi antykomuniści są jak najdalej od „antykomunistycznego internacjonalizmu”. Przeciwnie — antykomunizm pojmują jako dodatkową sprężynę nacjonalizmu i szowinizmu. O ile mi wiadomo tylko „Kultura” zdobyła się na próbę zbliżenia poglądów polskiego i ukraińskiego w sprawie Lwowa. Ale to była inicjatywa wyjątkowa i izolowana. Większość polskich antykomunistów domaga się od Niemców rezygnacji z Wrocławia — odmawiając równocześnie Ukraińcom jakichkolwiek roszczeń w stosunku do Lwowa. W tej formie jaką nadaliliśmy antykomunizmowi na emigracji — antykomunizm i nacjonalizm stały się synonimami. Chruszczow dostrzegł niebezpieczeństwo jakie niesła dla światowego komunizmu herezja komunizmu narodowego. Myśmy tego niebezpieczeństwa w odniesieniu do antykomunizmu ani nie dostrzegli ani nie zrozumieli. I w rezul-

tacie nie ma dziś międzynarodowego ruchu antykomunistycznego. Są tylko antykomunizmy narodowe i dlatego antykomunizm w sensie politycznym jest niczym.

Mackiewicz sądzi, że problem polsko-niemiecki mógłby znaleźć swe rozwiązanie tylko w ramach antykomunistycznej zjednoczonej Europy. Ale antykomunizm w praktyce również i w Niemczech nie dokonał żadnej rewolucji w myśleniu politycznym.

W kilku poprzednich artykułach zastanawiałem się dlaczego na emigracji nie powstała jawna orientacja pro-niemiecka? Wydawałoby się, że antykomunistyczna emigracja polska nie powinna mieć trudności w znalezieniu wspólnego języka z przedstawicielami Bonn — jednego z najbardziej antykomunistycznych rządów świata.

W rzeczywistości jednak w całych Niemczech nie ma jednego polityka, jednego działacza, ugrupowania czy instytucji — które mogłyby i chciały dać oparcie polskiemu filogermanizmowi. I dlatego filo-Niemców wśród nas nie ma — bo w zachodnich Niemczech byłoby tylko miejsce na polskiego Quislinga.

Warunki niemieckie kierowane pod naszym adresem są identyczne jak warunki rosyjskie. Oddać jedną trzecią terytorium, a w Warszawie ukonstytuować „friendly government”. Obaj nasi sąsiedzi widzą nas zawsze w perspektywie satelickiej. Porównując jednak „Generalną Gubernię” z Polską Ludową trzeba obiektywnie stwierdzić, że satelictwo typu rosyjskiego jest lżejsze i pozostawia nam nieporównanie większy margines swobody. Ktoś powie, że porównanie powyższe jest absurdalne — bo dzisiejsze Niemcy nie są hitlerowskie. Toteż nie mam na myśli Oświęcimów i Gestapo — sądzę jednak, że los Polski zredukowanej do wymiarów jakiegoś Księstwa Warszawskiego i w całości uzależnionej gospodarczo od Niemiec — byłby nie do pozazdroszczenia. Ponieważ Józef Mackiewicz uważa, że... „es ist schlim genug”, iż granice komunizmu sięgnęły Odrę pocieszyłby się w takiej sytuacji myślą, że Sowiety cofnęły się na linię Bugu. Obawiam się jednak, że w swej konsolacji byłby całkowicie izolowany i samotny. Wśród polskich emigrantów znalazłby się może nowy Studnicki, gdyby polityczny klimat w Zachodnich Niemczech był inny. Jeżeli nikt nie podejmuje spadku po Studnickim to tylko dlatego, że jego misja i program byłyby dziś równie nierealne jak przed 1939 rokiem.

Osobiście nie widzę żadnego powodu, by program antykomunizmu dla Niemców miał oznaczać powrót do statusu mocarstwowego w granicach z 1939 roku — a dla Polaków miał być równoznaczny z utratą jednej trzeciej terytorium państwowego. W mojej całkowicie prywatnej i osobistej opinii — lepiej by Gomułka rządził Polską przez następne 20 lat niż gdybyśmy wyzwolenie mieli okupić utratą Gdańska, Szczecina, Śląska i Ziemi Odzyskanych. Tym którzy twierdzą, że wolność ważniejsza jest od granic należy odpowiedzieć, że nic z wolności temu, któremu odebrano wszelkie możliwości życia i swobodnego pełnego rozwoju.

Mackiewicz wykpiwa zarówno soc-realizm jak i emigracyjny pol-realizm. Jednak sam popada w rzecz znacznie gorszą bo w zwietrzył mesjanizm. Mesjanizm antykomunizmu. Jeżeli tylko my jedni traktować będziemy antykomunizm mesjanistycznie i idealistycznie — a wszyscy wokół nas pod sztandarem antykomunizmu uprawiać będą nadal „Realpolitik” — skończy się na tym, że antykomuniści do spółki z komunistami

rzucą kości o nasze sukno. Dlatego uważam, że stosunki polsko-niemieckie jeżeli mają być czymś nowym i zdrowym, budować trzeba na „Realpolitik”.

Od szeregu miesięcy poświęcam wiele miejsca tematyce niemieckiej. Czynie to w przekonaniu, że Niemcy są jedynym narodem w Europie, który mógłby Polakom otworzyć nowe perspektywy i nowe możliwości. Gdy piszę te słowa wice-prezydent Nixon jest w Warszawie — witany entuzjastycznie przez ludność. Jestem jak najdalszy od przeceniania politycznego sensu i znaczenia tego typu manifestacji. Ale niewątpliwie spontaniczność reakcji tłumy warszawiaków należy odczytać jako chęć podkreślenia solidarności Polaków z Zachodem. To nie oznacza, że Polacy są gotowi do powstania, do zerwania sojuszu z Rosją itd. Naród Polski zrozumiał swoją lekcję historyczną i uznał konsekwencje swojej trudnej geopolitycznej pozycji. Ale co innego są normalne sąsiedzkie stosunki, a co innego jest gwarancyjny protektorat. Rosja jest jedynym gwarantem całości terytorium trzeciej Rzeczypospolitej. Polityka Niemiec odcina nasz kraj od Zachodu znacznie wydatniej niż wszystkie „żelazne kurtyny” i de facto przekreśla możliwości wydobywania się Polski spod sowieckiego protektoratu. Jak długo rząd w Bonn nie uzna granicy na Odrze i Nysie tak długo Polska skazana jest na protektorat sowiecki. W takiej sytuacji nie można nawet marzyć o jakiegokolwiek zmianie, ponieważ postulat bezpieczeństwa całości terytorium państwowego jest pierwszy i zasadniczy.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie przez rząd w Bonn wpłynęłoby bezpośrednio na treść stosunków polsko-sowieckich. Gwarancja i protektorat nie byłoby już życiową koniecznością. Między Polską a Zachodem nie byłoby żadnych punktów spornych i droga do pokojowej zmiany sytuacji w pasie środkowo-wschodnio-europejskim zostałaby otwarta. Zmiany nie nastąpiłyby natychmiast — niemniej nastąpiłyby z całą pewnością. Nikt z tego nie zdaje sobie lepiej sprawy niż komuniści. Reakcja pewnych pism warszawskich na artykuł pt. „Czy Niemcy wrócą na Wschód” („Kultura” 7/141-8/142) — jest tego najlepszym dowodem.

Większość polskich komunistów to są w pierwszym rzędzie Polacy, i Józef Mackiewicz mnie nie przekona, że jest inaczej. W tej sprawie jestem tego samego zdania co Stalin: „Polak — zawsze Polakiem”. Ale to jest jedna strona medalu. Druga strona medalu to jest pozycja partii, jako klasy rządzącej. Polscy komuniści jako Polacy chcieliby mieć wszystkie możliwe gwarancje nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie. Jako komuniści chcieliby jednak by te gwarancje w niczym nie pogarszały sytuacji partii. I dlatego wszelka inicjatywa zmierzająca do poprawy stosunków polsko-niemieckich wyraźnie ich niepokoi. Obawiają się bowiem, że wysunie im się spod nóg platforma, na której można identyfikować interesy partii z podstawowymi postulatami narodowymi. Na platformie granicy Odrze i Nysy spotykają się w harmonijnej zgodzie Gomułka z Anderssem — Cyrankiewicz z Augustem Zaleskim, Grydzewski z Arskim. Jeden Józef Mackiewicz zgłasza votum separatum. Gdyby rząd w Bonn uznał granice na Odrze i Nysie ten bezprzykładny front narodowy upadłby tego samego dnia i sprawy wróciłyby do właściwych proporcji.

Sprawa granicy na Odrze i Nysie z punktu widzenia Niemiec na forum międzynarodowym jest przegrana. Rząd w Bonn wzbrania się uznania tej granicy z przyczyn wewnętrzno-politycznych. Ze względów wyborczych

i prestiżowych Niemcy rezygnują z inicjatywy, która mogłaby zapoczątkować nową erę w powojennej historii środkowo-wschodniej Europy. Byłby jeszcze czas podjąć taki krok. Niedługo Niemcy mogą otrzymać „prezent” w postaci formuły „wielkiej dwójki” i wówczas na inicjatywę Bonn będzie za późno.

Dzisiaj uznanie przez rząd w Bonn granicy na Odrze i Nysie mogłoby stanowić samodzielne otwarcie nowego rozdziału niemieckiej polityki wschodniej. Za rok, ten sam akt będzie już tylko bierną akceptacją faktów dokonanych, zalegalizowanych decyzją wielkich mocarstw.

Rząd adenauerowski wzoruje się niestety na polskiej polityce przedwójnej. My w końcu straciliśmy również ziemie wschodnie, ale za tę cenę nie zyskaliśmy przyjaźni Ukraińców ani w ogóle niczego.

LONDYŃCZYK

O Wiedniu bez blagi

Z dala od takich wydarzeń polityki światowej, jak wizyta Nixona w Moskwie i w Warszawie, zaproszenie Chruszczowa do Ameryki i zakończenie konferencji genewskiej, w starym pocztowym Wiedniu, odbyła się mniej ważna impreza, jednak godna dokładniejszego omówienia. Chodzi o komunistyczny festiwal młodzieży, który po raz pierwszy urządzono w kraju leżącym poza żelazną kurtyną. Dlaczego organizatorzy festiwalu, poszli na tego rodzaju ryzyko, o tym trudno było się we Wiedniu naprawdę dowiedzieć. Inicjatorom tej idei chodziło prawdopodobnie o cały szereg kombinacji. Już samo urządzenie w stolicy neutralnej Austrii tego na olbrzymią skalę zakrojonego spotkania młodych ludzi ze wszystkich kontynentów, miało niewątpliwie zadokumentować dobrą wolę Rosji Sowieckiej w tzw. pokojowym współistnieniu. Dyplomacja sowiecka chełpi się stale nadaniem republice austriackiej statusu państwa neutralnego, jako dowodem, że Kreml skłonny jest pójść na daleko idące ustępstwa i zmiany w porównaniu z okresem stalinowskim. Nawiasem mówiąc, zwększenie polityki sowieckiej w odniesieniu do Austrii ze sztywnych i nieustępliwych pozycji, stanowiło dla dyplomacji moskiewskiej o wiele mniejszą ofiarę, niż się na ogół sądzi. Między niemiecką a austriacką polityką Rosji Sowieckiej istniała zasadnicza różnica, wynikająca zresztą zarówno z ducha i litery zobowiązań, powziętych w okresie drugiej wojny światowej przez Rosję wraz z jej zachodnimi aliantami w sprawie odbudowania niepodległości Austrii, jak też z trudności, na które okupacyjne władze sowieckie natknęły się przy pierwszych planach sowietyzacji. Zresztą, Stalin nie poczynił żadnych kroków w kierunku utworzenia na terenie okupacji sowieckiej jakiegoś buforowego państewka satelickiego w rodzaju tzw. Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Stąd też podpisanie układu pokojowego i tym samym wycofanie wojsk okupacyjnych, nie przedstawiało dla Rosji jakiegoś większego dylematu natury prestiżowej czy ideologicznej. Prze-

ciwnie, poprzez neutralność Austrii, graniczącej z tradycyjnie neutralną Szwajcarią, udało się dyplomacji sowieckiej rozbić militarny system NATO w Europie Zachodniej na dwie komunikacyjnie niezłączone konfiguracje, mianowicie jedną na zachodzie i północy Europy, składającą się z ugrupowania francusko-niemiecko-skandynawskiego i drugą, południowo-europejską, której główny trzon tworzą Włochy i Grecja. Jednym słowem, skórka warta była wyprawki.

Ale w Moskwie ludzono się, że Austriacy w zamian za uzyskaną niepodległość, staną się czymś w rodzaju schroniska dla najrozmaitszych oficjalnych lub pół oficjalnych organizacji komunistycznych. Chciano tu ześrodkować wszelkie parakomunistyczne federacje, związki i spółki, aby w ten sposób móc wygodniej infiltrować na Zachód. Nadzieje te nie sprawdziły się jednak, gdyż rząd austriacki pousuwał tego rodzaju ośrodki z Wiednia, które zmuszone były przenieść się do pobliskiej Pragi, względnie do Budapesztu i Bukaresztu. Sowiety przyjęły wówczas tę decyzję bez wielkiej wrzawy, gdyż było to w okresie wielkiego kryzysu ideologicznego i organizacyjnego w bloku wschodnim. Dopiero wyznaczenie Wiednia na miejsce kolejnego festiwalu młodzieżowego, było próbą, czy Austria i Wiedeń mogą być ponownie wykorzystane jako odskocznia dla międzynarodowego ruchu komunistycznego.

Trzecim względem dla którego obrano Wiedeń na urządzenie festiwalu były prawdopodobnie obrachunki z rewolucją węgierską. Wiadomo, że powstanie na Węgrzech i interwencja wojsk sowieckich odbiły się szerokim echem w krajach azjatyckich i afrykańskich. Wydaje się, że wśród tamtejszej młodzieży sprawa węgierska nie uległa tak rychło zapomnieniu jak na Zachodzie Europy. I oto jest rzecz charakterystyczna, że większość delegacji azjatyckich i afrykańskich została przywieziona do stolicy Austrii na festiwal poprzez Budapeszt. Nie było to przypadkowe ale prawdopodobnie jak najskrupulatniej obmyślane i szczegółowo wyreżyserowane. Młodzi Azjaci i Afrykańczycy zanim znaleźli się na terenie miasteczka festiwalowego w Praterze, byli świadkami wielkiej manifestacji przyjaźni węgiersko-sowieckiej. Widzieli w Budapeszcie z jakim entuzjazmem, kwiatami i braterskimi objęciami, Węgrzy witali delegację młodzieży sowieckiej udającą się do Wiednia. Wiem, że na niektórych młodych ludzi z Azji i Afryki całe to widowisko wywarło jak najbardziej negatywne wrażenie, ale „per saldo” okazało się ono zręcznym manewrem, dezinformującym dotychczasowe pojęcia o istocie konfliktu rosyjsko-węgierskiego.

Na takim to właśnie tle politycznym rozpoczął się „VII Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów”, którego naczelnym hasłem była dewiza „O Pokój i Przyjaźń”.

Było z góry wiadomo, że we Wiedniu musi się rozegrać jakaś bitwa między Wschodem a Zachodem. Nie wiadomo tylko było do jakich rozmiarów ta ideologiczna bitwa urośnie, no i oczywiście kto w niej zwycięży.

Obecnie, w kilka dni po zakończeniu festiwalu, mamy nader zabawną i wielce charakterystyczną dla naszej epoki Wielkiego Kłamstwa sytuację, w której obydwie strony z niezachwianym spokojem twierdzą o swoim zwycięstwie. A przecież jedni i drudzy lżą niesamowicie. Bo nieprawdą jest ów głośny krzyk propagandowy, który rozbrzmiewa od Berlina Wschodniego aż po Pekin, iż impreza wiedeńska była sukcesem jej organizatorów i oficjalnych uczestników. Fakt, że w tym chórze uczestniczy cała bez

wyjątku prasa warszawska, a szczególnie ekipa „Sztandaru Młodych” i specjalny wysłannik „Przeglądu Kulturalnego” — wbrew prawie jednolitej opinii członków delegacji polskiej — świadczy dobitnie o tym, jak dalece zawód dziennikarski w Polsce przestał być „na obecnym etapie” funkcją rzetelnej informacji czytelnika.

Ale nie mają racji również i ci, którzy w zachodnich gazetach obwieszczą światu o rzekomym wielkim sukcesie propagandy antyfestiwalowej i o niby to zupełnym fiasku komunistycznej imprezy we Wiedniu. Prawda, niektórzy spośród wielu dziennikarzy zachodnich, którzy obserwowali przebieg festiwalu są bardziej skromni w przecenianiu zasług Zachodu aniżeli ich wschodni koledzy. Zasadniczy błąd, który popełniają oni w analizach festiwalu tkwi w tym, że organizacyjny bałagan, niesłychany rozgardiasz, ideologiczny marazm, „drętwą mowę” i wreszcie ucieczkę młodzieży od spraw ideologiczno-doktrynalnych, która była nader ważnym symptomem festiwalu, traktują jako następstwa zachodniej akcji antyfestiwalowej.

Tego rodzaju analizy są o wiele niebezpieczniejsze od agitek w „Sztandarach” i „Przeglądach”, gdyż oni, mogą tam zawsze powiedzieć na swą obronę, że „im kazano” lub, że tak musieli ze względu na cenzurę, na egzystencję, a przede wszystkim z uwagi na przyszłe szanse wyjazdu zagranicę. O wiele gorzej jest natomiast, kiedy prasa zachodnia podsuwa swojemu czytelnikowi optymistyczny obraz rezultatów festiwalu, niezgodny z obiektywną rzeczywistością.

Nie zapominajmy, że był to zjazd młodych ludzi w wieku od lat 17 do 30, to znaczy generacji, która walczyła na barykadach Budapesztu, która była czynnie zaangażowana w polskim październiku i w mniejszym lub większym stopniu reprezentowała rewolucyjne prądy młodzieżowe lat 1955-57 w Europie Wschodniej i w Chinach. Za kilka lat generacja ta będzie kierowała życiem politycznym, naukowym i kulturalnym bloku wschodniego. Tylko z tych dwóch przyczyn, należałoby podejść z jak największą uwagą do spraw, które w ciągu festiwalu wiedeńskiego wyszły na powierzchnię i stały się w pewnej mierze sprawdzianem prądów i nastrojów nurtujących młodzież krajów Europy Wschodniej w niespełna trzy lata po zduszeniu rewolucji węgierskiej i myśli rewizjonistycznej w Polsce, nie mówiąc już o drastycznych, policyjnych środkach innych reżymów komunistycznych. Wszelka pochopność sądów w tak delikatnej materii jest rzeczą szkodliwą.

Rosjanie przywiązywali wielką wagę do tego, aby festiwal wiedeński nie stracił organizacyjnego i jeszcze bardziej propagandowo-wizualnego rozmachu poprzednich imprez, które się odbywały w stolicach krajów komunistycznych. Stąd też ambasador sowiecki we Wiedniu, Łapin, interweniował niejednokrotnie u premiera i u rozmaitych ministrów Austrii, aby użyli środków administracyjnych dla zapobieżenia planowanemu bojkotowi. Mało tego, na czas festiwalu przyjechał do Wiednia sam szwagier Chruszczowa, naczelny redaktor „Izwestii” Adżubej, który mu w tym dziele sekundował. Nie wiele jednak wskórali. Jeśli zaś chodzi o sam festiwal, to był on tylko słabym refleksem poprzednich. Stało się to dlatego, że cały wysiłek organizacyjny złożono na barki aparatu austriackiej partii komunistycznej, która zaważyła imprezę. Komuniści austriaccy, którzy w ostatnich wyborach ponieśli smrotną klęskę, byli po prostu

liczebnie zbyt słabi, aby móc postawić na nogi olbrzymią sieć organizatorów, przewodników, tłumaczy. Musieli oni pościągać członków partii z całego kraju, w tym często ludzi z zapadłych miasteczek i wsi, dla których samo zwiedzanie Wiednia w normalnych warunkach byłoby ogromnym przeżyciem, a tu jeszcze doszły funkcje wymagające znajomości języków, techniki organizacyjnej, szybkości orientacji itp. Zahukani biedacy z KPO postanowili swą nieudolność i brak doświadczenia nadrobić szorstkością, która się często wyrażała nawet w używaniu pięści w stosunku do uczestników festiwalu. Wywoływało to ciągłe scysje i konflikty. Jeśli dodać do tego jeszcze ów przysłowiowy bałagan austriacki, który się okazał zjawiskiem niezniszczalnym, to można sobie łatwo wyobrazić jaki niesamowity rozgardiasz istniał we wszystkich dziedzinach festiwalu. Z katalogów programowych nie można się było zorientować gdzie i kiedy odbywa się ta czy owa impreza i nigdy nikt nie umiał dać dokładnych informacji. W niektórych wypadkach miało się do czynienia, ze świadomą „Schlampe-rei”. Mało to specjalne miejsce w odniesieniu do jednego — jeśli pominąć pełne egzotyki wystąpienia chórów czy grup tanecznych z Azji, Afryki lub Ameryki Łacińskiej — naprawdę niezwykłego programu artystycznego ekipy polskiej. Kiedy chodziło o udzielenie dokładnych informacji o tym, kiedy i gdzie występuje zespół teatryku studenckiego „Bim-Bom”, lub „Kon”, gdzie grają polscy jazzowcy lub gdzie śpiewają świetne pieśniarki z Warszawy, wówczas sympatyczne panienki austriackie lub niemieckie z NRD nie mogły sobie w żaden sposób przypomnieć lokalu czy ulicy, nie mówiąc już o godzinie imprezy. Tego rodzaju taktyka dała konkretne rezultaty; sale i salki festiwalowe, w których występowali młodzi artyści polscy świeciły pustkami i na pewno wielu uczestników festiwalu wróciło do swych krajów nie obejrzawszy programu polskiego. Na szczęście nie udało się organizatorom tego wewnętrznego bojkotu imprez polskich przemilczeć polskiego galowego przedstawienia. W ten sposób negatywny początkowo dla ekipy polskiej bilans festiwalu, został pod koniec widowiska częściowo wyrównany i poważna część przybyszów zza żelaznej kurtyny, z Zachodu i z krajów zamorskich mogła się przekonać o wspaniałych osiągnięciach polskiej awangardy artystycznej, która zerwała ciasny gorset socrealizmu. Szkoda tylko, że augurzy partyjni nie pozwolili młodym artystom polskim pokazać całego dorobku popaździernikowego w dziedzinie tzw. małej sceny, czyli kabaretu i rewii politycznej, filmu i sztuk plastycznych. Ale i to co się przedostało na deski scen festiwalowych, będzie niewątpliwie w jakimś stopniu jeśli nie zaczynem do samodzielnych twórczych poszukiwań w Rosji czy krajach satelickich, to w każdym razie stanie się motorem do rozmyślań i porównań.

Na tle festiwalowej szarżyzny i okropnego konwencjonalizmu sztuki kołchoźniczo-drobnomieszczańskiej, zaprodukowanej przez prawie wszystkie delegacje bloku wschodniego (z wyjątkiem Chin), ekipa polska była jedyną, która wniosła ożywczy powiew nowatorstwa, awangardyzmu i śmiałej niekonformistycznej myśli. Na podstawie, sporadycznych co prawda, dowodów można było stwierdzić, że ta odważna i twórcza inicjatywa młodych artystów polskich ma wśród tej samej generacji w innych krajach Europy Wschodniej i Środkowej, wielu szczerych zwolenników i przyjaciół i że jest ona dla niej bodaj czy nie jedyną busołą i nadzieją na przyszłość. Z drugiej strony niepokojącym zjawiskiem jest

nonszalancja i zadzieranie nosa młodych Polaków, którzy nie analizując skomplikowanej sytuacji, w której się znajdują ich rówieśnicy w krajach bloku wschodniego, patrzą jak zahipnotyzowani jedynie na Zachód, zapominając o gorzkiej niestety prawdzie, że miara i zasięg przyszłych swobód kulturalnych i wolności twórczych w Polsce zależą przede wszystkim od dalszej ewolucji w tymże bloku.

Kontakty młodzieży polskiej z innymi delegacjami krajów wschodnio-europejskich w sensie niekontrolowanych spotkań i szczerych dyskusji, były zresztą znikome. O ile delegacja polska poza nielicznymi próbami wywierania na nią tepej kontroli ze strony kilku aparatczyków partyjnych i ZMS-owskich korzystała z prawie nieograniczonej swobody ruchów, to nieomal że wszystkie ekipy z krajów satelickich znajdowały się pod iście kacętowskim terrorem. Bułgarzy, Rumuni, Węgrzy, nie mówiąc już o młodzieży z republik sowieckich, byli tak niemilosierdzie śledzeni przez agentów rozmaitych bezpiek, że nie mogli zrobić żadnego samodzielnego kroku.

Innym problemem była młodzież z krajów azjatyckich i afrykańskich. Wielu z nich jest urzeczonych postępowaniem technicznym Związku Sowieckiego i widzi w systemie komunistycznym — jeśli chodzi o gospodarkę i ustrój społeczny — najkrótszą drogę do podniesienia stopy życiowej we własnych krajach. W sensie ideologicznym, komunizm sowiecki nie wywiera, jak się zdaje, na Azjatów, Murzynów, i Arabów jakiejś nadzwyczajnej siły atrakcyjnej, gdyż hołdują oni przede wszystkim idei nacjonalizmu i niczym nieograniczonej suwerenności państwowej. Komuniści rosyjscy zdają sobie z tego jak najbardziej sprawę i dlatego zaprosili wielkie rzesze młodzieży z krajów azjatyckich i afrykańskich do zwiedzenia Związku Sowieckiego tuż po zakończeniu Festiwalu Wiedeńskiego. Wydaje się, że dopiero tam, w Rosji, nastąpi wielka próba indoktrynizacji.

Warto wspomnieć jeszcze w kilku słowach o nadzwyczaj interesującym zjawisku, a mianowicie, o prawie kompletnym zaniku atrakcyjności Jugosławii. Jak można było stwierdzić, przyczyną tej ewolucji jest sprawa Dżilasa i kręactwo Tito wobec rewolucji węgierskiej. Obydwie te sprawy poderwały autorytet titoizmu w oczach młodzieży krajów satelickich i wydaje się, że niełatwo będzie naprawić tę nadszarpniętą reputację.

Najważniejszą jednak cechą festiwalu wiedeńskiego był ów niezbity fakt, iż sfanatyzowanie młodzieży i zainteresowanie doktryną marksistowską ustąpiło jakiemuś odrętwieniu ideologicznemu. Młodzi ludzie z Europy Wschodniej mają dość ideologii i można to było stwierdzić nie tylko wśród młodych Polaków, ale nawet wśród młodzieży sowieckiej. Wszyscy ci młodzi wschodnio-Europejczycy, przyjechali do Wiednia w oczekiwaniu na „Wielką Przygodę”, na pełne radości i życia widowisko, w nadziei przeżycia jakichś nowych nieznanych emocji. Festiwal niestety zawiódł te nadzieje.

Organizatorzy zachodniej kontrakcji postawili na fałszywego konia, gdyż uciekli się głównie do użycia broni doktrynalnej, ideologicznej. Antykomunistyczne ośrodki informacyjne, uświadamiające broszurki, ulotki, gazetki i grupy agitacyjno-dyskusyjne, operujące prawie wyłącznie starymi i niedopasowanymi do obecnego okresu ewolucji w państwach komunistycznych, hasłami i argumentami — rozminęły się z celem i nie dały rezultatów.

Wydaje mi się, że byłoby niewspółmiernie owocniej dla zachodnich społeczeństw i, nawiasem mówiąc, dla emigracji politycznych krajów Wschodniej Europy, gdyby w czasie festiwalu odbyły się we Wiedniu poważne i naprawdę reprezentatywne festiwale teatralne współczesnej muzyki, wystawy nowoczesnego malarstwa, książek, pokazy dorobku filmowego ostatnich dziesięcioleci. Nawet wielkie rewie amerykańskie w rodzaju „Holiday on Ice”, występy znanych orkiestr jazzowych i powiedzmy sobie szczerze, przyjazd zachodnich gwiazd filmowych takich jak Sofia Loren, Brigitte Bardot czy Kim Nowak, które by na ulicach wiedeńskich podpisywały autografy dla uczestników festiwalu — to wszystko razem miałyby ogromną siłę atrakcyjną.

Zachód ponownie spartaczył rzadką okazję zademonstrowania tego, co stanowi naprawdę treść pustego dotychczas frazesu o tzw. pokojowym współistnieniu i czego komunizm sowiecki boi się jak diabeł święconej wody. Wobec takiego stanu rzeczy, sam Wiedeń ze swymi sklepami, oknami wystawowymi, kawiarniami i względnym dobrobytem wziął za siebie obowiązek niemej reprezentacji wolnego świata. Jedyną bodajże trwałą pozycją jest fakt, że w plecakach i walizkach wielu festiwalowców powędrowało trochę cennych pozycji książkowych, których cenzura komunistyczna nie odważyła się wypuścić na rynek w swych krajach. Niestety było tego za mało.

Na tle tego co widziałem, humorystycznie brzmi odpowiedź „towarzysza” Goldberga, sekretarza delegacji polskiej i aparatczyka Komitetu Centralnego dla spraw młodzieżowych, na ukartowaną interpelację „Życia Warszawy”, że „Dr Żiwago” Borysa Pasternaka i „Nowa Klasa” Dżilasa, które dotarły do rąk uczestników festiwalu, są rzekomo książkami, którymi się w Polsce nikt nie interesuje.

OBSERWATOR

CENTRALA WYSYŁKOWA

Paczki do Polski, U.S.S.R. i innych krajów. Powiększony katalog lekarstw — ceny konkurencyjne. Przesyłamy pieniądze do wyboru: w dolarach lub złotych — Żądajcie katalogów.

NASZA SPECJALNOŚĆ: sprawy emigracyjne, sprowadzanie krewnych, sprawy majątkowe — adoptacje dzieci, podróże. Obsługa szybka i gwarantowana.

ST. DZIAKIEWICZ AGENCY

860 So. Broad St. Trenton 10, N.J. U.S.A.

Tel. Export 4-9559

Najnowsza historia Polski

Kampania wrześniowa

Po siedmioletnim pobycie w Lesznie Wkp. na stanowisku dowódcy 17 pułku ułanów zaproponował mi mój dawny dowódca, generał Juliusz Rómmel, stanowiska pierwszego oficera w jego inspektoracie w GISZ'u z siedzibą w Warszawie. Objąłem moją nową funkcję w pierwszych dniach stycznia 1936.

Zdawałem sobie z tego sprawę, że czeka mnie interesująca i poważna praca w zagadnieniach operacyjnych, które się wiążą z obroną kraju.

Znając mojego generała od dawna wiedziałem, że pozostawi mi dużo inicjatywy w pracach operacyjnych dlatego, bo mi ufa i podziela moje zapatrywania. Znakiem zapytania był dla mnie natomiast nowy generalny inspektor, generał, a następnie marszałek Rydz Śmigły.

Choć cieszył się w armii najlepszą opinią, był ludzki i miły, choć znałem go dosyć dobrze z całego szeregu spotkań służbowych, nie miałem o nim urobionej opinii w zakresie wielkich operacji. A w GISZ'u i na tym miejscu, które on wypełniał, szło właśnie o to, żeby był autorem koncepcji oraz głową, kierującą życiem i twórczością dużego aparatu dowodzenia, który stał do jego dyspozycji.

Aparat był to zaiste okazały. Pomijając biuro inspekcji, na którego czele stał płk Strzelecki oraz dwóch referentów operacyjnych, pułkowników Głabisza i Muennicha istniała duża ilość inspektoratów. Powody dla których one powstały były liczne i różnorodne. Nade wszystko istnienie dwóch frontów, które należało rozpracowywać przy równoczesnej degradacji dowództw korpusów do roli administracyjno-mobilizacyjnej, dzięki czemu nie pociągano ich do współpracy operacyjnej. Stanowiło to oczywiście organizację kosztowną i dublującą.

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

której celu nigdy nie zrozumiałem; faktem jest, że ona istniała w tej formie do końca i nie została nigdy zmieniona. Były także względy personalne; dwóch albo trzech inspektorów trzymano na synekurze.

Na czele inspektoratu stał starszy generał z tytułem inspektora armii albo generała do prac; różnica istniała jedynie w tytule, kompetencje były analogiczne. Zadaniem generałów była inspekcja wojsk; pierwsi oficerowie opracowywali sprawy operacyjne a drudzy oficerowie mieli pod sobą wyszkolenie.

Istniało trzech inspektorów terytorialnych, którzy mieli siedzibę poza Warszawą: Gen. Fabrycy we Lwowie, gen. Dąb Biernacki w Wilnie, gen. Bortnowski w Toruniu.

Również gen. Kutrzeba miał funkcje inspektorskie, pełniąc równocześnie komendę nad Wyższą Szkołą Wojenną.

W GISZ'u istniały trzy biura dla zagadnień specjalnych:

Gen. Zajac — Obrona Przeciwlotnicza.

Gen. Norwid Neugebauer — Zaopatrzenie.

Gen. Miller — Sprawy Artylerii.

Następujący generałowie mieli swoje biura inspekcyjne w Warszawie: Gen. Sosnkowski, gen. Berbecki, gen. Rómmel, gen. Piskor, gen. Burhard Bukacki, gen. Szylling, gen. Przedzremirski. GISZ obejmował łącznie piętnastu wysokich dygnitarzy z tym że nie było tam przedstawiciela lotnictwa ani broni pancernej. To ostatnie ma swoją wymowę. Osobiście uważam, że liczba powyższa była za wysoka.

Gdyby mnie ktoś zmusił do opiniowania i kazał uczynić to z ręką na sercu to znaczy rzetelnie i rzeczowo, to musiałbym stwierdzić, że jedna trzecia naszych zacnych i przemyślnych generałów GISZ'u nie posiadała żadnych kwalifikacji do dowodzenia na tym szczeblu. Jedna trzecia posiadała kwalifikacje zupełnie niesprawdzone i dlatego wątpliwe, a dopiero to co pozostaje stało na wysokości zadania. Ci ostatni pochodzą z armii zaborczych.

Skoro wymieniam nazwiska to muszę podkreślić, że opuszczam z mojej klasyfikacji dwóch świetnych generałów, z których jeden gen. Sikorski jest w niełasce i w stanie nieczynnym a drugi choć pracuje w GISZ'u jest odstawiony siłą na drugi plan; jest to generał Sosnkowski. Nawet jak wybuchnie wojna nie dostanie on żadnego dowództwa z wielką szkodą dla działań.

Gen. Inspektor jest ceniony jako dobry dowódca liniowy i ma zaufanie wojska. Ale równocześnie z tą pochlebną opinią kursuje pocztą pantoflową plotka, że jest on miękki i ulega wpływom wielkiego triumwiratu, który ujął władzę po śmierci Pierwszego Marszałka. W składzie tego triumwiratu powtarzają się nazwiska pułkownika Becka i gen. Kasprzyckiego.

Zwolennicy gen. Sosnkowskiego, a było ich niemało, dają do zrozumienia, że został on pominięty właśnie dlatego, że ma charakter i silną rękę.

Powyższe podaje jako plotkę, za którą nie przyjmuję odpowiedzialności. Trzyletni pobyt w GISZ'u dał mi natomiast dosyć spostrzeżeń, aby uznać, że w powyższych plotkach musiało być coś prawdy.

Patrząc na personalia armii przez pryzmat GISZ'u pragnę zaznaczyć, że mieliśmy w wojsku pierwszorzędną element dowódców, dzielnych i wykształconych, stojących na europejskim poziomie wszystkich wymagań. Oprócz kilku generałów, którzy byli już w GISZ'u, wymienię kilka dalszych nazwisk tak jak przychodzą mi do głowy, przy czym zastrzegam się, że nie wyliczam bynajmniej wszystkich, którzy na to zasługiwali. Ze starszego pokolenia przychodzą mi na myśl generałowie Małachowski oraz Thommé; z młodszego Kleeborg (starszy), Bołtuć, Anders, Wład, Alter.

Chcę przez to powiedzieć, że mieliśmy wielki wybór i mogliśmy obsadzić w 1939 roku wszystkie dowództwa jak najlepiej. Ale niestety polityka personalna w armii nie kierowała się dobrem sprawy, a jedynie interesem klanu. Zdumiewające jest, że na wojnę wychodzą niektórzy dowódcy z Bożej łaski, o których wiadomo od lat, że nie są nic warci.

W naszej armii pokutowało całkiem specyficzne pojęcie o „tajemnicy wojskowej”. Powstało ono z wymogów legionowej konspiracji, zostało podhodowane, wyolbrzymione i stało się karykaturą, streszczającą się w zasadzie, że nikt nie ufa nikomu. Wobec tego, że w normalnych wojskowościach, szczególnie na szczeblach wyższych, podstawę współpracy stanowi zaufanie jako czynnik absolutny i stały, musiały razić obyczaj GISZ'u, związane z tajemnicą. Inspektoraty nie miały prawa komunikować się ze sobą w zakresie swoich prac; nie było mowy o tym, żeby na przykład dwaj sąsiedzi porozumiewali się w sprawie swego wspólnego skrzydła. Z obawy przed przekroczeniem tych srogich przepisów inspektoraty nie komunikowały się ze sobą w ogóle i nie wiedziały o swoim istnieniu.

Gdy przyszła marcowa mobilizacja nie znaleźliśmy położenia naszych sąsiadów. Armia Poznań przysłała nam do wiadomości swój pierwszy rozkaz operacyjny (do armii Łódź) co jest normalnym obowiązkiem każdego przyzwoitego sąsiada i należy do abecadła wojskowego. Dowiedział się o tym marszałek, kazał nam natychmiast rozkaz odesłać a dowódca armii Poznań dostał reprimendę.

Jakby na ironię naszych tajemnic Niemcy urządzili sobie na Śląsku w parę tygodni później wielką grę wojenną, gdzie bez żadnej zenady przeciwiczyli swój prawdziwy plan ataku na Polskę z pełną obsadą dowództw. Nawet na myśl im nie przyszło, że mogła na tym ucierpieć tajemnica wojskowa.

Dowództwa niemieckie wiedzą na parę tygodni przed wojną wszystko co może ich dotyczyć. Ja nie wiem do dnia dzisiejszego czego Naczelny Wódz chciał od armii Łódź? Kazał nam się bić z pięciokrotną przewagą Niemców wspartych setkami samolotów i czołgów; nie przysłał nam nikogo do pomocy,

a jak powiedzieliśmy mu, po pięciu dniach bitwy, że już nie możemy dłużej i musimy się cofać to był bardzo zgorzony. Wielkim mankamentem naszego systemu pracy w GISZ'u był zupełny brak gier wojennych na szczeblu najwyższym, odpowiadający kompetencjom marszałka. Byłoby to przecież najprostszy sposób dla wyrażenia jego zapatrywań czy żądań, a równocześnie dałby mu możliwość sprawdzania czy jego podkomendni stoją na wysokości swych zadań.

Problemy przed którymi los postawił nasze dowództwo były tak skomplikowane i trudne, że należało wykorzystać wszystkie istniejące możliwości dla ich analizy, celem poszukiwania środków zaradczych. W każdym konflikcie należało się liczyć z ogromną przewagą przeciwnika, a nadto brać jeszcze i to pod uwagę, że przeciwnik będzie posiadał drugi czynnik przewagi w środkach technicznych. Jeżeli mieliśmy się decydować na wojnę to musieliśmy z konieczności obmyślić i przygotować strategię, odpowiadającą naszym realnym środkom i siłom.

Nikt na kuli ziemskiej nie był dalszym od tego podejścia jak nasz generalny inspektor. Stosunkiem sił oraz wykonalnością zadań, które sam stawiał, przejmował się bardzo mało, pracowaliśmy w oderwaniu od rzeczywistości.

Gier wojennych nie ma, bo marszałek Śmigły nie umie ich prowadzić na szczeblu, o którym ja piszę. Nie umie operować armiami, nie ma w tej dziedzinie ani szkoły ani doświadczenia. Nie ma daru ujmowania wielkich położań operacyjnych, naświetlania ich przeblyskiem swego talentu, tchnienia w nie mocy swojej indywidualności. Wobec tego oddala się od nas, kryjąc się w skorupie zazdrośnie strzeżonych tajemnic, które jak to objawi przyszłość okazały się pustką.

W moich początkach biorę wszystko za dobrą monetę; marszałek jest dla mnie magiem, któremu fortuna włożyła do kołyski buławę hetmańską. Ale miesiąc po miesiącu zaczynam dostrzegać zastraszające rysy w dysponowaniu i wątpliwości przemieniają się w obawy. Z chwilą kiedy opuszczam biuro, aby towarzyszyć mojemu dowódcy na obszar niebawem wybuchającej wojny wiem już, że marszałek Rydz Śmigły nie jest żadnym strategiem; łudzę się jeszcze nadzieją, że ma charakter i wie sam czego chce!

Z tego co powiedziałem wynika, że poszczególne inspektoraty GISZ'u żyją obok siebie nie znając się i nie mając bynajmniej jednolitej doktryny. Wielki aparat GISZ'u zamiast stanowić jeden organizm nastawiony na wspólny cel stał się zlepkiem kilkunastu różniących się tkanek, spoglądających na analogiczne problemy zupełnie innym okiem w zależności od widzimisię Inspektora.

Gen. Rómmel miał odcinek operacyjny Łódź. Znaczyło to, że w wypadku wojny z Niemcami będzie dowodził armią w obszarze Łodzi. Odcinek był wycięty z mapy bez żadnego kryterium jakby przypadkowo. Front, wynikający z pasa działania przekraczał sto kilometrów a obydwa skrzydła wisiały w powie-

trzu. Nic nie wiadomo gdzie są sąsiedzi i co mają robić, a nade wszystko żadna wzmianka o tym czego żąda Naczelny Wódz w odniesieniu do celu, który sobie stawia.

Zadanie nakazuje armii zatrzymać Niemców na kierunkach, które prowadzą od granicy na Łódź. Pierwszy rzut oka na mapę zdradza, że zachodzi tu nieporozumienie; tuż na południe od naszej strefy akcji prowadzi wielki i ważny kierunek operacyjny z Dolnego Śląska na Piotrków i ma tę właściwość, że obchodzi nasze skrzydło od południa i wyprowadza na tyły armii Łódź. Armia nasza nie może bić się frontem na zachód i spełniać swe zadanie nie mając gwarancji, że ktoś inny zamyka silnie i skutecznie kierunek na Piotrków.

Mówiąc językiem operacyjnym należy tu stwierdzić, że kierunek na Piotrków dominuje; to od niego zależy czy Łódź może się bronić, a nie odwrotnie.

Oczywiście składamy w tej sprawie raporty; jeden, drugi i kilka następnych, ale zawsze z tym efektem, że nie ma reakcji ze strony gen. inspektora. Ostatecznie przychodzi mobilizacja; dostajemy pierwszy rozkaz przygotowujący ugrupowanie wstępne do wojny; czytam go i nie chce wierzyć własnym oczom. Kierunek na Piotrków jest po prostu doczepiony do naszego zadania to znaczy, że mamy go zasłonić my sami.

Marszałek wie, że nie sięgamy lewym skrzydłem do dróg, które prowadzą na Piotrków; że nie mamy już ani jednego zbędnego żołnierza, którego moglibyśmy użyć dla zamknięcia tych dróg; gorzej, on chyba domyśla się, że będzie to jeden z głównych kierunków uderzenia niemieckiego, nadający się szczególnie dla broni pancernej. Na tym kierunku aż prawie po Warszawę nie ma zmobilizowanych wojsk polskich; główny kierunek stoi otworem nie broniony przez nikogo. Mimo tylu argumentów Marszałek nie wyciąga wniosków, które odpowiadałyby położeniu.

Wobec buntu jaki podnosimy przyjeżdża on za parę tygodni do Łodzi i uspokaja gen. Rómmla informacją, że na kierunku piotrkowskim stanie silna armia odwodowa gen. Dęba Biernackiego, która zabezpieczy nasze lewe skrzydło i tyły. Jest rzeczą oczywistą, że obydwa kierunki na Łódź i na Piotrków stanowiły operacyjnie jedną całość z czego wynikało, że siły użyte do ich przykrycia powinny być pod rozkazami jednego dowódcy, mieć wyraźne zadanie i żadna ich część nie mogła być pocytywana jako odwód skoro stały w pierwszej linii i były związane z obroną ważnego kierunku.

Rozdwojenie zadania które znalazło swój wyraz w interpretacji roli armii Prusy (armia gen. Dęba Biernackiego) tak przez Nacz. Wodza jak i przez dowódcę armii, dało wyniki, których można się było spodziewać. Armia Prusy kończy swoją koncentrację z opóźnieniem kiedy działania są już w toku. My musimy wprawdzie zatrzymać niem. 4 dywizję pancerną, aby osłonić wyładowania oddziałów armii Prusy. Następnie armia ta chcąc służyć wielu celom rozprószy się, nie będzie nigdzie

silna i nie spełni żadnego zadania. Mając o 40% sił więcej od nas wytrwa w bitwie zorganizowanej tylko jeden dzień; pancerze niemieckie przejeżdżają jej prawe skrzydło i wlewają się przez Piotrków na dalekie tyły naszej armii. Staje się to, przed czym przestrzegaliśmy przez cztery lata.

Oddziały pancerne niemieckie przebijają się z Piotrkowa wprost na Warszawę i zapukają brutalnie do bram stolicy rankiem 9 września. Na szczęście istnieje obrona miasta zorganizowana przez gen. Czumę; ta zaimprovizowana obrona da Niemcom krwawą odpawę.

Następujący epizod z mojej pracy w GISZ'u utkwiał mi głęboko w pamięci. Było to gdzieś około 1 października 1938 roku. Przybywszy jak zwykle rankiem do biura dowiedziałem się w sztabie, że generał został wezwany na konferencję do Marszałka i dano mi do zrozumienia, że zanosi się na coś nieoczekiwane wielkiego. Około w pół do dziesiątej powrócił generał i wszedł wprost do mojego pokoju mówiąc: „Polska postawiła Rosji ultimatum, które upływa o godzinie 12. W razie wojny ja obejmuję dowództwo armii Dubno, a pan będzie moim szefem sztabu”. Byłem tak zaskoczony, że nie wiedziałem od czego zacząć; wprawdzie zwróciłem uwagę generała na to, że istnieje wpracowany pierwszy oficer armii Dubno, który odda mu większe usługi jak ja, ale generał nie chciał o tym słyszeć. Przypadkowo biura armii Dubno były naprzeciwko nas po drugiej stronie korytarza; musiałem się tam udać, zażądać wydania mi materiału, który wchodził w rachubę i prosić o niektóre wyjaśnienia. Ta cała procedura była mi wysoce nieprzyjemna tym bardziej, że cenilem mego kolegę z odcinka Dubno.

Pracowałem w pocie czoła i ani się nie spostrzegłem, jak szybko upływał czas. Ledwo pozbierałem trochę danych o tej nowej, zupełnie mi nieznannej armii jak zadzwonił telefon: Sprawa z Rosją załatwiona, wojny nie będzie.

Odetchnąłem z uczuciem bezgranicznej ulgi. Niszcząc notatki, które zrobiłem, patrzyłem smętnie w dogasające płomyki i popiół, który z nich pozostawał. W mojej wyobraźni ożywało widmo wojny niespodzianej i kompletnie nieprzygotowanej obok której przeszliśmy o włos; tym razem udało się, ale co nastąpi jeśli przyjdzie druga próba i nie uda się?

Z końcem stycznia 1938 inspektorat nasz otrzymał polecenie opracowania ważnego tematu: „Uderzenia Niemiec na Polskę”. Praca ta przypadła z urzędu mnie. Rzuciłem się na nią jak głodny wilk. Przez 6 tygodni żyłem w transie jednej tylko idei, mego zadania. Odgrodziłem się od wpływów, stałem się w duchu Niemcem i ustaliliśmy: Cel, doktrynę i środki. Z chwilą kiedy miałem ten szkielec gotowy jego operacyjne opracowanie stawało się łatwe. Manewr niemiecki był podyktowany zarysem naszych tragicznych granic i dawał przeciwnikowi wszystkie korzyści. W czasie kiedy ja pracowałem nad

tym zagadnieniem istniała jeszcze Czechosłowacja i była przyjęta jako neutralna.

Określiłem uderzenie Niemców jako wielkie dwustronne kleszcze, których prawe ramię wysunie się z Górnego Śląska na Radom a lewe ramię z Prus Wschodnich na tyły (wschodnie zaplecze) Warszawy. Ideą manewru byłoby spędzenie sił polskich na Wisłę, celem zniszczenia ich w obszarze Warszawa, Dęblin, Siedlce. Pomiędzy obydwoma ramionami kleszczy wykreśliłem kierunki uderzenia biegnące, ogólnie mówiąc, na wschód, mające na celu związanie naszych sił głównych frontem na zachód, celem zapewnienia całkowitej skuteczności manewrowi oskrzydłającemu, który zamyka się na naszych dalekich tyłach.

Plan mój został przedstawiony przez gen. Rómmla marszałkowi, który albo się z nim nie zgadzał albo go nie rozumiał. W każdym razie nie wyciągnął on z niego żadnych wniosków. Logika warunków operacyjnych spowoduje, że z wyjątkiem odchyłań wynikłych z upadku Czechosłowacji, Niemcy uderzą w 1939 roku prawie dosłownie według planu, który został opracowany przeze mnie.

W drugiej połowie 1938 roku odbywały się konferencje inspektorów Zachodu z marszałkiem na czele, podczas których dyskutowano różne aspekty naszego planu obrony. Brałem w nich udział. Obydwaj z generałem byliśmy zgodni w ocenach i konkluzjach.

Staliśmy na stanowisku, że najdotkliwszym zagrożeniem całości naszego systemu obronnego jest prawdopodobieństwo silnego uderzenia niemieckiego z Prus Wschodnich na Warszawę i jej zaplecze na wschodnim brzegu Wisły. Utrata węzła warszawskiego kończyła operację Polski jako zorganizowanej całości; dlatego należało tak działać, aby wykluczyć zaistnienie tego wypadku. Osiągnąć to można było jedynie przez zgromadzenie znacznych sił na północny wschód od Warszawy i przeciwstawienie ich Prusom Wschodnim. Było jasne, że na zachód od Wisły można było działać jedynie powstrzymując z tendencją do wygrywania czasu. Do właściwej obrony można było przejść dopiero na linii San-Wiśła.

Pozostawiam czytelnikowi ocenę czy koncepcja nasza miała sens. Była ona na wskroś militarna i wyrzucała poza nawias wszystkie inne względy. Wyrzekaliśmy się świadomie wielkiego terenu po to, aby móc w wojnie trwać, o ile to trwanie było w ogóle możliwe przy braku dowozu i w tym stosunku sił jaki zaistniał w roku 1939.

Fakt, że w roku 1938 rozpatrywano koncepcje naszej obrony udowodniał, że nie istniał do tego czasu żaden obowiązujący plan; pomimo tego faktu oraz mimo dyskusji, które wniosły niemało światła — odcinki trwają nadal w niezmiennym zarysie obszaru i zadań, a nawet siły przydzielane pozostają niezmienione aż do wojny. Gen. inspektor trwa z niepo-

jętym uporem przy starym schemacie, którego bezsens rzuca się w oczy.

Poruszę na tym miejscu zjawisko, które miało ogromny wpływ na kształtowanie się myśli wojskowej w Polsce. Był nim wpływ wojskowej misji francuskiej względnie, mówiąc ściślej francuskiego płk. dypl. Ludwika Faury, duchowego kierownika naszej szkoły sztabu gen. podczas dziewięciu pierwszych lat jej istnienia. On jest faktycznym twórcą naszego korpusu oficerów dyplomowanych; mistrzem który nauczył nas wszystkich rozmawiać taktycznie i operacyjnie.

Kiedy byłem jeszcze słuchaczem szkoły sztabu gen. w odległym roku 1921, Faury sformułował w odniesieniu do naszego zachodu następującą tezę: Bez względu na to co zechce uczynić dowództwo polskie w wojnie obronnej z Niemcami dwa momenty są tak oczywiste, że w odniesieniu do nich nie może być wątpliwości lub wahań. Nie wolno pozostawiać Polakom żadnych sił w Korytarzu Pomorskim bo zostaną przyparte do Wisły i odcięte; nie wolno wysuwać sił do operacyjnie martwego występu poznańskiego bo zostaną oskrzydłone, odłączone od reszty sił i pobite oddzielnie. Słowa te były prorocze!

Jedną z tez podstawowych jest zasada, że wprawdzie trzeba samemu wiedzieć czego się chce, określić sobie cel do którego się dąży, aby móc następnie stawiać podkomendnym zadania i przydziałać im środki, odpowiadające potrzebom wykonania. Zasada była tak oczywista, że nie mogłem uwierzyć, że nasz Naczelny Wódz potrafi się bez niej obejść.

Pracując na odcinku zastanawiałem się, że odcinki były wyznaczone a priori, że otrzymały dotacje sił a nigdzie ani śladu idei, z której wynikał ten przypadkowy podział. Jeśli na początku kładłem to na karb tajemnicy to z biegiem czasu utwierdzało się we mnie przeświadczenie, że idei nie ma w ogóle. Nacz. Wódz chciał z czegoś zacząć, a następnie działać niezależnie od okoliczności; jest to strategia najtańsza, strategia bezsiły i duchowego podporządkowania się przeciwnikowi; oddanie mu z miejsca całej inicjatywy.

Zgadzam się, że kampanii nie można było doprowadzić do żadnego pomyślnego wyniku, ale stanowczo należało ją lepiej planować i były wszystkie dane po temu.

PLAN WOJNY I NACZELNY WÓDZ

W tym stosunku sił jaki zaistniał w kampanii 1939 roku nie było żadnej możliwości zatrzymania ataku niemieckiego. Przewaga Niemców była tak wszechstronna i druzgocąca, że przesądzała wynik kampanii. Stwierdzenie powyższe jest istotne albowiem odciąża ono Naczelnego Wodza od zarzutu, że klęska była następstwem jego błędów operacyjnych.

Jedynie bardzo wielki optymista, którym ja nie jestem, może się łudzić, że zaistniałyby szanse naszego przetrwania

w wypadku gdyby nasi sojusznicy z zachodu wkroczyli z jak największym rozmachem, w jak najszybszym czasie co było ich obowiązkiem i powinno było nastąpić w ich własnym interesie. Być może, że w takim wypadku Rosja nie byłaby wkroczyła na teren Polski; dałoby nam to możliwość złapania oddechu, opanowania sytuacji ustabilizowania frontu, mówiąc całkiem ogólnie, na linii Wisły.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa jeśli popatrzymy na nią pod kątem decyzji do wojny oraz sposobu jak została rozegrana.

W odniesieniu do decyzji nie ma żadnego śladu, wskazującego na to, że Naczelną Wódz orientował rząd w porę o stosunku sił i wnioskach jakie stąd wynikały. Dane, które zostały mu przedłożone przez oddział „drugi” sztabu nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do bardzo wielkiej przewagi liczebnej oraz materiałowej Niemców. Wiadomo było również, że Polska nie ma linii dowozu, na której mogłaby oprzeć swe trwanie w wojnie, związane z koniecznością dowozu sprzętu. Ostatecznie pomoc zachodu, a głównie zbrojna interwencja Francji na wielką skalę, nie została nigdy zagwarantowana i potwierdzona podczas narastania kryzysu w sposób jasny i pewny, jak tego wymagały okoliczności.

Reasumując należy stwierdzić, że wszystkie argumenty strategiczne uwypuklały beznadziejność kampanii. Pomimo tego stanu odnosi się wrażenie, że Naczelną Wódz nie doceniał stopnia zagrożenia kraju i zarażał rząd optymizmem, na którym została oparta determinacja decyzji do wojny.

W odniesieniu do wykonania operacji wojennych będziemy musieli stwierdzić, że siły którymi Polska rozporządzała nie zostały wykorzystane w sposób celowy; ich użycie pozostawia bardzo wiele do życzenia.

Naczelną Wódz Polski dominował rząd z tytułu swych wyjątkowych uprawnień; jego zdanie przesądzało decyzje rządu. O ile szukam usprawiedliwienia, żeby go w pewnym stopniu odciążyć od odpowiedzialności za wynik spotkania, o tyle muszę go tym usilniej obciążyć za politykę, która doprowadziła do sytuacji z 1939 roku jak też i za to, że przeceniał nasze możliwości militarne w sposób naiwny i ze szkodą dla kraju.

Celem odzwierciedlenia psychiki marszałka Rydza Śmigłego przedstawię czytelnikowi w dosłownym brzmieniu dokument, który nasza sekcja historyczna w Londynie podaje jako myśl przewodnią generalnego inspektora co do sposobu prowadzenia wojny. Odpis tej myśli widnieje w części pierwszej dzieła historycznego: Kampania Wrześniowa na stronie 271. Czytamy tam:

Nie zachowała się żadna część z planu z marca 1939, która zawierałaby myśl przewodnią gen. inspektora co do sposobu prowadzenia operacji; natomiast myśl ta została opracowana

w pierwszych wytycznych, które generał Kasprzycki zabrał latem 1939 do Paryża. Jest ona podana następująco:

„Na hipotezie rzucenia pierwszego ataku, gros sił na Polskę, opiera się mój plan operacyjny. Jest to plan defensywny. Cel jego jest: Zadając Niemcom jak największe straty, broniąc pewnych koniecznych dla prowadzenia wojny obszarów, wykorzystując nadarżające się sposobności do przeciwuderzeń odwodami, nie dać się rozbić przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych na zachodzie. Muszę się liczyć z nieuniknioną na początku wojny stratą pewnych części terytorium polskiego, które później odbije się. Po zaangażowaniu się sprzymierzonych w sposób zdecydowany i poważny, gdy nacisk niemiecki na froncie polskim osłabnie, będą działał zależnie od położenia”.

W powyższym dokumencie odgaduje własnoręczne pióro marszałka Rydza Śmigłego i przemawia do moich uczuć romantyczna nuta jego pobożnych życzeń. Szkoda jedynie, że nie podaje jak zamierza osiągać to do czego zmierza i skąd wie, że nastąpi taki obrót spraw jak ten, na który liczy i na którym buduje swój domek z kart.

Zaiste zbędne były drakońskie nakazy tajemnicy wojskowej jeśli to było wszystko co mieliśmy do ukrycia; gdyby ta myśl przewodnia wpadła w ręce Niemców wrzuciliby ją do kosza.

Nadmienię przy okazji, że złożyłem jesienią 1938 meldunek o, powiedzmy, nastrojach panujących w sferach kierowniczych armii francuskiej; miałem przyjaciela, który pracował we francuskim GISZ'u i orientował się w nastawieniu rady wojennej. Jego zdaniem na południowej połowie frontu należało się liczyć z obroną na Maginocie; w części północnej przewidywał on działania zaczepne. Osobnik ten, usposobiony bardzo życzliwie dla Polski przestrzegał, że wielka odległość, dzieląca obydwa teatry działań, stawia pod znakiem zapytania czy odciążenie Polski będzie w porę skuteczne.

Aby czytelnik niewojskowy mógł ocenić pustkę, która przemawia z idei przewodniej, którą wymieniam poprzednio zaznaczę, że plan obrony kraju jest tworem obszernym i złożonym. Powstaje on pod patronatem wojska przy współudziale wszystkich resortów życia państwowego. Odpowiedzialny jest naczelną wódz. On wyciąga wnioski, stwarza i wiąże cele operacyjne z możliwościami kraju i ożywia plan duchem swej koncepcji aby go uczynić realnym i wykonalnym.

Na odcinku wojskowym planu ciąży piętno woli naczelnego wodza; z niej uwidacznia się jasno cel operacyjny, który ma być osiągnięty na przeciwniku i sposób przy pomocy, którego on chce dążyć do jego osiągnięcia. Jest to zatem dokument na wskroś wojskowy, operujący konkretnymi danymi: Wojska, terenu i czasu. Z idei wynikają logicznie zadania podkomendnych zgrupowań wojsk; otrzymują one zadania podstawowe

oraz wskazówki jak mają postąpić w miarę powstawania okoliczności, odbiegających od oczekiwanego rozwoju wydarzeń.

Dokument na który powołuje się „Kampania wrzesniowa” nie jest ani planem ani w ogóle dokumentem typu wojskowego; nie zawiera on żadnej idei operacji, a jest jedynie uszerogowaniem kilku naiwnie określonych życzeń, nie mających oparcia na warunkach rzeczywistości. Jeśli to było wszystko z czym nasz Naczelny Wódz wyruszył na wojnę to należy uznać, że wybrał się z pustymi rękoma. Nadto jasne jest, że dowodzenie na szczeblach wysokich jest funkcją przewidywania; ale przewidywać może jedynie dowódca, który przejawia wolę i wie sam czego chce.

Przebieg kampanii potwierdzi, że marszałek nie ma żadnej określonej idei w odniesieniu do celów czy skutków, które chce osiągać walką na przeciwniku; pod osłoną swoich mglistych pojęć o wojnie ukrywa on zupełny brak woli i nie przejawia nigdzie inicjatywy. Wyczuwa się intuicyjnie, że chciałby on trwać i jakoś prowadzić tę wojnę nie dając się zniszczyć. Nie bierze przy tym pod uwagę, że przeciwnik ze swej strony będzie dążył nieubłaganie do zniszczenia jego, że nie można uniknąć spotkania i bitew, które bez względu na to czy on chce tego lub nie chce rozegrają się wedle normalnych prawideł stosunku sił i prawidłowości manewru. Innymi słowy, że nie można prowadzić wojny, nie angażując się całkowicie. Powstańcie stąd zasadnicze nieporozumienie, znajdujące wyraz w dyspozycjach marszałka.

Armie dostają rozkaz bić się do upadłego, ale nie wiadomo po co, bo Naczelny Wódz nie ma zamiaru stoczenia bitwy i nie tworzy w żadnym momencie i na żadnym punkcie kombinacji sił, która by, choć lokalnie, dawała naszej stronie przemijającą szansę powodzenia. Takie okazje zaistniały, ale nie zostały wykorzystane. Wyniki nie dają na siebie czekać; podkomendni przestają rozumieć Naczelnego Wodza, nie wiedzą już czego on od nich chce. Naciskają go ze swej strony; marszałek ulega, decyduje się na półśrodki i z takim opóźnieniem, że decyzje są przeskokowane przez wypadki i stają się niewykonalne.

Czyż marszałek nie wiedział o tym, że jego obowiązkiem było opracować konkretny plan bitwy obronnej z przeciwnikiem, który, według danych jego biura informacyjnego, mógł przygotować do uderzenia na Polskę 70 wielkich jednostek.

W jego dokumencie o idei wojny przewija się dziwnie niefrasobliwa nuta optymizmu nie liczącego się zupełnie z rzeczywistym stosunkiem sił; w zadaniach, które wyznaczy armiom objawi się analogiczny spódczynnik zupełnego ignorowania realizmu sił, co przekreśli sens i wykonalność zadań.

Mimo pewności, że spotka się z dużą przewagą marszałek dysponuje tak jakby był panem sytuacji. On chce zadawać

straty, nie dać się zniszczyć i jeszcze przy tym wszystkim utrzymywać obszary ważne dla wojny. Zadania te stoją w rzącej z sobą sprzeczności, już choćby dlatego, że utrzymywanie gospodarczo ważnych obszarów, nie może się pokrywać z założeniami operacji i musi doprowadzić do bitwy w warunkach przeciwnych motywom wojskowym.

Marszałek postawił sobie za dużo zadań, które w sumie doprowadzają do poplątania pojęć u niego i u niektórych podkomendnych. Mnogość zamierzeń, z których każde z osobna stanowi wielki problem, pociąga za sobą i to następstwo, że w końcu nie wiadomo któremu dać pierwszeństwo, które jest istotne i decydujące.

A tymczasem problem był prosty: Szło o to, żeby trwać na własnej ziemi jako partner, prowadzący wojnę.

Wspomniałem już o aspekcie dowozu. Polska nie miała ani produkcji ani zapasów sprzętu wojennego; była skazana na dowóz z zagranicy. Jedyne nasze okno na świat to był port Constanza położony na Czarnym Morzu. Dowóz musiał iść przez Rumunię. Pomijam lichą przelotność rumuńskich kolei, ale czy fakt prowadzenia polskiej linii zaopatrzenia przez Rumunię nie stawiał neutralności tego kraju pod znakiem zapytania; czy można było sądzić, że Niemcy będą się przyglądać tej procedurze i nie założą protestu? Sięgając głębiej można by dojść do wniosku, że Polska mogła wojnę zacząć, ale nie miała na to danych żeby ją prowadzić, bo po zużyciu swoich skromnych zapasów stawała się bezbronna.

Zagadnienie mobilizacji były traktowane w naszej armii poważnie i dobrze rozpracowane. Dodając do tego zapał narodu i ochoczość stawiennictwa wyniki mobilizacyjne były imponujące. Niemcy, posiadając pełnię inicjatywy politycznej, mogli robić co im się żywnie podobało; mimo tego unikali rozgłosu i zmobilizowali swoją ogromną świeżo powstałą armię bez ogłaszania mobilizacji ogólnej, którą dyplomaci określają jako akt prowokacji oraz zagrożenia. Polska była w odwrotnym położeniu; była ona ofiara traktatów, które miały grać jedynie w wypadku niesprowokowanej agresji. Oczywiście, że nie mogła ogłaszać mobilizacji. Stawiam sobie natomiast pytanie czy nie posunęliśmy się w naszej wstrzemięźliwości za daleko? Argumentem głównym była podobno chęć oszczędzania, unikania wydatków jeszcze i w ostatniej chwili. Czy cel stał w proporcji do ryzyka? Na oszczędzanie było chyba już za późno.

Skoro mobilizacja normalna była niemożliwa bo musiała nastąpić po faktach a więc za późno, należało ją przeprowadzić kartkowo czy w jakikolwiek inny sposób byle tylko armia nasza była już na stopie wojennym w momencie kiedy Niemcy uderzyli. Opóźnienie mobilizacji określam jako jeden z największych błędów Naczelnego Wodza. To bowiem, wraz z wysunięciem dużych sił do rejonów operacyjnie szkodliwych osłabiło skutecz-

ność naszych wojsk przynajmniej o 40%. Ten ubytek jest winą naszych władz państwowych.

Naczelną Wódz rozstawia nasze wojska do wojny kordonem wzdłuż niemal całej granicy nie biorąc pod uwagę dosłownie ani jednego argumentu operacyjnego; obraz tej koncentracji jest wręcz przygnębiający.

W korytarzu pomorskim pokutuje do końca nasz korpus interwencyjny, który został tam postawiony jako memento na wypadek puczu w Gdańsku. Z końcem sierpnia jest już całkiem jasne, że sprawa przerasta poziom puczu; w razie niemieckiego ataku osamotniony korpus musi być rozbity bez najmniejszego dla nas pożytku. Naczelną Wódz nie przejmuje się tym bynajmniej; korpus nie zostaje odwołany i jest zniszczony u wstępu kampanii.

Armia Poznań zostaje wysunięta do występu poznańskiego, który jako obszar wciną się głęboko na zachód i musi być dwustronnie przeskrydlony wstępnym atakiem Niemców. Bóg jeden wie po co ona została tam umieszczona? Wnioskując z jej zadania miała ona pełnić funkcje siły dyspozycyjnej niejako odwodu przeznaczanego do działań na korzyść sąsiadów. Odwody działają normalnie od tyłu ku przodowi, a nie na odwrót. Dowódca tej armii pozostawiony początkowo sobie nie zdecyduje się na nic i będzie przez 5 dni widzem, przyglądającym się bezczynnie jak Niemcy biją jego sąsiadów. Armia ta robi swoją kampanię wrzesniową nie wiążąc jej bynajmniej z położeniem reszty sił, w konsekwencji czego jest bita oddzielnie i w osamotnieniu aż do swej kapitulacji nad Bzurą.

Armia Toruń istnieje tylko na papierze; połowa jej pozostała w korytarzu pomorskim; jest ona za słaba, żeby ważyć w wydarzeniach a to tym bardziej, że po początkowych niepowodzeniach zostaje podporządkowana dowódcy armii Poznań i dzieli dalsze losy tej armii.

Na południe od armii Poznań wegetuje armia Łódź. Ma ona zatrzymać uderzenie oczekiwanych sił głównych, debuszujących ze Śląska i przykrywać dwa ważne kierunki na Łódź i Piotrków. Czeka ją od początku najcięższa bitwa, Można by mniemać, że będzie to armia silna; wręcz na odwrót jest ona liczebnie najslabszą armią na zachód od Wisły. Walczy ta armia przez pięć dni z pięciokrotną przewagą i nie zostaje zniszczona; jest ona jedyna, która przetrwa całą kampanię i złoży broń jako ostatnia na rozkaz swego dowódcy po kapitulacji Warszawy.

Dalej na południe grupuje się armia Kraków. Podobno istniała tendencja, która co prawda nigdzie nie znajduje wyrazu, by użyć tę armię jako zawiasu, począwszy od którego cały front miał skrecać prawym skrzydłem stopniowo ku Małopolsce, aby stworzyć ostatecznie wielkie przedmoście na Podkarpaciu, nastawione tyłem na Rumunię i Ruś Podkarpacką. W takim razie po co wysunięto tyle sił na północny zachód? Koncepcja

ta nie odgrywa roli, bo armia Kraków jest od początku ruszona z miejsca i zmuszona do odwrotu, który wykonuje sprawnie.

Pomiędzy armią Łódź a armią Kraków umieścił naczelną wódz armię Prusy. Ma ona grać podwójną rolę: Być odwodem a równocześnie zabezpieczać lewe skrzydło i tyły armii Łódź. Mając dwa sprzeczne ze sobą zadania armia ta rozrzuci swoje siły i nie spełni żadnej części swojej roli pomimo, że miała sporo sił.

Ostatecznie przeciwko Słowacji istnieje słaba armia Karpaty, która osłania tak jak może lewe skrzydło i tyły armii Kraków na terenie Małopolski.

W tym wszystkim co wymieniam gdzie pozostała zasada koordynacji działań w czasie? Zespalandia wysiłków celem unikania tego co nazywamy dać się bić kawałkami, na raty. Im słabszym się jest tym większą należy skupić uwagę na ekonomii sił i koordynację manewru. Pojęcia te są marszałkowi obce; nie dochodzą do głosu w kampanii.

Z armii Poznań, Prusy i Toruń dojdą do Wisły tylko małe strzępy. Te trzy armie nie doszły w operacjach do pełnego głosu; zostały one zniszczone bo zostały źle dysponowane. Ich ofiara i straty nie stały w proporcji do tego co uzyskiwały przeciwnikowi. W imię prawdy trzeba powiedzieć, że dowódcy tych armii nie stanęli na wysokości. Gdybym miał scharakteryzować ich nastawienie skrótem telegraficznym to powiedziałbym, wpiery, że ich inicjatywa mogła być wiele naprawić; ale oni nie przejawili żadnej inicjatywy, przeciwnie interpretowali swe zadania w najgorszy sposób. Dowódca armii Poznań początkowo nie chce się bić. Dowódca armii Prusy chce się bić, ale nie umie dowodzić armią, a dowódca armii Toruń nie ma się czym bić, wydaje się być zniechęcony i opuszcza ręce.

Na froncie przeciw Prusom Wschodnim na wschód od Wisły muszą nastąpić wydarzenia o decydującym znaczeniu. Po więzi dwóch kierunków Łódź i Piotrków jest to drugi obszar, stanowiący jedną operacyjną całość. Prosi się po prostu żeby tam był jeden dowódca i miał konieczne minimum sił dla osłony zaplecza stolicy. Ale warunki personalne w naszej armii są takie, że wykluczają stworzenie dowództwa grupy armii, bo u szczytów wojska legionista nie może być pod rozkazami nie legionisty; aby uniknąć komplikacji nie tworzy się grup armii w ogóle.

Przeciwko Prusom Wschodnim występuje zatem słaba armia Narew a na północny wschód od niej grupa operacyjna gen. Młot Fijałkowskiego. Za nimi trzyma Naczelną Wódz kilka jednostek w odwodzie.

Na skutek szybkości działań, która cechuje kampanię oraz zupełnemu brakowi nowoczesnych środków łączności bezdrutowej, jedynej która mogła być sprostac wymaganiom, operacje naszych wojsk przy zagonach broni pancernej Niemców, stają się dla wyższych dowództw bardzo trudno uchwytne. Meldunków brak albo przychodzą z dużym opóźnieniem;

reakcje następują za późno i już nie odpowiadają sytuacji. Naczelny wódz scentralizował dowodzenie w swoim ręku i ma chyba około dziesięciu albo więcej zgrupowań, którym rozkazuje bezpośrednio. W odniesieniu do odwodów na wschód od Wisły należy stwierdzić, że dysponuje taktycznie poszczególnymi dywizjami.

Łączność wstępna była oparta na sieci krajowej; z chwilą kiedy armie zostały ruszone z miejsca łączność urywa się i nie ma już nawet w obrębie armii żadnego sposobu do sprawowania dowodzenia w sposób prawidłowy.

Wobec powyższych warunków organizacja dowodzenia stworzona przez marszałka nie odpowiadała zasadom ani warunkom kampanii; począwszy od drugiego tygodnia wojny jednostki są często skazane na działanie z własnej inicjatywy, a rola dowództw wyższych sprowadza się coraz bardziej do sankcjonowania faktów, które nastąpiły bez ich ingerencji.

Gmach wojenny wzniesiony rękoma marszałka przedstawia się jako rusztowanie wewnątrz którego zionie pustka idei i sił. Każde silniejsze uderzenie Niemców wnika głęboko do jego wnętrza i wywraca filary na których ono się opiera. Brak idei u góry paraliżuje walkę; występują rozdźwięki. Dowódcy armii nie mogą przejawiać żadnej rozsądnej inicjatywy bo nie wiedzą do czego zmierza Naczelny Wódz.

Jedyna decyzja, którą marszałek powziął w porę i rozkazał jasno był rozkaz obronny Warszawy na murach miasta. Decyzja ta jest przyznaniem się do klęski i zamyka praktycznie okres kampanii kierowanej. Ekspiacja Warszawy to cena, którą płaci stolica, aby podkreślić godność narodu; skorzysta z niej armia, aby ratować swój honor.

Wychodząc z założenia, że kampanię wrześnieową musimy w każdym wypadku przegrać musimy jednak w imię prawdy podkreślić, że trudno było prowadzić ją gorzej.

Wśród bardzo wielu czynników, które złożyły się na naszą klęskę stawiam na wysokim miejscu wygórowane pojęcie o sobie, które cechowało dostojników rządu i legionową generację z marszałkiem na czele. Ludzie ci uwierzyli w to, że nominacja na ministra i naszywanie odznak generalskich czyni z nich mężów stanu i wodzów. Uwierzyli w to tak święcie, że nie słuchali nikogo, stojącego poza ich gronem. Przebieg kampanii zaskoczył ich samych najbardziej, uwidoczniając, że bytowali przez długie lata w obłokach własnych życzeń, które nie odpowiadały naszej rzeczywistości.

*Aleksander PRAGŁOWSKI,
pułkownik dypl.*

Trop legendy

POD LUNAPARKOWYM WIATRAKIEM

Któżby dziś pomstował na szosę Zaleszczycką? Przysłoniła ją zakręty historii, chwala Bogu. Ale wiosną czterdziestego niosłem z Polski, przez białą jeszcze granicę, pamięć chłopskich oczu patrzących na umykające samochody pełne wczorajszej buty i sobiepaństwa. I pamięć bitwy pod Kockiem, kiedy to już ze wszystkiego został tylko ten polski honor i resztki naboju w ładownicach. Później były druty kolczaste i zle słowa o tamtych. Szły one ze mną przez okaleczone miasta, zjawiały się na polnych drogach i w chatach. We Francji był nowy wódz, nowe nadzieje.

Dłużyła się droga, powiodła przez dwa oceany, zawiodła do Anglii. W Blackpool kilka tysięcy takich jak ja czekało na przydziały. Angielski, wyszkolenie ziemne, spisywanie ciągle nowych ewidencji. Wśród nocnego nieba jęczały bombowce, rdzewiały łuny nad Liverpoolem, dnie szare nudą i jesiennym niebem. Pisywałem do „Ostatnich Wiadomości”, bo jakże, mieliśmy własne pismo codzienne. Na powielaczu to się odbijało. Wcale niezłe. W pokojkach redakcyjnych zjawiali się młodzi ludzie w lotniczych mundurach, nazwiska historyczne i nazwiska chłopskie, gimnazjaliści, studenci, inżynierowie, magistrzy, chłopcy od majstra, robotnicy, szoferaki. Rwało się to wszystko do latania, Komisje lekarskie nie bardzo przebrzydzały, że to nie do latania na spacer, że to nie na długo. Angielskie gazety ciągle o polskich lotnikach, bohaterscy Polacy! Bo poszło już co młodsze z zawodowych, bili jak w kaczki. Wódz przywieszał krzyże, mówił przez radio ojczyznianie i demokratycznie, znaczył w świecie.

— Może ten dupą nie będzie? — marzyło się przy kominach. Bo Sprawa przez wielkie S, czy kto chciał czy nie, stanowiła podkład naszego życia. Ona nas przywiodła nad to zapłakane morze, kazała mieszkać w hotelikach nasiąknięch wilgocią, wspomnieniami smażonych ryb i apteczną miłością. Cierpiał się dla Sprawy — i ten lunaparkowy wiatrak nad wybrzeżem i tę żelazną wieżę, wołającą z dała o nudzie i brzydocie Blackpool, a nade wszystko tak dojmujące jeszcze rozstanie.

Mówiło się tedy o Sprawie, dyskutowało. Mówiło się o Marsyliance w szlafroku i lwie z parasolem, ale i o naszym wodzostwie utopionym w rzece z kołomyjki. Sprawność fałszyzmu w walce z bezrobociem, potęga wojskowa nieprzyja-

ciela budziły zazdrość, ale szczepienie ochronne, jakim było faszyzowanie bohaterów szosy Zaleszczyckiej wystarczało. Nie, nie chcieliśmy już Polski w koszarach, ale i nie chcieliśmy w młynie demo-liberalnego łatwoślowia, w rodzaju tych jakie zagłuszyły we Francji zarówno głos rozsądku jak i dumy narodowej. Od starszego pokolenia oczekiwaliśmy przede wszystkim zrozumienia tego, że na niewiele zdadzą się dobre chęci, programy, deklaracje, jeśli nie znajdzie rozwiązania to najbardziej palące zagadnienie, jakim jest ustawienie właściwego człowieka na właściwym miejscu. Dotyczyło to całokształtu tej namiastki państwa, która znalazła się na obczyźnie i to nawet dziedziny stawiającej tak wyraźne wymagania kwalifikacyjne, jakim było lotnictwo. Na modelu naszego lotnictwa stało się bodaj najwidoczniejsze admirowanie ludzkich zer. Tu było widać, że jest ono jakimś potwornym kalectwem naszej psychiki, które w niwecz obraca choćby najlepsze plany i najofiarniejsze wysiłki społeczeństwa.

To co się działo z naszym lotnictwem w Polsce w przeddzień wojny i w czasie krótkiego jej trwania, wymagało w każdym razie gruntownych dochodzeń. Gdyby nawet nie ujawniły one czyjejsz zdrady, ukazałyby przecież, jak dobrymi sojusznikami nieprzyjaciela bywa głupota i brak charakteru panoszące się na wysokich stanowiskach. Dochodzeń nie przeprowadzono, pozostało, jak było.

Ten bliski, a tak uderzający przykład wysuwał w naszych rozmowach o Sprawie zagadnienie powstawania grup kierowniczych. Wzrastało wśród nas zrozumienie że skuteczna obrona przeciw wywyższaniu małości, jest pierwszym krokiem ku lepszemu jutru.

Gdy teraz wspominam tamte przykominkowe rozmowy, widzę, jak bardzo dalekie drogi wiodą od pierwszych przebłysków doświadczenia sobie całego ogromu jakiegoś zagadnienia, do wyraźnego ujrzenia go przez ogół. Gdy po wojnie Churchill napisał w swoich pamiętnikach, że polskie rządy były dobierane z najgorszych spośród najgorszych, nasz gniew przeciw tej złośliwości całkiem nie szedł w parze z poczuciem że jest w niej coś prawdy o dętych wielkościach, które wprawdzie trafiają się w każdym społeczeństwie, ale u nas są zjawiskiem nagminnym. Warto tu spostrzec, że niewrażliwość na panoszenie się małości przetrwała na emigracji wszystkie kłęski narodowe. Jest więc rzeczywiście psychicznym kalectwem, które rzecz prosta w obecnej Polsce ulega pogorszeniu.

Przyszłość miała być gorsza od najczarniejszych myśli, ale w owej zimie drugiego roku wojny nie wiele było czarnych myśli wśród nas. Grzechy polskiego wczoraj widzieliśmy przede wszystkim w małości wywyższonej, bezkarnej, wrogiej zdolnościom, pasożytującej na cudzej pracy i wiedzy, obrosłej dostojnością, utrzymywanej na powierzchni swojactwem, nie budzącej protestu społeczeństwa, jakby jej wywyższenie było z

ustanowienia Bożego. W Polsce niby mówiło się o tym, psio-czyło, ale tylko wtedy, jeśli chodziło o kogoś z obcego podwórka. Swojaka wypadało kryć, należało pobłażać jego „słabościom ludzkim”.

Ujmując w największym skrócie to, co zdaje się różnić pokolenie wychowane w Polsce niepodległej od pokolenia starszego, powiedziałbym, że wśród młodych mniej niż wśród starych znaczyły idee polityczne a więcej idee moralne w życiu państwa i społeczeństwa.

Mimo sporego ładunku niechęci do „starych” niektórzy z nich mieli wśród nas szczerze uznanie. Do nich należeli zarówno Sosnkowski jak Sikorski, choć nie tajne nikomu było, jak ci dwaj panowie się wzajemnie cenią i lubią.

Dla mnie Sikorski był wcieleniem nadziei kraju. Tam narastała wokół niego legenda, był więc człowiekiem i teraźniejszości i przyszłości. Mówiąc patetycznie historia wkładała w jego ręce złoty róg pełen ludzkiego zaufania i uległości. Jakimż był wybrańcem losu! Ten, właśnie ten człowiek mógł oprzeć Polskę na najlepszych spośród najlepszych.

Bodaj pod koniec zimy przyjechał z Londynu kapitan pilot Niewiarowski. Słyszałem, że stoi na czele jakiejś tajnej organizacji, szeptano o jego ambicjach politycznych i wychowawczych. W małej kawiarence tuż przy redakcji było zacisznie. Rozmawialiśmy długo. Mówił o zjednoczeniu ludzi prawych, o chlebie dla wszystkich, o godności ludzkiej dla wszystkich, o wartościach człowieka, tak dotychczas marnotrawionych. To wszystko dotyczyło chwili kiedy Polska powstanie, ale teraz trzeba już się przygotować na tę chwilę. Nie pomnę już wszystkiego co mówił, ale wiele z tego to były właśnie myśli o wywyższeniu ludzi tego godnych, myśli tylekroć jawiące się wśród nas i gorąco dyskutowane.

Zapytałem, ilu ma zrzeszonych. Odpowiedział że setki. Związek zwie się „Łańcuszkiem Dobrych Przyjaciół”. Rozprzestrzenia się samoczynnie, dwu spośród zrzeszonych przyjmuje trzeciego. W Rumunii „Łańcuszek” zasłużył się przy ewakuacji polskich lotników. Zdał więc pewien egzamin życiowy.

O Niewiarowskim wiedziałem niewiele, ale wszyscy którzy o nim mówili, mieli go za człowieka porządnego, a niektórzy przypisywali mu i głowę nie do pozłoty. Przed wojną po jakiejś kraksie skończył się jako pilot, więc był wychowawcą podchorążych w Dęblinie. Zdobył sobie uznanie wychowanków. Nie był to więc w żadnym razie rybak mętnych wód. W Rumunii dał się poznać jako ktoś, kto umie sobie dawać radę z trudnościami, powierzono mu więc później samodzielny referat bezpieczeństwa w lotnictwie. „Łańcuszek” mógł się więc rozrastać bez przeszkód, boć nie podobna rozbudować jakiejś konspiracji w nowoczesnym wojsku bez dobrego pokrycia w kontrwywiadzie.

Zapytałem Niewiarowskiego co myśli o Sikorskim. Mówił o nim jak najlepiej. Trzeba go popierać, to jest nie byle kto, wielki Polak, wielki umysł itd.

Mój Boże, nie miałem nic przeciw Sikorskiemu, ale pomnę ze wtedy od razu sobie pomyślałem — niech się okaże że nie, to będziemy przeciw. Oczywiście zachowałem tę myśl w głębi serca, bo zapał Niewiarowskiego był szczery. Wierzył całkowicie. A ja ze znakiem zapytania.

Jeden z punktów deklaracji wstępującego do „Łańcuszka” mówił o popieraniu rządu. Więc chodziło o oparcie Sikorskiego w wojsku, nie całkiem chyba pewne wobec „miłości” doń pilsudczyków.

Przegadaliśmy popołudnie i dogadaliśmy się, można było mu zaufać. Tak z ręką na sercu, to może nasze dogadanie się byłoby trudniejsze, gdyby nie szosa Zaleszczycka. Bo to ona wprawdzie odstraszała od wodzowładztwa w każdym wydaniu, ale ponad wszystko obrzydzała tamto, rydzosko-sławojskie.

POCZĄTKI

Wiosną uprzykrzyłem sobie czekanie na kurs pilotów, trzeba było strzelców, pojechałem do szkoły ognia. Pracy sporo, strzelania rankiem, holowniczy samolot a za nim rękaw, już różowe wschodem, lecą ogniste strzałki, już jaśnieją góry w ametyście wrzosowisk, bieleją kryzy pian nadbrzeżnych, Atlantyk szary, zielony i szklisty i roztopiony w mgłach. Sprawa była gdzieś na tych wodach, gdzieś za wrzosowiskami, nie myślało się o niej wiele, czekała. Później w Bramcote, na zgrywaniu załóg była już blisko. Pachniało tam wojną. Coventry obstawione balonami. Przylatywali Niemcy. Kraksa za krasą, mechanicy angielscy, nazganiiali tego z fabryk, przeszkolili, aby zbyć. Zostawił nam taki młotek i szmatę w kapie silnika, start, zaraz ogień, lądowanie na Boskie miłosierdzie, a byk nam powiada „sorry”.

Niemieckie czołgi parły już na Moskwę, a gen. Sikorski triumfował po zawarciu paktu z Rosją. Nie poszło mu to bez kłopotów. Z rządu ustąpił gen. Kazimierz Sosnkowski i minister spraw zagranicznych August Zaleski, a prezydent R.P. oponował. Głównymi zarzutami oponentów była niejasność sformułowań paktu w sprawie granic i brak ubezpieczenia paktu przez sojuszników anglosaskich, choć podobno widoki na to były. Zarzuty poważne, ale gen. Sikorski nie szczędził zapewnień, że sprawa granic nie budzi wątpliwości. Któż mógł wtedy wiedzieć, że te zapewnienia całkiem nie mają pokrycia, że przeciwnie wątpliwości są i to grube, bo Rosja nie chciała przystać na zobowiązania w sprawie zwrotu zagrabionych ziem, a niejasność paktu była po prostu listkiem figowym tak dla rosyjskiej zarobczości jak i dla braku cech męskich polskiego męża stanu,

który bez ubezpieczenia przeciw niej, gdzie można, jak można i póki można, ulegle podpisuje, co mu dają do podpisania.

Obóz przeciwnych Generałowi obejmował już nie tylko pilsudczyków, ale i narodowców, a ci mieli duże wpływy w Kraju. Co wybitniejsi socjaliści też mieli już dość przyzwyczajenia. Triumf samowładzności nie był więc pozbawiony goryczy, choć w prasie chwalono, wzbudziły się obawy i w szeregach wojska, zaczęto sobie przypominać brak przezorności pana Generała we Francji, bo gdyby i tym razem miało przezorności zabraknąć, groziło to już zaprzepaszczeniem nie iluś tam żołnierzy, ale połowy Polski.

Tymczasem w Londynie postanowiono zapatrywaniem opozycji politycznej przeciwstawić wiarę lotników w pana Generała. Poszły więc odpowiednie rozkazy do komendantów stacji lotniczych. Mówiąc nawiasem, na lotniskach rządili komendanci angielscy, ci polscy, niemłodzi już oficerowie, niby mieli nam patronować, niby przyglądać się, słowem coś jak babcie na tańcach. Co im kazali, wykonali. Posłali depesze w imieniu „walczących lotników”. Nie pamiętam już, jak to lotnicze żyro na pana generalskim wekslu politycznym dosłownie brzmiało, ale było laurkowe, jak to Generał lubił.

Trzeba trafu, że zwiedził się o depeszy pewien kapitan, obserwator z 300 bombowego, a że to było i w jego imieniu, więc sobie wyprosił. Oczywiście nie czekał długo, został przeniesiony do Bramcote. Do tego kapitana w niełasce zbliżyłem się. Był to początek przyjaźni serdecznej i trwałej, więc i wdzięczny jestem wysokim przełożonym za te ich szachermacher.

Kapitan-obszator, Aleksander Bujalski, miał za sobą ładną kartę bojową. W Polsce bombardował kolumny pancerne, wyszło mu dobrze. Do niedawna latał w trzysta bombowym, trzy razy Krzyż Walecznych, później Virtuti, później znów Krzyż Walecznych po raz czwarty. Ali, bo tak zwano młodego kapitana między kolegami, miał już nie tylko lotniczą chwałę, ale i wszystkie zalety znakomitego oficera: odwagę, ideowość — więc przede wszystkim Ojczyznę i Honor zrosnięte w jedno — miał wdzięk francuski, spokój angielski, dokładność pruską, słowem byłby ideałem oficera, gdyby nie to, że uniał samodzielnie myśleć. W wojsku panuje kult kaprała, pewnie tak być musi, a jakież może być większy grzech kaprała choćby przyodzianego już i w generalskie splendory, niż myślenie samodzielne? Ta uwaga niechaj będzie przestrogą dla młodych chłopców, którym czoła całował jakowys geniusz, a jakoweś licho podsuwa im sny o szpadzie. Niestety nie przestrzeżono Alego. Wstąpił do korpusu kadetów, a szkoda, bo w wojsku musiał być łabędiątkiem z baśni Andersena.

Ali należał do „Łańcuszka”, teraz boleśnie przeżywał zawód. Dla niego to była przede wszystkim sprawa godności — że to historia powierzyła Polskę Sikorskiemu, więc jak można z tym

podgodzić błaznowanie laurkami od żołnierzy, kiedy chodzi o jego posunięcia jako męża stanu.

Jeśli jednak podpisanie paktu Sikorski-Majskij stało się początkiem poważnej opozycji przeciw polityce generała Sikorskiego, to niepokój o los Ziemi Wschodnich znalazł już wyraz wśród lotników, nim pakt został podpisany.

Wbrew innym wersjom ten właśnie charakter miało wystąpienie kapitana pilota Jana Hryniewicza podczas uroczystości wręczenia sztandaru, który został zrobiony w okupowanym Wilnie i tajnymi drogami wysłany do Anglii. Było to na lotnisku w Swinderby w dniu 16 lipca 1941 roku. Na lotnisku tym wówczas stały dywizyjony bombowe 300 i 301.

Na uroczystość przyjechał gen. Sikorski, zaś prezydent R.P. nie, bo jak oświadczył szef gabinetu naczelnego wodza pułk. Borkowski: „Pan Generał nie lubi być drugą osobą”. Oświadczył również, że sztandar nie będzie, jak chcieli lotnicy, doręczony Naczelnemu Wodzowi przez tak zwanych „rodziców chrzestnych”, którymi mieli być przedstawiciele społeczeństwa wileńskiego, bo „Kraj ofiarował ten sztandar Naczelnemu Wodzowi”. To ostatnie nie było prawdą, bo sztandar został ofiarowany lotnictwu i nie przez Kraj w ogólności, ale miasto Wilno. Coś to wszystko razem wyglądało niewyraźnie.

W czasie uroczystości do stolika, na którym leżał sztandar podszedł kpt. Hryniewicz, wileńczyk. Było w programie że on wbije pamiątkowy gwóźdź w drzewce, więc wbił. Później, czego nie było w programie, zarzucił sobie sztandar na ramię, podszedł do gen. Żeligowskiego — ten siedział po cywilnemu między licznymi gośćmi. Hryniewicz wygłosił do niego krótkie przemówienie zaczęte słowami: „Panie generale Żeligowski, synu ziemi wileńskiej”, a skończone prośbą o wręczenie sztandaru w imieniu Wilna Naczelnemu Wodzowi. Gen. Sikorski rzucił tylko słowa: „Wileńska ziemia taka dobra jak każda inna”. Hryniewicz nie został ukarany, trzeba przyznać, że wybrał sobie przedstawiciela Wilna niezbyt szczęśliwie, bo sędziwy gen. Żeligowski na krótko przed śmiercią uległ marzoniom na temat jedności Słowian i Rosji jako jednoczycielki, co w każdym razie rozmięło się z uczuciami ludności ziemi wileńskiej.

W rozmowach z Alim nieraz padało nazwisko gen. Sosnkowskiego. Ten z pewnością nie ponosił odpowiedzialności za rządy przedwrześniowe. Trzymał się od nich z dala. Zwycięska bitwa we wrześniu r. 1939 przydawała jego pięknej sylwetce świeżej stawy, a w Kraju słyszałem o jego rozumie i prawości nawet od ludzi zdecydowanie niechętnych legionistom. Jednak nie chciałem poddać się urokowi tego nazwiska; zbyt wielu ludzi wczorajszych łączyło z nim nadzieje swojego powrotu do utraconych dygnitarstw, choć pewnie tylko niewielu z nich na to zasługiwało.

Pakt Sikorski-Majskij podważył moje zaufanie do Wodza, przeżywałem zawód, nie chciałem już wierzyć w polityczne wielkości, by znowu nie doznać rozczarowania. Ali Ignął teraz sercem do Sosnkowskiego, ale zgadzał się ze mną, że nasze pokolenie musi nareszcie zerwać z tęsknotami do nadludzi, że nie uciekniemy od swojej odpowiedzialności w zamian za gotowość wypowiedzenia słów: „Ave Cesar, morituri te salutant”. Musimy więc dochodzić o własnych siłach do wiedzy, co jest dla Polski dobre, a co złe, walczyć o jedno, walczyć z drugim. Gdzie? Tam, gdzie jesteśmy — jesteśmy w lotnictwie, nie chowamy się w mysie dziury, w porządku. Jesteśmy w tajnym związku, zaczynamy wątpić, czy to jest w porządku, ale my już ponosimy za tę konspirację sikorszczyków swoją część odpowiedzialności. Łączmy się więc po kilku, po kilkunastu, pomagajmy sobie nawzajem w rozsądnym i uczciwym myśleniu o Sprawie. To się na pewno kiedyś przyda, nie nam, to innym. Gdy Sprawa tego wyraźnie od nas zażąda, wesprzemy każdego, lub uderzymy w każdego. Jeśli nie będziemy piekli swoich frykasów przy tych ogienkach, będziemy w porządku.

Może nasze rozmowy z Alim zostałyby tylko rozmowami, gdyby akurat po jednej z nich nie wydarzyła się kraksa. Zwalili się przy starcie, zapalili. Angielski zespół ratowniczy w azbestowych pancerzach nie chciał biec do kraksy, bo amunicja w ogniu trzaskała. Był tam nasz porucznik, bodaj Lebiódka się nazywał. Łeb sobie kozuszkami od płomieni zasłonił, skoczył, angielski oficer służbowy, ani próbując pistoletem zaprosić tych w pancerzach, skoczył za naszym, chwycili za karabiny tylnej wieży, za końce luf, rozwarli całą siłą, rozpruli wieżę o tyle że wydostali strzelca. Reszta, dwu oficerów angielskich i pięciu naszych chłopaków spłonęło żywcem. Jak przybiegliśmy, było już po wszystkim. Dowiaduję się, kto w kraksie był. Jeden ze spalonych to był chłopak z takich, co świat sobą radują. Mało go znałem, ale się płakać chciało. Wracając od tej kraksy, powiedziałem sobie: „Masz robić wszystko, co będzie w twojej mocy, żeby jego śmierć nie poszła na marne”. Całkiem jak w księskiej powieści, to jakby jemu uczynione przyrzeczenie stało się bezpośrednią przyczyną zawiązania pierwszego kółka konspiracji, która miała się rozrosnąć. Jej początki były więc przypadkowe i nieokreślone politycznie.

ODBICIA SPRAWY I FEL

W ciągu miesiąca po narodzinach naszego koła w Bramcote powstały dwa inne, mianowicie w bazie bombowców w Hemswell i w Blackpool, później powstały dalsze. Należeli do nich przeważnie młodzi sierżanci z personelu latającego, wśród których nie brakło podchorążych i cenzusowców. Kółka nie były z sobą w bezpośredniej łączności, a prawie nie miały żadnej

łącności z różnymi kółkami oficerów. Te tworzyły się rozmaicie, często bez żadnych więzów formalnych, niektóre tylko z nich miały znaczenie warte zanotowania. Więc np. wokół świetnego dowódcy 300 dywizjonu bombowego, byłego dyrektora P.L.L. „Lot”, płk. pil. Wacława Makowskiego skupiło się około dwudziestu oficerów stawiając sobie za cel odmlodzenie „gór” lotniczych. Wokół ppłk. pil. Bohdana Kleczyńskiego, znanego już czytelnikom „Kultury”, dowódcy 304 dywizjonu bombowego, skupiło się również grono oficerów, lecz ci stawiali sobie cele ideowo szersze. Po zamachu „na niby” na gen. Sikorskiego, który miał być przestrożą, a stał się farszą, kółko to prawie całkiem zamarło. Wreszcie Ali zyskał przyjaźń i zaufanie kilkunastu kolegów, których grono zaliczałbym również do kół oficerów zawodowych, o znacznym wpływie na otoczenie. Pragnę podkreślić że nie mówię, aby ktoś z wymienionych należał do jakiegoś związku tajnego, chyba wyjąwszy dobrze widziany przez władze „Łańcuszek”. Słyszałem, że niczego takiego nie wykazały dochodzenia wszczęte przeciwko płk. Makowskiemu. To samo dotyczy płk. Kleczyńskiego, to samo Alego, no i rzecz prosta mnie. Mówiąc o kółkach mam oczywiście na myśli nie jakieś sprzysiężenia, ale po prostu grona koleżeńskie, które choć urszulańsko niewinne wzbudzały podejrzenia że mogą nie całkiem odpowiadać literze lub duchowi regulaminu wojskowego.

Dopiero gdzieś w połowie roku 1942 kpt. Niewiarowski nie bez trudu dał się przekonać, że w Londynie trzeba założyć przyjacielskie koło z udziałem przedstawicieli tych środowisk, w których „Łańcuszek” istniał. Istniał, ale wyłączając nasze kółka nie działał, lub prawie nie działał. Bo jakież mogło być jego działanie? W Rumunii powstał, gdy go narzuciły okoliczności. Później mógł tylko bezczynnością bronić się przed rolą politycznej siatki po prostu dwójkarskiej. Na „dobrych przyjaciół” bardzo liczone w górze, co do czego nie miałem wątpliwości od czasu, kiedy wraz z Niewiarowskim zostałem zaproszony na obiad przez min. Obrony Narodowej gen. I. Modelskiego. Bezczynność była wygodna, ale nie mogła trwać w nieskończoność. Przedłużanie jej groziło rozpadem organizacji. Miało mu zapobiec założenie koła w Londynie. Czy Niewiarowski domyślał się istnienia naszych kółek? Przypuszczałem że tak, ale nie chciał o nich wiedzieć ze względu na swoje stanowisko. Ku mojemu zdumieniu miało się okazać że nie domyślał się niczego, choć jak rzekłem, mnożyły się one niezgorzej. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Gdzieś chyba w lecie 42-go roku odbyło się pierwsze zebranie londyńskiego koła. Na zebranie „Tamizy”, bo tak je ktoś nazwał i ta nazwa przyschła, przyszło dwóch oficerów marynarki wojennej, z bojowych lotników Ali i ja, z cywilnych pewien wyższy urzędnik rządu, wreszcie z Niewiarowskim przybyło dwóch szeregowych lotnictwa, Feliks Lechnicki, który właśnie niedawno przyjechał jako kurier z Polski

i drugi, którego nazwiska nie podam, bo odegrał później rolę niepiękną, a że nazwisko nosił hrabskie, niech mu będzie „Hrabia”.

Zebranie, jak zebranie, mówiło się o Polsce, o Rosji, no i o sprawach organizacyjnych. Mały był ten pokój w Chelsea, mglisty dymem, gwarny. Ucichło, gdy Lechnicki zaczął o Kraju. Właśnie to, że obok wstążeczki orderowej, że na rękawach wstęgi złote, wstęgi czarno-niebieskie, a on ni wstążeczki, mundur szeregowego z włochatej wełny, coś na nim jakby habit zakonu Sprawy, coś jakby asceza ale i duma, choć już nie galonowa, nie orderowa, bo więcej niż ludzka, bo wysublimowana w dumę Polski. Patrzę na Alego, skupiony, zasłuchany, ci obaj z floty również, Lechnicki mówił bez patosu, bez gestu, o miejscach różnych, czasem bardzo znajomych, o różnych ludziach bezimiennych, których może się dobrze znało, którzy o nas myślą, że my na pokładach fregat, na samolotach też z nimi na śmierć i życie. Mój Boże, w dwa lata później zestrzelono Fela nad Francją, a przecież to prawda — jeszcze go widzę w tym zadymionym pokoiku. Tak, właśnie tam, wtedy zacząłem pojmować, czym jest szczyt żołnierskości, choć wielu go nie ujrzało nawet wtedy, gdy był w blasku płonącej Warszawy.

Tak, zdaje się, że to wtedy zacząłem pojmować, czym ów szczyt jest, choć z pokorą przyznaję, że nigdy nie byłem mu bliski. Bo tam w Polsce, ostatnia bitwa, wygląda to pięknie. Za Ojczyznę? Pewnie że za Ojczyznę, ale... czy przede wszystkim? Bo po jakiego diabła staliśmy pod ogniem, adiutant komandora Kamińskiego też stał, choć już zdrowo oberwał, strzelcom, a raczej marynarzom, bo to był batalion morski, kazało się leżeć. Ja byłem strasznie ciekawy siebie, ot np. choćby takiego głupstwa, czy zapalka mi nie zadrży, gdy będę zapalał papierosa wśród tego łomotania, świstów i szumu. Nie, moi panowie, podejrzewam że wy byliście tak cholernie ambitni, jak ja byłem ciekawy, jakim będę, bom zawsze był niepewny siebie. Ojczyzna? Tak, ale z ręką na sercu, czy ona przede wszystkim?

No, albo nad celem. O czym to się myśli, może o Ojczyźnie?

Kiedyś nad Kolonią bili niezgorzej, a tu ciekawość — czemu teraz się nie boisz, a bałeś się przed startem? Jakiż to mechanik wyłącza twój strach, a włącza odwagę, kiedy jedno już nie może cię ocalić, a potrzebne drugie?

Albo znów innym razem nad Ruhrą — cóż to jest? Ogień, jedna pożoga tam w dole, a od tego szczęście takie jakieś, że budzi lęk i pociąga, chyba demoniczne bo jakie? Tego nie wolno. Czemu nie wolno? Czy ona naprawdę zniewala, gdy się jej skosztuje, ta posoka zniszczenia?

Co tu mówić, moja żołnierskość była głównie przygodą, jak wielu innych była głównie ambicją. A szczyt żołnierskości to już nie „ja”, to już wyjście z siebie i zjednoczenie z jakimś

„królem duchem”, Sprawą przez wielkie „S”, figurą świętej Zbiorowości. Co tu mówić o wojownikach z kopca termitów, że oni może też. No więc choćby oni też, co ludzkiego przewyższa żołnierską ekstazę? No, tak — ekstaza mistyczna. Ona namaszcza świętych, ale tamta bohaterów. Jedna i druga jest zarazem śmiercią na chwilę i urodzeniem na chwilę, w zjednoczeniu, może utożsamieniu?

W Felu Lechnickim było coś z tego namaszczenia bohaterstwem, to się wyczuwało, choć był zaprzeczeniem jakiegokolwiek namaszczenia w sposobie bycia. W „Wiadomościach Polskich” używał pseudonimu Jan Żart. Dobry pseudonim, bo Fel miał poczucie humoru, godne Fredry. No i tak jak Fredro pochodził z półtora szlachty, tacy trudno się już mieścili w hreczkosiejstwie i polowankach, więc Muzy, więc Sprawa, czasem zdobywali laury, częściej w ostatnich spodniach wędrowali na Sybir.

Zarówno ojciec Fela jak stryjowie byli piśsudczykami. Kosztowała ich polityka niemało pszennych włók, po pańsku — miast brać, jak podchodziło, jeszcze dokładali. Oczywiście nie pojechali szosą Zaleszczycką. Jeden ze stryjów, Tadeusz, poprowadził natarcie — jedno z tych beznadziejnych, za honor, więc poległ, drugi po wielu latach turmy ojczytostoludowej, umarł już na wolności. Gomułka choć nie Kościuszko, ale i nie Bierut.

Każdy z nas, przybyłych z Polski okupowanej do tej Polski wygnańczej, która zaczynała się już na Węgrzech i Rumunii, przeżywał rozczarowanie. Bo tam pod okupacją Sprawa to były i egzekucje i pociągi, z których wołania o wodę i chleb, i ktoś przychodzący z hasłem, i książki, Sprawa była wszędzie jak powietrze, a zagranicą, jak nie psioczyła, to urzędowała, dopiero w jednostkach walczących była czasem jak Tam.

Felek Lechnicki jechał z Polski przez Bliski Wschód, pierwszych rozczarowań, doznał już zanim znalazł się w Londynie. Mimo tego polski Londyn był dla niego wstrząsem. Atmosfera intryzek, porachunczków i wszechobecnej małostkowości otaczała ten legendarny polski rząd, o którym Tam mówiło się jak o świętości. „Co mówią o mnie w Polsce?”, zapytał go na wstępie Sikorski. Fel miał dojść do wniosku, że pytanie to charakteryzowało nie tylko zrozumią słabostkę człowieka, ale i słabość jego polityki. To co piszą o Sikorskim w gazetach, jak go chwalili jacyś Anglicy czy Amerykanie, było tak ważne że właściwie cała ta polityka sprowadzała się do posunięć jedynających poklask, albo choćby nadzieję wygładzenia zmarszczki na czymś tam dostojnym czole.

Po upadku Francji Sikorski złożył w Foreign Office memoriał, który w praktyce sprowadzał się do zachęty ze strony polskiej do podjęcia przez Anglię polityki zjednywania Rosji. Było jasne, że taka polityka leży na sercu Anglikom, ale jedną z trudności na jej drodze jest zagarnięcie przez Rosję połowy

Polski. Po cóż ten krok Sikorskiego, jak nie dla przypodobania się gospodarzom? Memoriał został wprawdzie wycofany wobec nacisku prezydenta Raczkiewicza, ale odtąd Sikorski był już w gazetach tym wielkim Europejczykiem skłonny do poświęceń dla wielkiej sprawy ludzkości.

Wkrótce potem podjął ideę przeciwną idei zjednywania Rosji, mianowicie sfederowania Europy środkowej. Urzeczywistnienie tego pomysłu było z pewnością trudne, ale natrafiało na podatny grunt psychologiczny: pierwsza wojna światowa zaczęła się o Serbię, druga o Polskę, wniosek — rozczłonkowanie polityczne Europy środkowej prowadzi do krótkich spięć zagrożających pokojowi świata. Ktoś powie, że wojowano nie o Serbię i nie o Polskę, ale czy można zaprzeczyć, że widmo jakiejś wojny światowej nr 3, o jakąś Serbię nr 3 nie miało wpływu na politykę Roosevelta?

Kilkunastu młodych naukowców z wojska opracowało zarys problematyki federacyjnej, Generał latał z tym do Ameryki, zrobił umowę z Czechami, zdawałoby się, wie, czego chce. W Ameryce, że to tam mocne tradycje federacyjne, chwalono.

Później Rosja w wojnie, zaczęła się moda na Rosję. Sikorski woła o pomoc dla Rosji, o drugi front.

Czy mogli zachodni mężowie stanu traktować poważnie polskiego premiera, który chce i Rosji wygodzić i federować Europę środkową, choć do tego trzeba, żeby Rosja była jak najstabsza?

A może przyjmując rolę propagatora mody na Rosję i pomocy dla Rosji zwiększał w ten sposób swoje możliwości ratowania ofiar gościnności Stalina?

Wręcz przeciwnie — malaty one tak z osiągnięciami czerwonej armii jak ze wzrostem mody na Rosję wśród Anglosasów. Cóż więc zyskiwał, prócz dobrych recenzji?

Tymczasem idea federacji Europy środkowej zdobywała sobie licznych zwolenników wśród młodej inteligencji w szeregach wojskowych. Ciekawe, że dość łatwo godzono ją z ideami narodowymi, które tak wielkie wywarły wpływy na umysły młodzieży dorastającej w Polsce międzywojennej. Być może byłoby z tym trudniej, gdyby nie pewność polskiego pierwszeństwa wśród narodów „Trójmorza”. Rzecz prosta, nikt przytomny nie marzył o bezpośrednim sfederowaniu mozaiki środkowo-europejskiej i chyba takie myśli były obce i Sikorskiemu. Mówiło się raczej o związku państw, względnie o związku federacji np. Polsko-czechosłowackiej, Naddunajskiej i Słowian bałkańskich. Rozumiano, że powstawanie formacji politycznej tego obszaru trzeba wiązać z jego modernizacją gospodarczą na zasadzie wspólnego planu. Były to tematy poruszane niekiedy w naszych kółkach, budziły duże zainteresowanie. Pamiętam odczyt na ten temat w jednym z kółek, w którym autor podkreślał, że scalenie polityczne środkowej Europy zależy przede wszystkim od Ameryki, bo ta będzie mogła udzielać kredytów

inwestycyjnych, na co przez szereg lat po wojnie nie będzie stać nikogo innego. Więc tam w Ameryce należy zdobywać dla tej idei zwolenników. Ktoś na to powiedział, że Sikorski poruszał te zagadnienia w rozmowach z samym Rooseveltem.

„To jeszcze niewiele, poparcie mógłby znaleźć u tych, którzy nie kochają Rosji”, — powiedział ktoś drugi. Powiedział ot tak sobie, bo ciągle się mówiło, że Sikorski tylko tam, gdzie go Rettinger podprowadzi. Nikomu z nas ani zaświtało w głowie, że Roosevelt po prostu podaruje nas Sowietom. Był to bodaj wrzesień 1942. Może już w tym czasie ten schorowany człowiek dochodził do wniosku że skoro polski premier od 2-ch lat składa dowody zaufania do Rosji, mimo że ta zabrała połowę jego kraju, nie będzie z niczyją krzywdą, jeśli Europą środkową zaopiekuje się Rosja, a to przecież będzie najprostsze usunięcie niebezpieczeństw powstających z rozczłonkowania politycznego tego obszaru.

Od zebrania „Tamizy” Ali, Fel i ja byliśmy czymś w rodzaju trzech muszkieterów w służbie jednako pojmowanej Sprawy. Ali chciał lecieć do Polski, skończył kurs skoczaków, próbowałem mu to wybić z głowy, bo w lotnictwie miał niemały wpływ na swoich kolegów, oficerów zawodowych. Fel chciał polatać z bombami, też go próbowałem odwozić od tej myśli, szkoda go było. Straty były ogromne, ale ani gadać, uparł się. Ja chciałem jeszcze latać do końca roku. W sierpniu zostałem przeniesiony z dywizjonu 301 do 304. Tam latało się przeważnie na łodziach podwodnych, na bombardowanie rzadko. Pierwszy lot na Biskaje był wspaniały. Nie było nic do zatopienia, ale lot w słońcu, ocean, niebo nareszcie turkusowe. Gdzieś we wrześniu wróciło się już nocą, kraksa. Wyszedłem z tego, niby nic, lekkie kontuzje. Dopiero później miałem się przekonać, że i lekkich kontuzji nie wolno sobie lekceważyć. Po tej kraksie zrobiłem jeszcze coś dwa loty. Później pojechałem na kurs podchorążych do Szkocji. Był tam i Fel. Po skończeniu kursu dziesięciu kolegów, przeważnie młodych pilotów, pojechało z nami na kurs konspiracyjny. Prowadziliśmy go Fel i ja. Omawiało się zagadnienia społeczne, polityczne, wychowawcze. Było to w szkockim zamku, gdzie mieścił się dom wypoczynkowy lotników, zamek nad skalną ścianą, więc nowopostate koło nazwaliśmy „Skałą”. Któż pozostał przy życiu z tego koła? Wiem o trzech, jeden jest profesorem uniwersytetu, dwaj inni zdobyli sobie również poczesne miejsce na obczyźnie. Nie braliśmy byle kogo do tych naszych kółeczek.

Mieliśmy już rozjechać się, kiedy przyjechał Hrabia. Był on, co wiedziałem, agentem kontrwywiadu, coś zaczął węszyć, podpytuje to mnie, to Fela. Fel, licho wie, co mu do głowy strzeliło, powiada: „Szkolimy piątki!”

„Piątki”?

„Trzeba będzie Kota pif — paf, — tu zmierzyl z palca. Tylko o tym nikomu, bo wykończymy” — ostrzegł.

Jak tylko pojechałem do Londynu, Niewiarowski zaprosił mnie na rozmowę.

Nie chodziło mu o żywot pana profesorski, ani na chwilę nie uwierzył, że knujemy zamachy. Czemu jednak się przed nim konspirujemy? Więc nic nie wiedział o naszych kółkach. Byłem tym zaskoczony. Rozmawialiśmy długo. W czasie tej rozmowy nabierałem pewności że nasze drogi muszą się rozjeść. Ja coraz mniej rozumiałem, czego on chce. On nie rozumiał że ja widząc zło nie chciałem być wobec niego biernym. W Sikorskiego ciągle jeszcze wierzył, myślę, że bronił się przed utratą tej wiary, że zaszedł już za daleko, by móc ją porzucić. Przykro mi było, Niewiarowskiego szczerze lubiłem. On się zawiodł na mnie, nie je na nim. Wtedy gdy wstępowałem do jego „Łańcuszka” jednak wierzyliśmy obaj. Ufność obowiązuje powinienem być więc raczej powiedzieć mu o moich wątpliwościach, niż zakładać po prostu konspirację w konspiracji, łatwo uspokajając skrupuły wobec niego przypuszczeniem że on się domyśla, ale nie chce wiedzieć. Jeśli jednak on już nie mógł oderwać się od Sikorskiego, ja już nie mogłem zerwać z ludźmi, których sam wprowadziłem w krąg pracy konspiracyjnej. Zostało niby wszystko po dawnemu, powiedzieliśmy sobie sporo, ale z pewnością przestaliśmy sobie nawzajem ufać. W dniu 1 stycznia 1943 zostałem mianowany podporucznikiem, a wkrótce później wezwano mnie do Inspektoratu Lotnictwa, gdzie rozpocząłem pracę w „Skrzydłach”.

Niewiarowski został odwołany ze stanowiska szefa kontrwywiadu w lotnictwie.

Choć nigdy mi o tym nie powiedział, myślę że postarał się o to widząc, że musiałyby w końcu wystąpić przeciw ludziom, których był zawsze „dobrym przyjacielem”.

PRZECIW SIKORSKIEMU

W pierwszych dniach lutego roku 43-go podziemne piśmiśko „Walka” opublikowało dwie noty rządu ZSSR do rządu polskiego. Ich treść była zaprzeczeniem zapewnien Sikorskiego, gdyż powiadała, że Rosja uważa zagarnięte we wrześniu roku 39-go ziemie polskie za część swojego państwa. Rząd Sikorskiego zataił treść tych not przed społeczeństwem, więc należały one do aktów pilnie strzeżonych. Ponoć ich ujawnienie należy zawdzięczać Stanisławowi Grocholskiemu, acz ten był wtedy podporucznikiem i w służbie czynnej nic nie miał wspólnego z M.S.Z., nie mógł mieć bezpośredniego dostępu do tego rodzaju tajemnic. Rzecz znamienna, że kto i jak nie zostało wykryte.

Opublikowanie tych not było dla mnie wstrząsem. Gdy je przeczytałem, owładnęło mną tak powszechnie znane z dni wrześniowych poczucie katastrofy. Tylko że wtedy wszystko

zdawało się proste, a teraz nie. Teraz musiałem płacić procent od swoich trzech groszy postawionych na Sikorskiego. Było dla mnie jasne, że skoro Sikorski zerwał z zasadą wojska jako „niemowy”, stawia to nas, żołnierzy, wobec konieczności przyznania dziś racji tym, których głos rozsądku został przez Sikorskiego zlekceważony. Ale przed jakim obowiązkiem stoję ja, skoro wstępując do „Łańcuszka” wiedziałem, że jest to konspiracja, która ma rząd Sikorskiego popierać w wojsku?

Na to pytanie odpowiedział mi jeden z „dobrych przyjaciół” — strzelę w łeb Sikorskiemu, a później sobie. Nie był z tych, którzy wiele rozważają, a diabła się boją. Tłumaczyłem mu, jak mogłem, wreszcie dał mi słowo, że nie popełni żadnego szaleństwa. Nie dawałem przystępu podobnym myślom.

W każdym razie musimy pokazać — starałem się rozumować chłodno — że Sikorski nie może liczyć na poparcie ze strony wojska przeciw konstytucyjnej władzy. To było konieczne. Od chwili kiedy w r. 1940 kilkunastu oficerów zagroziło oporem wojska przeciw powołaniu nowego premiera i prezydent R.P. się ugiął, Sikorski mógł sobie z nikogo nic nie robić. Mógł nie liczyć się z wolą prezydenta, mógł również nie mieć demokratycznych skrupułów w radzeniu sobie z partiami politycznymi. Gdy po zawarciu paktu z Rosją Stronnictwo Narodowe cofnęło mu swoje poparcie, bez większych ceremonii znęcił sobie kilku jego członków, tworząc z nich marionetkowy odłam Stronnictwa z ministrami w swoim rządzie. Któż może więc mówić o zasadach demokratycznych jako oparciu jego rządu! Jeśli w tym rządzie zasiadają nawet tacy ludzie jak legendarny Kwapiński, nawet ktoś tak czcigodny jak Haller, powiada to tylko tyle, że ci ludzie zgadzają się dać autoritet swojej przeszłości rządowi, który pozornie zerpał swą władzę ze źródła konstytucyjnego i pozornie z zasad demokratycznych, ale w gruncie rzeczy opiera się na kulcie wodza. Nie chcę nikogo dotknąć, więc gotówem przyznać że kult dla Sikorskiego zasługiwał na tym większy podziw, im większe wytrzymał próby. Rzecz w tym że nie mógł rządowi dać tej siły moralnej, jaką daje wierność głoszonym zasadom.

A tymczasem na rzecz kultu Sikorskiego przestało już działać prawo „nowego sitka”, zwłaszcza że Sikorski raził nadęciem i nietaktami. Taki chociażby pałac Rotszylda, w którym sobie zamieszkał, był przecież grubym nietaktem w zestawieniu z tragedią Kraju.

Te wszystkie okoliczności wydają mi się dość ważne dla zrozumienia ówczesnej atmosfery i zobrazowania myśli wielu kolegów i oich. Chyba następnego dnia po ogłoszeniu not spotkało się nas kilku w mieszkaniu Alego, bo ten mieszkał teraz w Londynie, pracował w tajnej komórce Inspektoratu Lotnictwa, która przygotowywała plany pomocy lotniczej dla

Kraju na czas „Burzy”, a dopiero po ukończeniu tej pracy miał lecieć do Polski.

W „Biurze Studiów”, bo tak zwała się komórka, w której Ali pracował, panowało niemałe rozgoryczenie na Sikorskiego. Sprawa ta została omówiona w książce Tadeusza Katelbacha „Rok złych wróżb”, tedy poprzestaną na powiedzeniu, że gen. Sikorski kazał wysłać do Kraju plan całkiem nierealny, bo nie mający pokrycia w lotniczym sprzęcie. Plan ten pozwalał liczyć na bardzo wielką pomoc, gdy ta mogła być tylko niewielka. Ten nowy dowód lekkomyślności Naczelnego Wodza doprowadził Alego niemal do rozpacz. Sikorski stał się dlań kimś zupełnie nieodpowiedzialnym, ergo bez usunięcia go od władzy sprawa nie uniknie katastrofy. Lechnicki podzielał pogląd Alego. Nie wszyscy zgadzali się z nimi, były też zdania że Sikorski po gruntownej czystce w swoim otoczeniu mógłby łatwiej coś zrobić dla naprawienia popełnionych błędów niż ktoś nowy mniej znany w świecie. Ostatecznie stanęło na tym, że jeśli prezydent R.P. będzie chciał powołać nowy rząd, postaramy się zapobiec powtórzeniu się wypadków z r. 1940.

Wkrótce nastąpiło nowe uderzenie — „Walka” zamieściła list otwarty Adama Doboszyńskiego z wezwaniem skierowanym do prezydenta R.P., żeby powierzył utworzenie rządu gen. Sosnkowskiemu, zaś do Sosnkowskiego, żeby zadanie to podjął.

Tu, że to mamy już rok 1959, należy poświęcić kilka słów „Walce” i Adamowi Doboszyńskiemu.

„Walka” była tajnym pisemkiem wydawanym na powielaczku przez zakonspirowaną w wojsku lądowym grupę skrajnych narodowców. Spośród niej postacią trochę mi znaną jest pewien bardzo typowy ważniak boguojęczyński, jak to się mówi, świętszy od samego papieża. Widać, w czasie wojny był już całkiem pewny nagrody wiecznej, bo nie dawał do siebie przystępu małoduszny pokusom pchania się tam, gdzie ta mogła rychło nadejść. „Walka”, ta w cudzysłowie, nie otwierała tak pięknych widoków, choć po prawdzie mógł sobie za nią posiedzieć, a cierpiały w takim razie o tyle za dobrą sprawę, że oni w tym swoim pisemku wskazywali na wpływy agentur obcych w otoczeniu rządu. Nie siedział. „Walki” szukali i szukali, ale nie nakryli. Nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, czy działała w danym wypadku pomoc cudowna, czy — jak ten i ów szeptał — dobra obstawa w dwójce.

Któż inspirował „Walkę”? Myślę, że przede wszystkim Adam Doboszyński. Doboszyński, postać bardzo kontrowersyjna, w każdym razie bardzo nieprzeciętna. W Polsce zrobił najazd na miasteczko Myślenice, kazał wybatożyć starostę i zniszczyć żydowskie stragany. Gdzieś tam w lasach-górach ranili go, został schwytany. Później głośny proces, więzienie, każdy o nim mówił. W czasie kampanii francuskiej Doboszyński zdobył trzykrotny Krzyż Walecznych, przyjechał do

Szkocji, pisał broszury. Jedna z nich „Wielki naród, część druga” zdobyła sobie szerokie uznanie.

Doboszyński będąc oficerem w służbie czynnej nie mógł legalnie być czynnym działaczem politycznym. Mimo tego utrudnienia pozyskał sobie niemało oddanych zwolenników wśród narodowców w wojsku i grupę kpt. Mariana Utnika skupiającą wokół swego przywódcy młodych oficerów przeważnie ze sztabu N.W. Co dziwniejsze Doboszyński narodowiec z krwi i kości zdobył sobie przychylność wielu piśsudczyków. Jak to mogło się stać? Czyżby widzieli w nim zalety dyktatora? A może niektórzy z nich odnajdywali w Doboszyńskim to całkowite oddanie Sprawie, którego zaznali w młodości.

Z Doboszyńskim rozmawiałem kilka razy. Trudno mi było oprzeć się wrażeniu, że on mimo pozorów człowieka z monolitu boryka się z nielada trudnościami wewnętrznymi. Czytał dużo i dużo myślał — nauki społeczne, filozofia, religia. Adamowie, którzy w ogóle myślą — a rozmyślają na takie tematy, prędzej czy później trafiają, rzec by można, na pierwszego z Adamów, który ciągle jest zdumiony cudem swojego człowieczeństwa. Dla kogoś urobionego przez teorie nacjonalizmu oznacza to w ostatecznej konsekwencji powiedzenie sobie — o tyle naród, o ile ucziłowicza. Ładnie to brzmi, ale w jakiej mierze naród śmiertelnie zagrożony może sobie pozwolić na duchową wybredność? Myślę, że z tym właśnie pytaniem borykał się ten człowiek pozornie kierowany tylko ambicją i niezachwianą wiarą w słuszność swoich przekonań. Czy dał na to pytanie odpowiedź? Za siebie — chyba tak — wybrał duchową wybredność, zapłacił za to życiem.

Jak sobie pomyślę, że znów taki Jan Mosdorf twórca O.N.R. dał życie ratując Żydów, przestaje wierzyć, że kiedykolwiek dochowamy się jakiejś wielkości na miarę wzorców niemieckich lub rosyjskich. No ale za to, jakaś przyszła „Kultura” jeszcze za tysiąc lat będzie biadoliła w niebogłosość, że nasi za króla Rydza w wielkim tłoku następowali bliźnim na odciski. Wiele różnych „takich” nakazuje mi pisać słowo „Sprawa” przez wielki „S”, ilekroć się ono odnosi do Sprawy polskiej.

Gdy Doboszyński ogłosił w „Walce” swój list otwarty do prezydenta R.P., Sikorski kazał go aresztować, ale każdy wiedział, że nie na tym koniec. Prezydent wobec ujawnienia kłeski pro-rosyjskiej polityki rządu musiał przecieżyć coś zrobić. Ze musiał, zdawało się wynikać z jego odpowiedzialności historycznej, o której tak ładnie mówiła konstytucja. Po gorzkim doświadczeniu z r. 40 mógł być niepewny postawy wojska. Naszą rzeczą było przyczynić się do rozwiania tych obaw.

Ali i ja weszliśmy do komitetu, który można by nazwać „komitetem porozumiewawczym podziemia wojskowego”. Żeby mnie kto zabił, już nie pomnę nazwisk. Był w nim kpt. Utnik i był Grocholski, to się zgadza z tym, co pisze Katelbach w „Roku złych wróżb”, był przedstawiciel O.N.R., byli jeszcze

jacys. Natomiast dobrze pamiętam, że wrędcę doszliśmy do ustalenia dwóch zadań. Pierwszym z nich było poinformowanie mas wojskowych o zagrożeniu ze strony Rosji i uzupełnianie wiadomości cenzurowanej lub służalczej prasy. Drugim miało być zapewnienie posłuszeństwa Prezydentowi, gdyby udzielił dymisji rządowi Sikorskiego.

O szczegółach zadania drugiego nie będę mówił, bo nie zaszła potrzeba jego wykonania. Poprzestanę więc na uwadze, że w odróżnieniu od zadania pierwszego nie dotyczyło ono szeregów.

Zarówno Ali jak i ja mieszkaliśmy wtedy w pensjonacie p. Marii Sokołowskiej przy 7 i 8 Wilton Crescent. Centralne położenie tego pensjonatu i okoliczność, że wśród jego lokatorów i stołowników nie brakło osób wysoko postawionych w aparacie rządowym, sprawiały, że było to dobre miejsce dla naszej „kwatery głównej”. U Alego odbywały się pilne spotkania w małym gronie, zaś w moim pokoju była „redakcja”. Jej członkami byliśmy we dwu z Felem Lechnickim, przy czym Felowi przypadła jeszcze praca powielania broszurek i ulotek, zaś mnie łączność z kołami. Materiały redakcyjne trafiały do nas różnymi drogami. Były to przeważnie notatki bez podpisu, czasem szersze opracowania. Warto wspomnieć, jak wraz z nimi trafił do nas odbity na powielaczu artykuł niewiadomego autora, a że napisany był świetnie, natychmiast został powielony i wysłany do punktów rozdzielczych. Dopiero po kilku miesiącach spotkałem broszurkę Cata-Mackiewicza, która zawierała ten właśnie artykuł. Choć nieraz mówiłem później z Mackiewiczem, zawsze zapominałem się go zapytać, czy wiedział, że na liście swoich wydawców powinien umieścić nasz niezbyt legalny dom wydawniczy.

Już wkrótce po ukazaniu się wśród lotników owoców naszej pracy wydawniczej, przy wejściach na lotniska zdwojono czujność, ale chwalić Boga zapomniano poddawać rewizji lądujące samoloty. Tymczasem nasze materiały były dostarczane samolotami, bądź to bezpośrednio do punktów rozdzielczych, z lotniska obrony Londynu w Norholt, bądź za pośrednictwem lotnisk w Bramcote i Hemswell. Zresztą tylko niewielki ułamek rozprawionych materiałów został zużyty, reszta oczekiwała w dwudziestu kilku punktach rozdzielczych na decyzję rozpoczęcia właściwej akcji i wreszcie zgodnie z instrukcją została zniszczona.

Wspominając tę naszą „prasę podziemną” widzę, jak miła to była zabawa w zestawieniu z niebezpieczeństwem, na które się narażali współpracownicy prasy podziemnej, tej z prawdziwego zdarzenia w kraju. Nam groziło w najgorszym razie więzienie i degradacja, bo dopiero Rokossowski zaczął rozstrzeliwać w wojsku za mówienie prawdy. Mimo że nikt z nas nie ryzykował życia, przecież należało podjąć dość dużo ostrożności. Jak się okazało, nawet niewielkie zaniedbania pod tym wzglę-

dem jak i omyłki były niedopuszczalne. Więc np. przyjęliśmy słuszną zasadę nie używania do naszych prac maszyn do pisania, których czcionka może zostać zbadana w trakcie nieuchronnych dochodzeń. Zgodnie z tą zasadą po skończeniu pierwszego numeru wydanego przez nas pisemka „Alarm”, maszyna na której były dlań odbite klisze powielaczowe, powędrowała na statek odpływający na Maltę. Trzeba trafiać że przed samym rozpoczęciem powielania nadeszły wiadomości, które należało koniecznie zamieścić w numerze. Był wieczór, nie mogłem osiągnąć osoby, która rozporządzała następną w kolejności maszyną konspiracyjną. Nazajutrz mieli zgłosić się łącznicy po gotowy materiał, byłem więc w kłopotcie i popełniłem błąd jak najbardziej karygodny. Po prostu poprosiłem jednego z przyjaciół, żeby klisze napisał na maszynie biura dwójki lotniczej. Było z tego później niemało kłopotów, o mały włos a doszliby kto i kiedy, a co najgorsze zaczęły się gadania krzywdzące ludzi całkiem niewinnych.

Drugi znów wypadek może służyć jako przykład niedopuszczalności omyłek. Chcąc uniknąć wysyłania z różnych urzędów telegraficznych w Londynie jednobrzmiących depech, przyjęliśmy dla naszej korespondencji telegraficznej z kołami różne teksty oznaczające tę samą treść. Rzecz prosta, wymagało to opracowania znacznej ilości tekstów i ponumerowania. Wystarczyło jednak, że osoba wysyłająca depeche pomyliła numery, żeby w Hemswell śp. Janusz Belina-Prażmowski (sg. z cenzurem, radiotelegrafista, syn d-cy kawalerii legionowej; zginął na minowaniu) odebrał polecenie rozkolportowania części materiału propagandowego, choć depecha miała go tylko uprzedzić o przybyciu łącznika.

Powielanie materiałów nie przedstawiało dla nas większej trudności, a to dzięki ofiarnej współpracy z nami dwóch Kryś. Obie były bardzo ładne i obie nie mogły budzić najmniejszych podejrzeń o współpracę z kimś nieprzychylnym Sikorskiemu. Znaczna część naszych materiałów została powielona w Ministerstwie Informacji, część gdzie indziej. Później w trakcie dochodzeń, zapewne na podstawie podsłuchu jakiegoś łapsa zaczęto dopytywać się o tajemniczą Krysię, o której wiedziano tyle że jest ładna. Całe szczęście że w kręgu naszych znajomych była jeszcze trzecia Krysia również bardzo ładna, a Bogu ducha winna. Było więc kim wypełnić w dramacie dochodzeń rolę pięknej Krysi i wykazać, jak bezpodstawne bywają dotyczące nas podejrzania.

Wymieniając Krysię muszę schylić głowę również przed kilku innymi paniami, których pomoc oddawała nam znaczne usługi.

Tadeusz Katelbach w swoim „Roku złych wrób” wspomina jakoby konspiracja lotników opanowała kontrwywiad w lotnictwie. Myślę, że to co powiedziałem o „Łańcuszku” i jego założycielu, daje pewien obraz, jak z tym było. Później w związku

ze sprawą naszych wydawnictw tajnych aresztowano kpt. pilota Romana Czerniawskiego, odznaczonego za pracę wywiadowczą na terenie okupowanej Francji zarówno krzyżem Virtuti Militari jak i wysokim odznaczeniem brytyjskim. Aresztowano również podpor. Bronisława Tomczyka, który pracował w samodzielnym referacie bezpieczeństwa. Aresztowanie tych dwóch kolegów stało się przyczyną pogłosek, że „junta lotników” opanowała wywiady. Otóż tak dobrze nie było. Co najwyżej mogliśmy ukreślić głowę kłopotliwym meldunkom, no i oczywiście mieć trochę zakulisowych informacji. To było właściwie wszystko, nie było natomiast mowy, żebyśmy mogli używać sieci kontrwywiadu do swoich zadań wykonawczych. Słowem było nie całkiem źle, ale mogło być lepiej.

Niemniej nasz ośrodek należał do obfitujących w informacje o charakterze mniej lub więcej tajnym. Dzięki nim mieliśmy na ogół niezły obraz tego, co się dzieje w otoczeniu Sikorskiego i one utwierdzały nas w poglądzie, że generał nie zdoła otrząsnąć się z wpływów pro-rosyjskich, którym ulegał. Według naszych ocen głównym źródłem tych wpływów były koła masonskie spod znaku „Wielkiego Wschodu”. Co gorsza, rząd generała Sikorskiego składał się przeważnie z ludzi, dla których Rosja była niemal czymś równie obcym jak dla polityków zachodnich. Dla Sikorskiego niemałe miało znaczenie to, co myślał prof. Kot. O profesorze Kocie mówiono, że jest jedną z głównych postaci wśród polskich masonów stempla francuskiego. Nie wchodzi w dociekania, czy tak było czy nie, ale to wydaje mi się pewne że prof. Kot ulegał złudzeniu na temat Rosji i był gorącym rzecznikiem tej polityki gen. Sikorskiego, która uczyniła Polskę bezbronną w obliczu rosyjskiej zaborczości. Jak wiemy, prof. Kot pozostał o tyle wierny swoim przekonaniom, że po wojnie był jakiś czas ambasadorem rządu warszawskiego. Zresztą podobnie cały ten ich masonski ośrodek próbował szczęścia, ale to już inne sprawy.

W początkach roku 43-go prof. Kot był na Bliskim Wschodzie, miał wrócić do Londynu. Wiadomo było że nawet nieobecny wywierał znaczny wpływ na swego przyjaciela stojącego u steru. Otóż wpływ prof. Kota na gen. Sikorskiego uważaliśmy za najbardziej szkodliwy dla Sprawy i stąd jego przybycie zdawało się przekreślać możliwość zmiany postawy generała wobec Rosji. Jednak już wkrótce zaszedł fakt budzący nadzieje że taka zmiana nastąpi:

W dniu 22 lutego armia czerwona obchodziła dwudziesto-pięciolecie swego istnienia. Z ambasady rosyjskiej nadeszła dla polskich oficerów przeszło setka zaproszeń na obchodowe przyjęcie. W Szkocji miała się odbyć defilada oddziałów polskich. Wiedzieliśmy, że defilada nie odbędzie się, choćby miało dojść do aresztowań. My chcieliśmy przynajmniej nie dopuścić, żeby do ambasady sowieckiej poszli jacyś lotnicy. Już nie

pamiętam, czyj to był pomysł, żeby zapowiedzieć w Inspektoracie że kto pójdzie do ambasady, dostanie po pysku.

Gen. Sikorski dał rozkaz, żeby z ramienia lotnictwa udał się na przyjęcie gen. Ujejski w towarzystwie dwóch pułkowników. Jeden z nich podpułkownik pil. Władysław Bohuszewicz odmówił wykonania rozkazu. Gen. Ujejskiemu towarzyszył więc tylko jeden pułkownik. Gen. Sikorski niemal w ostatniej chwili zdecydował się nie być na przyjęciu. Zrobił z tego dość wyraźną manifestację, bo przeszedł się piechotką przed gmachem ambasady i dyplomatycznie zachorował. Jak mi mówiono, o tej dyplomatycznej chorobie nie zdążono powiadomić gen. Kukiela i między nim a ambasadorem Majskim ponoć była kontrowersja na temat zdrowia gen. Sikorskiego. Majskij miał wyrażać ubolewanie z powodu choroby pana generalskiej, a gen. Kukiel zapewniać, że Sikorski jak najzdrowszy. Jeśli rzeczywiście tak było, to należą się gen. Kukielowi wyrazy uznania nie z powodu jego dyplomatycznej zręczności, ale właśnie niezręczności.

Znowu odbiegnię od wątku. Czytałem kiedyś w „Przekroju” wspomnienia Mieczysława Pruszyńskiego dotyczące jego rozmów z Sikorskim. Píše tam Pruszyński, jakoby generał żalił się na zapalczywych lotników mówiąc, że może go który spoliczkować.

Nie mam pojęcia, czy te obawy miały jakiś związek z obietnicami pobicia każdego, kto pójdzie na owe przyjęcie do sowieckiej ambasady w dniu 22 lutego 43, ale jak żyję nie słyszałem, żeby ktoś zamierzał spoliczkować Sikorskiego.

Na drugi dzień po przyjęciu w ambasadzie zebrało się nas kilku, żeby postanowić, jak będzie z gen. Ujejskim, bo skoro na tym przyjęciu był, więc co teraz. Zabrał głos major Poziomek i bardzo słusznie powiedział, że szanujący się oficer może wprawdzie zastrzelić swego generała, ale go nie bije. — Jeśli koledzy zdecydujecie — powiedział — pojedę do gen. Ujejskiego i zastrzelę go. Proszę, decydujcie. — Zapanowała cisza. Wreszcie ktoś powiedział że chyba zastrzelić to nie, ale trzeba przecież coś zrobić. Wtedy przyszła mi myśl żeby zażądać od Prezydenta R.P. jako najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych udzielenia odpowiedniej satysfakcji lotnictwu. Wychodząc z założenia że wobec ujawnienia rosyjskiej zaborczości pójście do ambasady sowieckiej jest służalczym gestem, można było żądaniu satysfakcji nadać formę zażalenia, którego złożenie z pominięciem drogi służbowej uzasadniał fakt że zażalenie pośrednio dotyczyło gen. Sikorskiego. Moja myśl została przyjęta, o spoliczkowaniu kogokolwiek nie było mowy. Pułkownika, który towarzyszył panu gen. Ujejskiemu w ambasadzie, spotkała wprawdzie odmowa podania ręki, ale to wszystko.

Wspomniałem tu nazwisko śp. mjr. obs. Stanisława Poziomka, więc kilka słów o nim. Odznaczony krzyżem Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyżem Walecznych i brytyjskim D.F.C.

należał do tych bardzo niewielu ludzi, o których mógłbym powiedzieć że nie wiedzieli co to jest uczucie strachu. Kiedyś, gdy pod dom, w którym mieszkał w Londynie, wpadła podczas nocnego nalotu niemiecka zgaduj-gadula, co to nie wiadomo, kiedy wybuchnie. Poziomek nie dał się namówić do opuszczenia łóżka. Spał sobie, gdy bombę rozkręcał jeden z tych bohaterkich rozbrajaczy, którzy przeszli do legendy jako najodważniejsi z odważnych. Jestem przekonany, że Poziomek nie brawurował. Został, bo chciał wypocząć, Bogiem a prawdą nie rozumiem, jak mógł wypoczywać, bo ja na jego miejscu pewnie bym się zmęczył przypominaniem sobie litanii do Wszystkich Świętych. Kiedyś ponieważ był przyjacielem do śp. płk. pil. Kleczyńskiego, zapytałem go jak było z tym „niby zamachem”. Nie zanadto chciał na ten temat mówić. Powiedział mi tylko, że ma u siebie opis Kleczyńskiego, jak to było naprawdę i jakieś inne jeszcze dokumenty, że to wszystko zostanie w swoim czasie opublikowane. Gdy Poziomek zginał, te papiery gdzieś zniknęły. W każdym razie z tym „niby zamachem” sprawa nie jest tak prosta, jakby to wynikało z tego, co czytałem w „Kulturze”, a to choćby dlatego, że ppłk. Kleczyński pozostał w służbie czynnej. Nie siedział, a przecież za taki figiel bez istnienia jakichś okoliczności ubocznych nie minęłaby go poważna kara. Na ten temat można snuć różne domysły. Oczywiście Poziomek nie wiedział o zamiarze swego przyjaciela. Gdyby wiedział, pewnie by mu odradził. Bo kto jak kto, ale Poziomek był oficerem o nieprzeciętnym poczuciu odpowiedzialności moralnej. Dopiero całkowite przekonanie, że dobro Sprawy wymaga uniemożliwienia Sikorskiemu przeciwstawiania wojska władzy konstytucyjnej skłoniło go do przyłączenia się do nas. Ryzykował dużo — jako oficer dyplomowany z wielkim doświadczeniem bojowym miał przed sobą świetną karierę, zaś idąc z nami mógł przede wszystkim oczekiwać degradacji.

Do dziś jest dla mnie zagadką, czemu gen. Sikorski zbojkotował przyjęcie w ambasadzie, choć miał tam być? Kazał na nim być kilku wojskowym dygnitarzom. Nie chce mi się wierzyć, żeby te obawy, o których opowiadał Pruszyński, mogły w danym wypadku wpłynąć na jego decyzję. Już raczej zdecydowały wiadomości, że zaczyna trzeszczeć w wojsku i w lotnictwie, zwłaszcza że nie tego było z zaufaniem do rządu i w armii gen. Andersa.

Tu wspomnę — na marginesie tego co pisał Czapski w czerwcowej „Kulturze” o rtm. J. Klimkowskim — że podczas pobytu z gen. Andersem w Londynie, Klimkowski nawiązał łączność z „Łańcuszkiem dobrych przyjaciół”, a więc z „sikorszczykami”. Miał już wtedy rozbudowaną konspirację, o czym wiem, bo mieliśmy i na Bliskim Wschodzie kilku „dobrych przyjaciół”. Na początku r. 43 „junta” Klimkowskiego, szła na całego przeciw Sikorskiemu. Ale wracając do mojego

ogródka. Poufne, a nie zbyt pewne informacje, które wówczas otrzymałem, kazały mi brać pod uwagę możliwość podjęcia przez Sikorskiego zdecydowanej obrony praw Polski. Gdyby to miało nastąpić, o tyle należałoby wstrzymać wszelkie poczynania podjęte przeciw niemu. Należało również liczyć się z taką możliwością redagując list lotników do prezydenta R.P.

Projekt listu przedstawiłem kolegom. Spodobał im się. List został napisany i podpisany. Podpisy zebrano bez większych ceremonii w Inspektoracie Lotnictwa. Wieczorem w towarzystwie przybocznego lekarza prezydenta Dr. Jodłowskiego pojechał doręczyć list delegowany przez nas kolega kpt. pil. Sliwiński (z bombowców, jego imienia już nie pamiętam). Prezydent go zaraz przyjął. Przeczytał list dwukrotnie. Ten kończył się dyskretnym zapewnieniem i apelem: „My żołnierze będziemy zawsze wierni tylko i wyłącznie Polsce, której majestat i niczym nieumniejszona władza spoczywa w rękach Pana Prezydenta. Niech Bóg Wszechmocny da Ci, Dostojny Panie Prezydencie, moc i niezłomność decyzji w tej tragicznej chwili dziejów”. Prezydent miał łzy w oczach, był to już człowiek bezsilny.

PRZED GIBRALTAREM

Nie pomnę, czy w końcu marca czy na początku kwietnia zostałem wezwany do gen. Ujejskiego. Generał, jak mi się zdawało, minę miał nietęgą. Zapytał mnie, czy podpisywałem list do prezydenta R.P., powiedziałem, że tak i odmówiłem odpowiedzi na pytanie, kto jeszcze ten list podpisał.

— Dziękuję, panu porucznikowi.

— Odmeldowuję się, panie generale.

Rozmowa była skończona. Podobną mieli mjr. Poziomek, kpt. pil. Zenon Kurzemba, Ali. W jakiś czas po tej rozmowie dostaliśmy rozkaz wyjazdu na wyspę Bute, która była czymś w rodzaju miejsca zesłania oficerów legionowych z dodaniem dla przyzwoitości garstki nie nadających się do służby. Niezależnie od zesłania mieliśmy za ów list mieć rozprawę przed sądem polowym. Nie trzeba było niczego więcej, żeby nas przedstawić urbi et orbi w rolach niewinnie cierpiących za sprawę bohaterów narodowych. Zaiste polski Londyn nie skąpił nam dowodów uznania. W dniu naszego wyjazdu zebrano się na dworcu trochę narodu, biało-czerwone kwiecie wypełniło nasz przedział, panie machały rączkami, byliśmy wzruszeni. W ostatniej chwili zjawił się adiutant gen. Sosnkowskiego, mjr. Jawicz, nie niósł bukietu, ale butelkę wiskacza — on trzeba przyznać, aż za bardzo wiedział, co o nas myśleć — pociąg ruszył, szare domki, szare balony obrony przeciwlotniczej. No,

to się napijemy — powiedział Zenek Kurzemba, sięgając po cenny dar mjr. Jawicza.

Z uczuciem ulgi zęgnąłem Londyn. Było w nim, jak na mój gust, za wiele ludzkich robaczek przywarłych łakomymi pyszczkami do Sprawy i zbyt wiele zbarania. Na krótko przed naszym wyjazdem jeden z kolegów kpt. obs. Władysław Michowski — zdawałoby się, że ten jest z nami na śmierć i życie — nagle zjawia się „nawrócony”: my nie mamy racji, Sikorski ufa Rosji, z pewnością wie, co robi, sojusznicy nie pozwolą Polski skrzywdzić itp. Próbowaliśmy tłumaczyć, nie — on „przejrzał”. Od tej pory nie miał już wątpliwości, gdy po latach zaczął znów mieć, nie trwały długo, przekonał go Rokossowski salwą plutonu egezkucyjnego.

No, albo z innej beczki. Pod koniec roku 42-go wybrano mnie do rady „Związku Ziemi Północno-wschodnich”, po przyjeździe do Londynu zostałem sekretarzem rady. Związek został powołany do obrony ziem zagrożonych zaborczością sowiecką, ale jakie to boje trzeba było toczyć o byle mocniejsze słowo! Bo to ten siedzi w Radzie Narodowej, tamten spodziwiała się innej synekurki, więc aby dyplomatycznie, aby statecznie, aby nie urazić. Kiedyś, gdym się ujadął z jednym takim trzęsiorostem, prof. Żółtowski, człowiek do rany przyłóż, nie wytrzymał, zaczął krzyczeć — Wstyd! wstyd!

Ileż to już lat, a jeszcze dziś byle o tym wspomnieć, a mdości. Sprawa i sprawki, gdyby nie sprawki wikłające się wokół Sprawy pewnie by lepiej widziano w tym wojennym Londynie że mijają ostatnie dni, kiedy głos polski może być jeszcze usłyszany w świecie, nim go stłumią krzyki sławiące zwycięstwa Czerwonej Armii. Młodzi sztabowcy z grupy Utnika zapowiadali je jako rzecz pewną, Rosja nie maskowała już swoich zaborczych chęci! Cóż za demon paraliżował wolę obrony Sprawy! Może stało się źle że nie przeważały wśród nas szaleńcze myśli, może jeden i drugi strzał wstrząsnąłby sumieniami.

Mówmy o tym bez hipokryzji. Kiedy razu pewnego po locie na Brest, usłyszałem przez radio, że wysłaliśmy na tamten świat 4.000 Francuzów, przez kilka dni myliłem się w rozgrywkach bridżowych, bo raz po raz jakaś figura patrzyła na mnie konającą twarzą. Później to odeszło, wojna, trudno, nie brakło prosków na niestrawność sumienia. Czemuż więc tak się wzdragałem na myśl, żeby X czy Y, o którym wiedziałem, że jest zakałą Sprawy powiększył liczbę ofiar składanych na jej ołtarzu? Cóż za mazgajstwo! I to powszechne mazgajstwo. Raz pomnę, pewien pułkownik, pilsudczyk z krwi i kości, licho wie czemu pomyślał sobie, że zamierzamy na pana prof. Kocie wypróbować dowcip jakiego zapalnika. Przybiegł w te pędy, dalejże błagać: — Bójcie się chłopcy Boga, nie róbcie tego! Jak to ładnie, bo przecież pilsudczycy tak Profesora nie kochali. Ale cóż za przekłeta miękkość przywarła

do naszych duszyczek! Chyba to ona była największym grzechem męża stanu, Sikorskiego, choć może w jakimś innym świecie, w imię tego właśnie grzechu, będą mu darowane wszystkie grzechy, które kiedykolwiek popełnił. Wściekam się na Sikorskiego — polityka, ale iluż na jego miejscu gięłoby się i łamało, na myśl o tym piekielnym zastawie, który miał Stalin w milionach polskich nieszczęśników. Tylko że niech ten kogo nie stać na bezwzględna wierność racji stanu nie zabawia się w dyktatora. Tak — można tu dodać — niech ci, których nie stać na przekazywanie spisku wojskowego, na ostrze zabijające w imię Sprawy, nie spiskują.

W marcu r. 43-go stało się jasne, że Prezydent R.P. nie powoła nowego rządu. Czyżby tylko słabość? A może miał powody wierzyć że Sikorski zasadniczo zmieni swą postawę wobec niebezpieczeństwa rosyjskiego?

Gdzieś w początkach kwietnia wybuchła sprawa Katynia. Nareszcie wtedy nastąpił zwrot! Propaganda rządowa uderzyła na alarm, nie gorzej niż to czyniliśmy w swoich nielegalnych wydawnictwach. Nie trzeba już było przedtuzać rozdziału pod tytułem: „Przeciw Sikorskiemu”.

Ujawnienie nas czterech jako współodpowiedzialnych za list lotników do Prezydenta R.P. stało się powodem nie tylko składanych nam wyrazów uznania, ale i mniej lub więcej poufnych rad, żeby nasi przedstawiciele pomówili z Sikorskim bezpośrednio. Taka rozmowa miałaby nas przekonać o jego dobrych intencjach. Rzecz prosta co rozumniejszym ludziom z otoczenia Generała musiało zależeć na rozładowaniu opozycji narosłej w wojsku. W tym celu Generał miał polecić na Bliski Wschód i jak przypuszczam, rozmawiać po powrocie z kilkoma osobami z „Podziemia wojskowego” w Wielkiej Brytanii. Byłoby to bodaj najmądrzejsze z tego, co mógł zrobić, chcąc nadal premierować i dowodzić wojskiem, choć zapewne nie najbardziej zgodne z zasadami wojskowymi. Bo konspiracja, jak już przeżyje okres niemowlęctwa, staje się hydrą wielogłową. Uciąć jedną głowę, inne się skryją, albo co gorsza mogą nie czekać bezbronne na swoją kolej pod miecz karzący. Sikorski był pewnie człowiekiem odważnym. To, co pisał Mieczysław Pruszyński o jego obawach, wcale nie znaczy że obawiał się zamachu na swoje życie. Ale takie obawy mogły być nie obce jego otoczeniu.

Wreszcie trzeba pamiętać, jak wielką wtedy popularnością cieszyli się bojowi lotnicy. Robienie z nas więźniów politycznych z pewnością nie mogło przysporzyć Generałowi chwały.

Być może podobne myśli najlepiej tłumaczą chęć niektórych osób, żeby Generał pogadał sobie z nieprawowiernymi lotnikami. Tadeusz Katelbach w „Roku złych wróżb” powiada, że Sikorski podsyłał do nas Adama Romera. Mnie się raczej zdaje, że p. Adam Romer, wówczas dyrektor gabinetu Pre-

zydium Rady Ministrów (czy może gabinetu premiera?) jak było wiadomo człowiek szczerze oddany Sikorskiemu podchwycił nadarzającą się sposobność doprowadzenia do bezpośredniej rozmowy między Generałem a przedstawicielami „junty lotników” czy raczej „Młodych Turków”, bo tak nas zwano. Tę sposobność stworzyła bodaj inicjatywa Jerzego Jaczynowskiego, który był znajomym pana Romera, a przyjaźnił się z kilku lotnikami, między nimi ze mną. Na temat rozmowy naszych przedstawicieli z Generałem mówiłem z p. Romerem na obiedzie w Chelsea. Był z nami Jaczynowski. Że w Chelsea było trochę rodaków, stąd zaraz „Generał podsyła do Młodych Turków”. Czy „podsyłał?” Ja byłem do rozmowy z p. Romerem upoważniony przez kolegów, w mojej pamięci utrwaliło się przekonanie, że p. Romer był wprawdzie do tej rozmowy upoważniony przez Generała, ale upoważniony dopiero na skutek inicjatywy, którą mu podsunęto. Zresztą nie przysięgnę, mogę się mylić. W każdym razie stanęło na tym że po powrocie Generała z Bliskiego Wschodu ten będzie rozmawiał z naszymi przedstawicielami. Daleko jeszcze było do usunięcia zadr a przede wszystkim naszej nieufności do Generała, ale choćby ta moja rozmowa z p. Romerem świadczy że gdzieś już w kwietniu nie panowała wśród nas zawziętość na Sikorskiego. Jest to warte zanotowania wobec krążących w Polsce bzdur o tragedii gibraltarskiej. I jakich bzdur? np. Strumph-Wojtkiewicz („Sikorski i jego żołnierze”, Łódź, 1946) posunął swoją odkrywczosć do wskazania kto i kiedy, że niby przed odlotem Generała z Kairu do Gibraltaru na lotnisku kairskim miała być „załoga Lechnickiego”, że coś tam pomagała przy reparacji samolotu Generała, no i pomogła. Od A do Z kłamstwo. Lechnicki był wtedy w szpitalu w Anglii, załoga, z którą latał, była w Anglii. Wtrąciłem te kilka słów tylko dlatego, że śp. Felek Lechnicki był moim przyjacielem, gdyby nie to, szkoda byłoby farby drukarskiej.

Ale wracając do naszego zesłania — przed odjazdem na wyspę zostaliśmy przyjęci przez gen. Sosnkowskiego. Mówiłem z nim wtedy pierwszy raz. To pierwsze wrażenie — ileż w nim niefałszowanego dostojęstwa! Czemu tęsknoty wodzowskie tak mocno oświadczyły moim pokoleniem? Jakże mocno tkwiły we mnie! Sosnkowski mówił z nami niewiele, ale — niech to licha — byłem pod jego urokiem, właśnie wodzowskim urokiem. Mój anioł stróż ostrożny po dotychczasowych doświadczeniach szeptał mi do ucha ostrzegawcze słowa. — Bądź spokojny — odpowiedziałem mu — on nie chce, żebyśmy go podnieśli na czerwonych tarczach.

Doszedł do Sikorskiego cichociemny raport o naszej podróży na wyspę i ponoć go nie uszczęśliwił. Bo na dworcu w Edynburgu, choć to było dobrze po północy, podchorążowie armii, z generałów owszem gen. Langer, wyraził uznania, solidarności. Na dworcu w Glasgowie oficerowie Marynarki

Wojennej, wspaniałe przyjęcie na okręcie Garland. Wreszcie coś po trzech dniach wyspa Bute. Prawda, nie było tam przyjemnie, dżdżysto, wietrzno, nudno.

Pierwsze dni osowiały. W ponurym kasynie starsi oficerowie, wśród nich wczorajsi dygnitarze, trochę biadoleń, dużo wspomnień świetnej przeszłości, taniutki brydzyk, szaszki, niemrawe spacerki po wybrzeżu.

Widać daleko był już tamten wrzesień, nie widziałem w tych starszych panach dygnitarzy z szosy Zaleszczyckiej, ale strzępy ludzi przytłoczone niskim niebem, pustkę bezsilnych rąk, wyciąganych ku coraz dalszej przeszłości.

Znajdywały nas i na wyspie wzruszające dowody pamięci. Choć Wielkanoc minęła nam na Garlandzie, dostaliśmy przesyłkę: pisanki malowane przez córki Wielkiego Marszałka. Później znów imieniny Poziomka, nadeszło coś ponad osiemset listów i kart z życzeniami. Nasi współtowarzysze zesłania otaczali nas życzliwością, niech tu wdzięcznie wspomnę gen. pil. De Beaurain, płk. pil. Karasia i b. szefa prokuratury wojskowej śp. płk. Orskiego. Z generałów lotnictwa był przedtem na wyspie również gen. pil. Rayski, ale gdyśmy przyjechali, latał już w Afryce. Historia zdeptania Rayskiego nadaje się do pomnikowej księgi ludzkiej podłości, więc tylko wspomnę, że na własne uszy słyszałem w Polsce wiadomość z radia Grenoble o zasądzeniu go za „zdradę tajemnic wojskowych...”. Dla mnie nawet gibraltarska woda nie zmyje z Sikorskiego odpowiedzialności za tego rodzaju paskudztwa. Gdybym znał ową „zdradę tajemnic wojskowych” wcześniej, to na zapytanie Sikorskiego, kogo wśród starszych lotników najbardziej sobie cenimy — bo o to mnie pytał, gdy byłem na kursie podchorążych w Szkocji — nie odpowiedziałbym: Makowskiego, ale właśnie Rayskiego.

Na wyspie Bute zdrowie mi nie dopisało. Od czasu kraksy w 304 bombowym dokuczały mi po trochu stłuczenia, teraz zacząłem utykać, wilgotny i chłodny klimat wyspy wywołał znaczne pogorszenie. Wreszcie poszedłem do lekarza i anim się obejrzał, byłem w szpitalu. Polski szpital połowy nr 1 mieścił się w olbrzymim zamku, okolica górzysta ot tak jakby wymuskane Podkarpacie. W salach było raczej tłoczno, ale wkrótce już dostałem obszerną komnatę wyłącznie dla siebie. A stało się to tak że przyszedł do mnie ktoś chyba z konspiracji piłsudczyków i powiada — jutro będzie pan porucznik aresztowany i pewno będzie rewizja. Nie upłynęła godzina, a zjawił się ktoś z naszych i mówi: „U kpt. Czerniawskiego nakryli naszą bibułę. Aresztowali Czerniawskiego i podpor. Tomczyka. Jest rozkaz aresztowania kpt. Bujalskiego i pana porucznika. Jutro będzie tu żandarmeria i zrobią rewizję”.

Nazajutrz do sali, w której leżałem, uroczyście wkroczyła żandarmeria. Pilnie szukali w moim łóżku. Nic ciekawego

nie znaleźli. Miałem nogę w szynie, to pewnie sprawiło, że mnie ze szpitala nie zabrali. Zaraz po rewizji opróżniono salę obok, tam miałem odtąd przebywać „odosobniony”. Nie było to zresztą odosobnienie zbytnio strzeżone — raz po raz ktoś wpadał na pogaduszkę — było w każdym razie grubo lepiej niż moim trzem kolegom w wojskowym więzieniu. Wreszcie zawitał do mnie z Londynu prokurator Sądu Polowego nr 8. Był to całkiem miły i młody kapitan, bardzo przejęty swoją rolą, ale nie bardzo obeznany z podtekstem sztuki. Zaraz na wstępie zapytał mnie o tajne związki. Zacząłem tedy od „Strażnicy”, nadmienając że na temat tej konspiracji wojskowej będzie mógł otrzymać najpewniejsze informacje bezpośrednio od Naczelnego Wodza, no bo to jego podwórko. Mój kapitan zaraz — że to właściwie są sprawy dwójki — on nie chce wiedzieć. No ale tyle powinien wiedzieć, że związki tajne nigdy nie istnieją, że wszystko za nie bociany przynoszą, a przywoitość zakazuje o takie rzeczy pytać. Muszę przyznać że po tym pierwszym nietakcie nastąpiła poprawa — ani w czasie dochodzeń, ani w czasie rozpraw przed sądem polowym, ani słówka o konspiracjach.

Porzuciwszy niewczesne zaciekawienia, prokurator przeszedł do pytań o tajne wydawnictwa. Nic o nich nie wiedziałem, ale za to wkrótce już wiedziałem, że cała sprawa przeciwko mnie polega na doniesieniach Hrabiego. Mogłem więc nie żywić obaw, Hrabia mało co wiedział, wprawdzie sporo dołgał, ale dzięki temu można było przygwoździć i to, co nie zełgał.

Nie pamiętam już dokładnie, kiedy i jak dowiedziałem się że w Londynie puszczane są w obieg pogłoski, jakobym wraz z aresztowanymi kolegami służył niemieckiej dywersji. Wkrótce miałem wiadomość, choć nie mogłem jej na razie zużytkować że na odprawie agentów dwójki lotniczej szef sztabu Inspektoratu Lotnictwa wraz z nowym szefem bezpieczeństwa zalecili puszczanie w obieg szeptanych wieści że rewizja wykryła u nas dowody łączności z wywiadem niemieckim. Obaj nie wymienieni tu z nazwisk panowie tylko dzięki wstawiennictwu Jerzego Jaczynowskiego, który był zawsze pełen miłości bliźniego, uniknęli sądu polowego. Wina ich — zdaniem moim — była niepomiernie mniejsza od winy Sikorskiego, pod którego rządami tego rodzaju metody znajdowały zastosowanie. Do dziś dnia pozostaje dla mnie zagadką, kto spowodował „robienie” nas na dywersantów niemieckich. Wiadomo mi było że Hrabia bywał z doniesieniami u prof. Kota, więc w każdym razie, gdyby sprawy wzięły inny obrót, mnie by rachunek za tę sprawkę musiał zapłacić pan Profesor osobiście. Składam i jemu i sobie gratulacje, że Gibraltar, choć był nieszczęściem dla Sprawy, przynajmniej nam obu wyszedł na dobre. A mówiąc nawiasem, mój podziw dla gen. Rayskiego wyrasta stąd, że on nie załamał się pod tego rodzaju tajdarkimi ciosami. Ostatecznie, gdzie leży róż-

nica moralna między władzą, która „robieniem na szpiegów” wykańcza moralnie swoich przeciwników, a władzą, która skazuje na śmierć Doboszyńskiego za „szpiegostwo!” I tak tu, na tej emigracji, nic już nie naprawimy. Sprawę diabli wzięli, ale diabli muszą wziąć prędzej czy później każde państwo z hołotką u steru. Owszem, może się ostać państwo zdecydowanie bandyckie, no, ale nie wkraczajmy w dziedziny wymagające traktatów psychologicznych.

A propos zagadnień psychologicznych powiem teraz coś zupełnie nieprawdopodobnego. Tam, w tym „miejscu szpitalnego odosobnienia” śniłem pewnej nocy, że Sikorski nie żyje i że ja z nim rozmawiam. Pominę szczegóły, bo każdy by dał głowę że zmyślam. Dość że zbudziłem się na skutek tego snu, gdy za oknami był już wczesny letni świt. Nie zasnąłem, paliłem papierosy, myślałem o Sikorskim i o Sprawie. Koło ósmej zajrzał prokurator i powiadomił mnie że przyjdzie po śniadaniu. Niezadługo wrócił, był wyraźnie błądy, powiedział głosem jakby zdartej płyty gramofonowej: „Generał Sikorski nie żyje”.

Wspominając o tym śnie, daję kawałek chleba powszedniego panu Strumph-Wojtkiewiczowi, bo przecież ja właśnie byłem przyjacielem śp. Felka Lechnickiego, tedy o wniosku nie trudno.

POSŁOWIE I PODZWONNE

W tych wspomnieniach musiałem pominąć wiele szczegółów i nazwisk ludzi żyjących, ciągnąc je dalej musiałbym pomijać również i to, co najważniejsze, bo podziemne kielkowanie wydarzeń znacznie późniejszych. By nie urywać prawie w pół zdania, skreślałam po krótko coś w rodzaju posłowania i podzwonnego.

W sierpniu roku 43-go odbył się przed Sądem Polowym nr 8 proces przeciwko Poziomkowi, Alemu, Kurzembie, mnie i kpt. Miechowskiemu, bo ten na skutek zmiany przekonania zameldował gen. Ujejskiemu, że i on list do Prezydenta R.P. podpisał. Wszyscy zostaliśmy ukarani za nieformalne złożenie zażalenia, lecz nam kary zawieszono do końca wojny. W październiku przed tymże sądem odbyła się znacznie ciekawsza sprawa mianowicie o redagowanie i rozprzestrzenianie nielegalnych wydawnictw. Oprócz Alego i mnie na ławie oskarżonych zasiadli kpt. pil. Roman Czerniawski i podpor. Bronisław Tomczyk. Sprawa ciągnęła się 16 dni, przewodniczył niebezpieczny dla nas, bo inteligentny, płk Sarnicki, oskarżał prokurator, o którym już wspominałem. Zarówno przewodniczący jak i on zdobyli sobie nasze szczerze uznanie. Wbrew opinii publicznej dążyli uparcie do spełnienia swego

obowiązku tak trudnego wobec wątpliwych dowodów winy i świetnej obrony.

Jak przewidywałem głównym świadkiem oskarżenia był Hrabia. Mimo że płatał się w zeznaniach, nie mogłem mu oszczędzić przykrości wyjawienia szczegółu znanego od dawna dwójce, mianowicie że w Rosji dał się zwerbować do roli konfidenta N.K.W.D. (choć być może, roli tej nie zdążył odgrywać). Wyjawienie tego szczegółu załamało Hrabiego tak dalece że wykazanie fałszywości jego zeznań przestało być trudne. Później za fałszywe zeznania miał iść pod sąd, nie poszedł, bo nikt z nas nie zwracał sobie nim głowy, a tajemnicze siły wzięły go w opiekę. Został tedy zwolniony z wojska z kategorii „E” jako niepoczytalny, po czym natychmiast zwiększył swoją osobą poczet urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Nasza Sprawa skończyła się uniewinnieniem Alego, Tomczyka i mnie, zaś skazaniem kpt. Czerniawskiego na pół roku twierdzy za przechowywanie u siebie tajnych wydawnictw. Tu nadmienię, że nie z rozkazu Wodza Naczelnego, jak plotkowano, ale na skutek uprzejmości dla mnie gen. Modelskiego kpt. Czerniawski wkrótce odzyskał wolność.

Po odejściu gen. Ujejskiego ze stanowiska dowódcy lotnictwa, w Dowództwie nastąpiły duże zmiany, ale na ich temat niewiele mógłbym powiedzieć ponad to, o czym już wspominałem w liście do „Kultury”, zamieszczonym w maju rb. Z moich towarzyszy zesłania Ali został powołany do gabinetu Naczelnego Wodza na stanowisko oficera sztabowego do zleceń, Poziomek został zastępcą szefa sztabu Dowództwa Lotnictwa, Kurzemba bodaj pojechał na studia i do Wyższej Szkoły Lotniczej, ja wróciłem do „Skrzydeł”. Jak z tego widać nikt z nas nie objął wysokiego stanowiska, a to samo dotyczyło związanych z nami kolegów. Według mojej oceny w Dowództwie Lotnictwa przeważały wpływy przyjaciół płk. Makowskiego, nie zaś przyjaciół Alego lub Poziomka, choć o „tajemniczej organizacji” więcej się mówiło. Wiosną roku 44-go zestrzelono Poziomka. Zaraz po jego śmierci, już jako oficer O. VI. sztabu N.W., poleciałem do Kairu, gdzie mieliśmy bazę do działań na Kreć i Bałkanach. Tam doszła do mnie wiadomość o zestrzeleniu Fela Lechnickiego. O ile śmierć Poziomka była dla naszego grona dotkliwym ciosem, o tyle brak Fela miał się stać ciosem decydującym. Po moim wyjeździe tylko on utrzymywał łączność między młodzieżowymi kołami. Gdy go zbrakło, kółka te osłabione już poprzednio stratami bojowymi uległy zanikowi. Cóż pozostało, gdy zbrakło tej naszej głównej siły i to głównej nie tylko ilościowo, ale również ideowo. Pozostało kilkudziesięciu oficerów wprawdzie ofiarnych, gdy było trzeba, i bezinteresownych, gdy przysłała chwila łatwych osiągnięć osobistych, ale — z wyjątkiem Alego i dwóch, może trzech, równie jak on pochłonię-

tych zajęciami służbowymi — całkiem nie przygotowanych do pracy ideo-twórczej, która ożywiała przedtem nasz związek.

Będąc w Kairze dostawałem od czasu do czasu wiadomości od moich przyjaciół z lotnictwa. Wkrótce po wojnie otrzymałem od nich wiadomość o samorozwiązaniu naszego związku, który jako całość właściwie do końca swego istnienia nie miał żadnej nazwy prócz tej, którą przykleił do nas chyba T. Bielecki, mianowicie związku „Młodych Turków”.

Na tym koniec. Chwała Bogu, że koniec — jak to trudno wczuwać się w tamtego siebie, wywoływać tamtego siebie spośród duchów dawno minionych chwil i minionych ludzi.

„Tamten ja”, wezwany staje przy mnie, ale jakże mogę go karcić za brak pobłażliwości, gdy jego i milion jemu podobnych tak straszliwie zmarnowano! Cóż mu powiem, że trzeba umieć wybaczać? Co wybaczać? Kreowanie miernot na wielkości narodowe, szelmostwo metod, oportunizm czy głupotę przedstawianą za mądrość? Z jakiej to racji dzisiejszy ja mam osądzać siebie dawniejszego za tę może naiwną, może bezna-dziejną, ale jak słuszną walkę z wydetą małością, którą złe duchy naszych dziejów uczyniły sternikiem wśród cyklonu?

Niech Sikorski żołnierz, który zginął tak, jak ginęli lotnicy, spoczywa wśród moich kolegów, niech mu obca ziemia lekką będzie, ale jeśli jego nazwisko staje się symbolem, jest to z pewnością fałszywy symbol Polski Lechnickich czy Bocheńskich, choć może całkiem dobry symbol Polski z kawiarnianej łatwizny. Gdzież jest ta wielkość Sikorskiego? Czyż był wielkim mężem stanu, skoro sprawdzian, ku czemu wiodła jego polityka, widzimy choćby na modelu czeskim? Czy był może wielkim wodzem w ostatniej wojnie, gdy przecież nigdzie nie dowodził? Czy może on, człowiek z ludu, wniósł przynajmniej do śmierzącego światka naszych szczytów wolę odrodzenia moralnego?

Bardzo przepraszam, ale nie zawiodę siebie z tamtych lat do grona ministrantów zebranych przed ołtarzem poświęcanym gibraltarską wodą. Ten dawny ja mógł podziwiać takich mężów stanu jak Dmowski czy Piłsudski, może chylić głowę przed chorążymi ludu na miarę Arciszewskiego czy Witosa, ale odrzuca błazeństwo przystrojania w aureolę świętego narodowego współsprawcy zmarnowania bezmiaru polskiej ofiarności.

Odsyłam go tedy — mnie dawnego — do czasów minionych, powiadając mu na do widzenia — miałeś rację.

No a dzisiejszy ja przy angielskim kominku właśnie medytuje nad trudnością szczerego wymówienia słów „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Stanisław SEP-SZARZYŃSKI

Sprawy i troski

Voice of America

Sprawa to drobna w skali polityki amerykańskiej, drugorzędna w skali ogólnopolskiej, ale dla nas, emigrantów, obracających się w jakimś „miniature-golf” — jest to sprawa o pewnym znaczeniu. Ma ona trzy aspekty. Działalność Voice of America należy rozpatrywać z punktu widzenia interesów amerykańskich, następnie pod kątem widzenia interesów polskich słuchaczy tej rozgłośni, wreszcie w świetle interesów całej emigracji, w szczególności polskich pisarzy na uchodźstwie.

Radio, jako medium tworzenia opinii, jest wciąż w powi-
 jakach w porównaniu z prasą. Od blisko roku, na wygnaniu w zimnym i nudnym Londynie, więcej słucham radia, niż w ciągu całego poprzedniego życia. Sądzę, że istnieje niezrównany wzór dla dobrych programów radiowych: a mianowicie France Un — Paris Inter. Wystarcza z grubsza ten program kopiować. To znaczy trzeba uznać, że każdy prawdziwy program radiowy musi bez przerwy „być na fali” przez 24 godzin; że musi zawierać bardzo wiele muzyki, piosenek, koncertów; że „newsy” muszą być co godzinę, przy czym nie wolno ich nigdy powtarzać: cały program musi być co godzinę przerezagowany. Nie wolno robić przerw, choćby minutowych: na antenie zawsze musi coś „iść”. Nie wolno używać tonu uroczystego i nadętego, jak to robi np. Home Service BBC: póki mówią oni o Królowej czy premierze, ich uroczysty ton jest od biedy do zniesienia, ale gdy tym samym wzniosło-oxfordzkim akcentem jakiś spikier zaczyna opowiadać, że Sussex County Council przeznaczona dodatkowych tysiąc funtów na subsydia dla hodowców świń — to słuchacz dostaje ataku szału. Już w pierwszym zdaniu newsów trzeba słuchaczowi wyjaśnić sytuację. Np.

radio Paryż powiada: „Rien de bien nouveau depuis notre dernière émission”: już wiem, że nie potrzebuję dalszego ciągu słuchać. Radio musi zachować tempo: poza Paryżem wszystkie pozostałe na świecie radiostacje mają tempo zbyt powolne; nie tylko to nie ułatwia słuchania, ale je utrudnia, męcząc audytorium. Wreszcie nie można dość mocno podkreślać znaczenia dobrych spikierów. Dyrektor teatru powinien zacząć od angażowania trupy — wszystko inne może poczekać. Taką samą decydującą rolę odgrywają w radio spikierzy. Dać dobrych spikierów — i najgorszy, najgłupszy program znajdzie słuchaczy, będzie miał powodzenie. Przy złych spikierach najlepszy program położony się od razu. Gdy wybuchł spór w Metropolitan między dyrektorem a Marią Callas, trzeba było oczywiście dyrektora wypędzić, a Callas zostawić, bo opera, tak jak i film, stoi tylko gwiazdami i gwiazdoram, sopranem czy tenorem. Podobnie w radio spikier jest królem. On powinien mieć najwyższą pensję i on musi być pierwszą osobą. I oczywiście dobry spikier sam musi decydować o swym tempie i o swym stylu — nic gorszego jak sztampa. To tak jakby na scenie każdy aktor miał mówić w taki sam sposób, tym samym akcentem, z tą samą intonacją. Owszem, są takie teatry: angielskie. I rezultat: widz marzy tylko o ucieczce z tych koszmarnych przedstawień. Na France Un — Paris Inter co dzień o 7.15 pp. po newsach Jean Noché, wygłasza pięćminutowkę: mówi tak nieprawdopodobnie szybko, że nawet ja, Francuz z wyboru i patriotyzmu, często nie nadążam za tym potokiem słów, tą kaskadą zdań: ale jednak nie znam lepszego spikiera na całym świecie.

Więc każde radio, a zatem i Voice of America, musi zacząć od tych elementarnych zasad: program musi być jeżeli nie bez przerwy, to przynajmniej wielogodzinny, musi być nadawany zawsze na tej samej fali, a nie na coraz to innej; musi być wygłaszany nienaganną polszczyzną (względnie innym językiem), bo wszystkie anglicyzmy, amerykanizmy, prowincjonalizmy, nieudolności, nieprawdopodobnie rażą słuchacza, nawet w newsach, nawet w „continuity”, to znaczy w tych wstawkach między jednym programem a następnym, które mają olbrzymie znaczenie; musi być zajmujący; musi być szybki, aktualny i prawdomówny, bez żadnego fryzowania faktów, bez przemilczeń, bez jaskrawej propagandy, i nade wszystko musi mieć wyborczych spikierów. Powolna dykcja i źli spikierzy położą każdy program. Chodzi głównie o timbre głosu, o piękny dźwięk, o doskonałą intonację, o głos kulturalny, przyjemny, muzyczny, chodzi też o inteligencję w głosie, w wymowie, w traktowaniu tekstów. Spikierzy polscy, a jeszcze bardziej spikierki, są z reguły okropni, co zresztą nie jest dziwne, bo u nas w szkołach nie uczono retoryki. Mimo wszystko, spikierzy warszawscy są lepsi od polskich spikierów Voice'u, nie mówiąc już o tym, że czytają teksty, których polszczyzna pod wzglę-

dem gramatyki, poprawności i stylu stoi o niebo wyżej od tekstów waszyngtońskich. Voice zawsze ulegał dziwnemu złudzeniu, że każdy może zostać dobrym spikierem i ciągle dobierał rozmaitych analfabetów, nieuków czy „głuchoniemych” w przekonaniu, że jakiś instruktor — hebes, ledwo mówiący po polsku, może z nich zrobić z dnia na dzień doskonałych spikierów. Rezultaty były żałosne. Znam bardzo niewielu Polaków, którzy mają dobre głosy do radia, ale tacy są. Trzeba ich znaleźć i zmobilizować.

Amerykanie wydają ogromne sumy na radiostacje, bo oczekują od nich korzyści propagandowych. Z grubsza mają rację. Programy radiowe na pewno są korzystniejsze, niż ulotki, baloniki, które są dziecinadą, niż tak zwany wywiad, który jest przeżytkiem i dowodem, jak bardzo romantyczne wspomnienia czy iluzje są wciąż na świecie żywe. Odkąd Rosję sowiecką utworzono dla prasy zagranicznej okazało się, że kilkudziesięciu dobrych korespondentów może wydobyć znacznie więcej informacji, niż dziesięć tysięcy szpiegów i agentów, ryzykujących niepotrzebnie własne czy cudze życie.

Ale co to jest propaganda? Dodatek „radiowa” odnosi się tylko do techniki. Istota każdej propagandy jest jednakowa. Jej istotą jest *myśl polityczna*. Bez tej myśli, bez tej koncepcji nie może być propagandy: może być tylko urządowanie. Tyle razy słyszałem i przed wojną, i w czasie wojny, polskich dyplomatów, i to nieraz inteligentnych, biadających nad brakiem propagandy, wołających, że gdyby dać im dobrą propagandę, już oni potrafiliby poprowadzić dobrą politykę. Niestety, były to złudzenia. Prowadziliśmy politykę ponad siły, a więc skazaną na przegraną: a propaganda w obronie polityki iluzorycznej, fantazyjnej, niewspółmiernej do sił nigdy nie może dawać rezultatów. Póki Hitler odnosił sukcesy, póty propaganda Goebbelsa wydawała się doskonała: gdy zaczął przegrywać, to złudzenie się skończyło.

Polityka Stanów Zjednoczonych wobec Rosji i satelitów wychodziła z założenia: zastraszymy. Wierzyła w powtórkę cudu trąb jerychońskich. Te nadzieje zawiodły, gdy Rosja posiadała bombę wodorową, gdy poza tym Zachód nie zdołał wykorzystać swego rodzaju „smutnawo wremieni”, które dzieliło śmierć Stalina od dojścia do absolutnej władzy nowego cara, Chruszczowa. Być może w razie śmierci czy obalenia Nikity Siergiejewicza, taka nowa szansa stanie przed Zachodem: na razie jej nie ma.

W stosunku do satelitów polityka amerykańska opierała się na dość mętnych, choć uczciwych nadziejach, że w pewnej sytuacji narody ujarzmione powstaną przeciw komunizmowi, że rządy lokalne nie dadzą sobie z tymi powstaniem rady, a Rosja

pogodzi się z utratą swego środkowo-europejskiego imperium. Po wypadkach węgierskich te nadzieje okazały się złudne. Ameryka nigdy nie ankurazowała powstania satelitów, ale jakby igrała z tą myślą, raz pełna nadziei, raz pełna obaw. Po listopadzie 1956 Amerykanie zrozumieli, że ta gra jest zbyt wysoka. Boją się powstań za Żelazną Kurtyną; a już szczególnie w Niemczech Wschodnich i w Polsce boją się ich bodaj więcej, niż Chruszczow, Ulbricht i Gomułka.

Amerykanie niewątpliwie życzą satelitom odzyskania niepodległości, choćby na modłę finlandzką. Ale nie wiedzą, jak to zrobić. W polityce wybór środków jest ważniejszy od celów. Póki te środki przedstawiają się mgławicowo, niesprecyzowanie, póty polityka Departamentu Stanu wobec satelitów musi robić wrażenie niezdecydowanej, chwiejnej. A gdy polityka tak wygląda, to jak ma wyglądać propaganda, która jest tylko jej codziennym, roboczym odbiciem?

W obecnej sytuacji, kiedy Ameryka nie ma i mieć nie może dynamicznego programu wobec satelitów, obliczonego na bezpośrednie, szybkie i konkretne, efekty, propaganda Voice of America do krajów zakurtynowych musi być z konieczności obliczona *na bardzo długą metę*. Musi starannie wystrzegać się wszystkiego, co robi wrażenie zmiany, improwizacji, nowinek; cały jej wysiłek musi być wyłożony w kierunku stworzenia wrażenia czegoś absolutnie niezależnego od chwilowej koniunktury, czegoś obliczonego na dziesiątki lat. Programy rozgłośni radiowych Nassera mają dać efekt jeżeli nie dzisiaj, to jutro: mają podburzać masy Arabów to na Husseina, to na Kassema, to na Izrael, to na „imperialistów”, ale zawsze trzymać je w stanie podniecenia i potencjalnej „świętej wojny”. Przez długie lata tak samo wyglądała propaganda radiowa Moskwy. Dzisiaj „radio Moskwa” z broni pierwszej linii stała się raczej odwozem, rezerwą: jesteśmy, czuwamy, trwamy na posterunku, w pożądanej chwili wstąpimy w szranki. Radia satelickie są jeszcze bardziej pasywne, przypominają zwrot angielski: „the Fleet in being”.

Radiostacje amerykańskie mają dzisiaj w pierwszym rzędzie obowiązek markowania. Mają przypominać światu i krajom zakurtynowym, że istnieje wielkie mocarstwo, które nie wyrzekło się prawa interesowania się tymi krajami, które zachowało w stosunku do nich pewne tytuły prawne, które z racji swej wagi i swego znaczenia nie może dezinteresować się żadną częścią globu, które respektuje wkład satelitów w cywilizację ludzkości, ich wielką przeszłość, ich więzy przyjaźni i krwi

ze Stanami Zjednoczonymi. Radiostacje amerykańskie muszą uczciwie powiadać narodowym zakurtynowym: „Na razie nie możemy dla was zrobić nic konkretnego. Nie zaryzykujemy dla was wojny, nie radzimy więc wam robić powstań ani ruchów. Ale niech ten nasz program w waszym języku, jego poziom, jego staranność, nasza uczciwość w informowaniu was o sytuacji międzynarodowej, nasza obiektywność w oświetlaniu wypadków, nasza dbałość o waszych rodaków, nasze wysiłki, by zapewnić trybunę i środki porozumiewania się z wami, dla waszych najwybitniejszych pisarzy i publicystów — niechżeż to wszystko będzie świadectwem naszego uczciwego stosunku do waszych spraw i naszej gotowości udzielenia wam pomocy, gdy tylko warunki po temu okażą się sprzyjające... Nie wiemy, niestety, kiedy ta godzina wybiję. Na razie, w miarę naszych możliwości, pragniemy postawić nasze środki największego mocarstwa świata, w służbie waszej kultury, waszego języka, waszych tradycji. Nie chcemy was pouczać, mamy nadzieję, że będziemy mogli was lepiej poznać i o was się jak najwięcej dowiedzieć. Niechżeż nasza dbałość o czystość waszego języka, o piękno waszego słowa mówionego, o wasz styl literacki, o waszych ziomków, którzy nam zrobili ten wielki zaszczyt i tę wielką radość, że zechcieli z nami współpracować, choć nie są naszymi współobywatelami, będą wam dowodem, że traktujemy nasze obowiązki wobec was serio, że nie chcemy was ani oszukać ani wyzyskać, że niczego wam nie pragniemy narzucać, że mamy respekt dla waszych praw i waszych tradycji, że macie w nas oddanego, wiernego i nade wszystko pewnego, lojalnego przyjaciela”.

Czy taki język, poparty stosowaniem go w praktyce, poparty autorytetem nazwisk, które dla słuchacza polskiego coś naprawdę reprezentują, poparty tą dawką liberalizmu i wolności słowa, bez których wszelkie zapewnienia brzmieć będą zawsze fałszywie, nie dałyby wyników? Byłbym wielce zdziwiony, gdyby nie dał.

W propagandzie zakurtynowej trzeba by przeprowadzić zasadnicze rozróżnienie między programami, przeznaczonymi dla słuchacza rosyjskiego, a tymi, które są zaadresowane do słuchacza satelickiego. Naród rosyjski jest beneficjentem imperium sowieckiego, satelici są tego imperium ofiarami. Stąd dla Rosjan sprawa komunizmu ma znaczenie pierwszorzędne. Dla satelitów komunizm jest zjawiskiem wtórnym, „by-product” panowania rosyjskiego. Bez przewagi rosyjskiej, bez czerwonej armii, bez groźby interwencji Moskwy, ustrój komunistyczny nie utrzymałby się ani godziny nie tylko w Polsce i na Węgrzech, ale także w Czechach i u pozostałych satelitów. Być może kraje te miałyby bardzo radykalne ustroje spo-

leczne. Ale to inna sprawa. Stąd długie kobyły na temat komunizmu wydają mi się dla satelitów zupełnym nieporozumieniem. Ludzie mają komunizmu po uszy: nie otwierają głośników zachodnich, by znowuż wysłuchiwać tej samej sieczki o marksizmie, choćby przyprawionej innym sosem.

Są dalsze różnice. Rosja nigdy nie była częścią Europy. Jest to kraj pozaeuropejski, który był jej obcy, nie dzieli jej wspaniałej spuścizny. Ale satelici są częścią Europy. Tęsknią do niej. Chcą wrócić na jej łono. Mają ten kult niuansów, to zainteresowanie elementami niematerialnymi, które odróżniają cywilizację europejską od amerykańskiej. Na to nie ma rady. Dla Rosji istota sporu może istotnie sprowadza się do antynomii komunizm — American Way of Life, ale dla Polaka na pewno tak nie jest. Dla nas istnieje inny dylemat: Europa czy Rosja? Dla nas podstawowym pytaniem jest: gdzie przebiegają granice Europy? Na Łabie, jak dzisiaj? Na Odrze? Na Bugu? Na linii traktatu ryskiego? Na Dnieprze? Jeszcze dalej? We wszystkich krajach satelickich pytanie to wysuwa się na czoło. Ale nigdzie silniej jak w Polsce. Każda polityka, która o tej prawdzie zapomina, jest a-realna. Każda propaganda, która o tej prawdzie zapomina, wisi w powietrzu.

Z tej prawdy politycznej wypływa wskazówka propagandowa. Propaganda, nastawiona na gloryfikację „American Way of Life”, może mieć sens dla Rosji. Rosja może od Chruszczowa przerzucić się do Nixona — why not? Dla satelitów, dla ich inteligencji przede wszystkim, Europa jest bliższa niż St. Zjednoczone. Polska, gdy tylko wyrwie się z kleszczy rosyjskich, stanie wobec dawnych problemów, odwiecznych dylematów: czy szukać oparcia i natchnienia najbliżej, to znaczy w geograficznie najbardziej naturalnym partnerze, czyli w Niemczech, czy też szukać dalej, to znaczy w pierwszym rzędzie we Francji? Osobiście nie wątpię, że odpowiedź wypadnie w sensie francuskim. Niemcy pozostawiły zbyt straszne w Polsce wspomnienia, by pokolenie, które pamięta Oświęcim, mogło nad tym przejść do prądu dziennego. Anglia dobrowolnie wyrzekła się swych szans i możliwości europejskich, kiedy poświęciła Europę na rzecz mrzonek imperialnych: wyrzekła się Europy dla Commonwealthu, a straciła i jedną i drugie. A już zwłaszcza dzisiaj, gdy Europa powstaje znowu pod egidą francuską, gdy prestige francuski wzrasta, gdy dawny spór francusko-niemiecki nareszcie schodzi do niebytu — czyż może ktoś rozumny wątpić, że frankofilia budzi się w Polsce ponownie.

Toteż propaganda amerykańska pod adresem satelitów musi wyjść z założenia, że tutaj występuje w roli alianta, szermierza *idei europejskiej*, zjednoczenia Europy. Dla inteligentów — Polaków, Czechów, Węgrów (a niedoceniecie roli inteligencji jest błędem!) — to co się dzieje w Stanach jest w pewnym stopniu obce i dalekie: ich interesuje okrzepnięcie naszego kontynentu. Ich mniej interesuje, jak żyje robotnik w Pittsburgu, ale bardziej jak jemu — oraz inteligentom — powodzi się w Duesseldorfie, i w Le Creusot, i w Mediolanie. Wzrost stopy życiowej w Niemczech Zachodnich spowodował powstanie we Wschodnim Berlinie, wzrost stopy życiowej w Austrii stał się u kolebki wypadków węgierskich.

Stąd wniosek: programy dla satelitów muszą być „axés” na Zachodniej Europie, muszą być transmitowane z Europy, z Niemiec, czy lepiej z Francji.

Amerykanie mają fenomenalne talenty techniczne, mają wielkie zdolności organizacyjne (choć na odcinku administracji państwowej te talenty nie wychodzą na jaw), mają poza tym dużo prawdziwej, nie udanej, życzliwości i dobrej woli. Natomiast Amerykanie mają niestety niewielkie talenty propagandowe: i znowuż niestety, są często zarozumiali, nie znoszą krytyki, obrażają się łatwo i ludzi poważnych, niezależnych rzadko pytają o zdanie. Każdą krytykę, wszelkie uwagi skłonni są uważać za sabotaż, za „działalność anty-amerykańską”, za objaw wrogości. Być może, takie nastawienie jest typowe dla wszystkich „wielkich”: Francja za Napoleona, Niemcy za Hitlera, Anglia za Wiktorii, a Rosja za Stalina też nie znosiły jakichkolwiek uwag krytycznych. Kiedyś czytałem felieton jakiegoś dziennikarza amerykańskiego, który dowodził że Stany Zjednoczone znacznie bardziej potrzebują jakiegos „Ear of America”, niż „Voice of America”. Najlepiej byłoby, gdyby jedna i ta sama instytucja mogła służyć i jako głos, i jako ucho.

Głos Ameryki powstał pod przemożnym wpływem radia sowieckiego, był na nim nieświadomie skopiowany. Za czasów Stalina kontakty dyplomatyczne między ZSSR a resztą świata właściwie ustały: dyplomaci sowieccy, w obawie o życie, stali się głuchoniemymi, not nie wymieniano, w Moskwie dyplomaci

zachodni nie mieli żadnych rozmówców: w tych warunkach pytyjskie wypowiedzi radia Moskwy stały się często jedyną wskazówką, co do zamiarów sowieckich, zaczęto je studiować, jako jedyne źródło informacji. Stąd, w sposób dość naturalny, w biurach Voice of America, powstała tendencja do uważania własnych programów, za miarodajne wypowiedzi polityki amerykańskiej, za namiastkę dialogu Wschód-Zachód. Nigdy tak nie było, bo nawet w czasach najgorszego sowieckiego izolacjonizmu Sowiety czerpały swe informacje z *New York Timesa*, *Congressional Record* etc., a nie z nasłuchu Voice'u, ale to przecenienie oficjalnego charakteru tej radiostacji mogło mieć za życia Stalina jakieś pozory uzasadnienia. Ale dzisiaj? Dzisiaj, kiedy nawet specjaliści od spraw sowieckich nie są w stanie pamiętać jednej dziesiątej oświadczeń Chruszczowa, jego rozmów z niezliczonymi „visitors” zarówno ze Stanów, jak i z innych krajów, kiedy inni dygnitarze i dyplomaci, sowieccy zaczęli też gadać, kiedy tych kontaktów namnożyło się na wszystkie strony? Gdy pracowałem w biurach monarchijskich Głosu Ameryki do mych obowiązków należało przeglądać nasłuchów („monitoring”) radiostacji zakurtynowych: co dzień przychodziły tego foliały, ważące po kilkanaście kilo: i nawet ja, mały referent bez znaczenia, nie mogłem przeczytać, cóż dopiero zapamiętać, jednej setnej tej lawiny. A ile z tego dochodziło do wiadomości prawdziwie ważnych czy tym bardziej odpowiedzialnych urzędników, nie mówiąc naturalnie o dygnitarzach Departamentu Stanu? Nic! Podobnie mogą na niewidziane zaryzykować, jak wygląda nasłuch „Głosu Ameryki” w Polsce czy w Rosji. Olbrzymie pliki hektografów zaznaczają: „Waszyngton, godzina 23-cia. Komentarz polityczny w języku polskim powiada, że Ameryka pozostanie wierna sprawie wolności i podkreśla, że w Genewie Herter dalej zacieśnił solidarność Zachodu”. A na wyższym szczeblu, jak to wygląda? Nieszczęsny referent, który musi czytać te foliały, dostaje się raz na tydzień czy rzadziej do naczelnika wydziału prasowego, wyjątkowo do wicedyrektora politycznego, który, pracujący i zdenerwowany, pyta go: „Panie, jak tam, radiostacje amerykańskie, czy wciąż nas szaprią? Ale w dwóch słowach! — Panie Naczelniku, właśnie wczoraj był komentarz bardzo ciekawy, pan pozwoli? — W dwóch słowach mówię, jaki ton? — No, chłodny, ale nie specjalnie agresywny... — Dość, dziękuję, zobaczę pana za miesiąc, teraz nie mam czasu...”. Tak to wygląda w praktyce po obu stronach Żelaznej Kurtyny. Nic więc bardziej niepotrzebnego, niż ci wszyscy cenzorzy i doradcy polityczni, cała ta piramida kontrolerów, te mozolne poprawianie tekstów, gryzmolenie, instrukcje itd. Pewne znaczenie ma ogólne nastawienie, ogólna tendencja: ale „wording” nic nie znaczy — w dzisiejszym stałym potopie słów niuanse zanikają: byleby nie było groźby rozpętania wojny jutro lub zrzucenia bomby atomowej za dwie godziny — cała reszta właściwie ujdzie.

Na tle tej sytuacji uważam obsesję radiostacji, czy to zakurtynowych, czy Voice of America, czy jakichkolwiek innych, dotyczącą kontroli politycznej, cenzury, *security*, za marnowanie czasu, pieniędzy, energii. W radiostacjach nie ma żadnych spraw tajnych: albo coś idzie na powietrze, i wówczas jest powszechnie znane, albo nie idzie i wówczas nie istnieje. Komentarze a już tym bardziej newsy nie mają znaczenia dokumentów dyplomatycznych. Polakom nieraz się zdaje, że przez personalia można „wplynąć” na polityczne nastawienie radiostacji. Jest to absolutne złudzenie. Nawet na takiej Kubie powstańcy zaczynają od opanowania radia: każdy rząd tak postępuje. Nie ma rządu na świecie, który by pozwolił czy to swoim obywatelom czy tym bardziej cudzoziemcom, uprawiać w radio „własną” politykę: zawsze będzie ona w głównych zrębach dyktowana przez dysponentów władzy państwowej w kraju nadającym. Jeżeli rząd amerykański chce zwalczać Gomułkę, radiostacje amerykańskie będą go zwalczać; jeżeli chce go oszczędzać, te same radiostacje będą go oszczędzać — i taki czy inny skład polskiego personelu na te podstawowe decyzje nie może mieć żadnego wpływu.

Każdy wyrobiony dziennikarz wie o tym doskonale: toteż dobieranie „godnych zaufania” dziennikarzy jest bezcelowe. Pamiętam, jak po Jalcie St. Mackiewicz ciskał się w jakiejś broszurze na polskiego spikiera BBC, który „z absolutnym spokojem” odczytywał przez mikrofon decyzje jałtańskie. A co miał robić? Osobiście, jako spikier czy komentator radia amerykańskiego, miałem wątpliwości, gdy musiałem pisać czy odczytywać krzepiące oświadczenia, w które sam nie bardzo wierzyłem: ale uważam, że naród polski ma prawo do najbardziej niepomysłnych informacji, gdy te są prawdziwe.

Słowem nie wyobrażamy sobie, że radio może zastąpić politykę: że jest częścią, czy tym bardziej namiastką dyplomacji: nie bawmy się w tajemnice służbowe na tle radiowym; a nade wszystko nie róbmy z radia machiny biurokratycznej nie róbmy z radia przytułku dla bezrobotnych dyplomatów, polityków, referentów, speców, socjologów czy prowincjonalnych adwokatów. Radio musi być przede wszystkim domeną *dziennikarzy i pisarzy*. I to dobrych pisarzy i dziennikarzy, a nie wybiórków. Voice of America powinien całą uwagę skoncentrować na programie.

Program... Przede wszystkim strona techniczna. Każda stacja, również Voice, lubi mówić o „swoich słuchaczach”. Otóż ci „właśni słuchacze” istnieją tylko przy nadawaniu jeżeli nie 24 godzin, to przynajmniej sześciu i więcej, i to jednym ciągiem. Nikomu się nie chce pamiętać tego labiryntu godzin, ani fal. Sam, pracując w domu, mam prawie stale nastawione radio na falę 1819, Paris Inter — France Un, nawet w nocy. Widocznie Edward Raczyński, choć anglofil (tak jak ja jestem frankofilem), też cierpi na bezsenność, bo też słucha stale Routes de Nuit, nocnego programu radia paryskiego — gdyż od północy do 6-ej rano BBC Home Service nie działa. Trzeba nadawać o ile możliwości 24 godziny, zawsze na tej samej fali, i nigdy powtórek: jeżeli daje się newsy sprzed paru godzin, to traci się słuchaczy. Audytorium chce mieć wrażenie, że radio podaje zawsze świeże „flaczki” — nikt nie lubi odgrzewanych kotletów.

Ten program musi zawierać newsy, zwięzłe, ale z ostatniej chwili, bez propagandy, bez wodolejstwa — i co godzinę. Radio musi być bezwzględne wobec protokołu: nie może zaczynać od Eisenhowera czy de Gaulle'a, jeżeli centrum zainteresowań jest poza Białym Domem czy Elysée. Redaktor dyżurny powinien mieć sto procent decyzji w kurtyzowaniu przemówień „bossa”, które wydają mu się nieciekawe, nieaktualne czy okolicznościowe. Jeżeli tylko radio robi się na użytek i pod gust przełożonych a nie słuchaczy — to już koniec. Gdy jest upał, na czele newsów jest pogoda. Wszystkie rządy mają tendencję do tworzenia sztucznych „kryzysów”, lansując wiadomości, że „w Genewie panuje najgłębszy pesymizm”, w nadziei, że to Gromykę przestraszy. Korzyść z tego dla radia żadna.

Newsy, muzyka, piosenki, koncerty — to jest część murawiana. Trudności zaczynają się, gdy wychodzimy poza te elementarne konieczności, plus zapowiedzi spikierów, plus dobre głosy. Co więcej? Naturalnie dysponentów radiowych interesują przede wszystkim komentarze polityczne. Otóż to sprawa arcytrudna. Na ogół bossowie radiowi widzą ją w sposób niezwykle prymitywny i uproszczony. Na samym dole drabiny hierarchicznej jest komentator, zwany „writerem” czy „senior writerem” (w rzeczywistości wszyscy są jak najbardziej „junior”). Tych skrybów ma być możliwie najwięcej. Bierze się ich z ulicy w naiwnym przekonaniu, że każdy może taki komentarz wypocić. W rzeczywistości w każdym kraju utalentowanych publicystów politycznych, o odpowiednim poziomie, jest najwyżej kilku, często nie ma ani jednego. W samej Ameryce jest ich może dziesięciu czy najwyżej dwudziestu. Reszta się do niczego nie nadaje, i nigdy się nadawać nie będzie. Będzie wodolejstwo w rodzaju frazesów Ehrenburga

z przedwojennego „Kuriera Porannego”, (żeby żyjących nie wymieniać). Tej kolekcji skrybów daje się pseudonimy, oraz instrukcje. Potem ich wycpiny poprawia się. Nieraz kilku panów oddaje się tej zbożnej pracy. Rezultat jest opłakany. Te „komentarze” są nudne, banalne, nie do czytania i nie do słuchania. Nie mają żadnego ciężaru gatunkowego. Nie można zmusić słuchacza do słuchania 30 komentatorów. Będzie wspańiale, jeżeli się go skłoni do słuchania dwóch. Jeżeli zaś chce się tego dokonać, to trzeba by ci nieliczni publicyści radiowi sami pisali i sami wygłaszali swoje komentarze. Spikierka wskazana dla newsów — bezosobowa i bezbarwna — jest w każdym razie fatalna dla komentarza, który musi być wygłaszany z pasją, z przekonaniem, w ujęciu osobistym. Komentarze ogromnej większości radiostacji są po prostu gładzeniem. Zamiast zjednywać zwolenników odstraszaają ich. Zdawałoby się, że opłakane rezultaty radiostacji komunistycznych, do zdudzenia recytujących właśnie takie zbiorowe prawomyślne wycpiny, powinny były wszystkich przekonać. Niestety, tak nie jest. Zachodnie stacje rywalizują z komunistycznymi o rekordy banału, nudy, płaskości. Niekiedy nawet te zawody wygrywają.

Bon. A co dalej? Czym wypełnić program? Podstawą każdego wielkiego dziennika jest sieć własnych korespondentów zagranicznych. Bez nich nowoczesna praca jest nie do pomyslenia. A tymczasem radiostacje zachodnie nadające programy za Żelazną Kurtynę zupełnie ten podstawowy wymóg ignorują. W BBC cały program idzie z Londynu, w RTF z Paryża, a w Voice z Waszyngtonu. Tymczasem powinno być odwrotnie: rozgłośnia łączy, się z Waszyngtonem, Genewą, Rzymem, Hamburgiem, Berlinem, Wiedniem, i korespondenci mówią bezpośrednio przez telefon do mikrofonu: ożywia to nieprawdopodobnie program, ujmuje słuchacza, który ma wrażenie, że sam podróżuje, że jest wszędzie obecny. Obok tych newsowych korespondencji, muszą być i dłuższe, bardziej sytuacyjne, ale zawsze korespondencja musi być istotą rzeczy. I znowu przy korespondentach powiem to, co już powiedziałem o komentatorach politycznych: na zjazdy międzynarodowe nie można wysłać dwudziestu ludzi, bo tyłu nie ma, bo stosunki wyrobić sobie jest trudno, bo dopiero wieloletnia wprawa daje wyczucie, wdech, orientację. I wartość tych migawek radiofonicznych zależeć będzie właśnie od tego, że wyjdą spod pióra Polaka, czy Węgra, czy Czecha, a nie będą tłumaczone z relacji korespondenta — Amerykanina. Naturalnie ten sam korespondent powinien obsłużyć i spotkania Eisenhower-de Gaulle, i Eisenhower-Chruszczow, i „szczyt”, inaczej cały ten kłopot się nie opłaca. Obok tych korespondentów politycznych, stałych i podróżujących, potrzebny jest sztab korespondentów-

felietonistów, czy korespondentów od życia kulturalnego, czy nawet — to jest oczywiście najmniej interesujące, bo można te dane opracować na podstawie danych agencyjnych — korespondentów sportowych: ale w każdym razie nie ma sensu wydawać miliony na stacje nadawcze, na studia, na administrację, a potem skąpić na sieć korespondentów: bez niej żadna radiostacja nigdy się propagandowo nie opłaci.

Bardzo trudnym działem jest dział rozrywkowy. Jak straszliwie łatwo jest wpaść w trywialność, w wulgarność i w nudę! Tu znowuż nie widzę innego środka zaradczego, jak zatrudniać jak najwięcej pisarzy, jak najwięcej aktorów i pozostawić im maksimum swobody. Kontrola zawsze i wszędzie zabija talenty, chęć do pracy i oryginalność myśli. Wierzę w skuteczność „złota pobudek”. Książę Ferrary, który zamówił u Tycjana obraz „Bacchus i Ariadna”, czekał nań 10 lat, i bez końca wysyłał do mistrza ambasady, choć z Ferrary do Wenecji było zaledwie sto km. Ale wszystkie te zachody w końcu opłaciły się, obraz ten jest wprawdzie dzisiaj ozdobą nie Zamku w Ferrarze, ale National Gallery w Londynie, lecz po dziś dzień go podziwiamy. Naturalnie arcydzieła radiowe żyją krócej od motyla, ale też jeżeli się chce mieć coś dobrego, to trzeba pisarzy, producerów, aktorów, spikierów hołubić, przepłacać, a nie traktować, jak pacholków, jak wyrobników, jak funkcjonariuszów. Urzędożenie zabija dzienniki, i zabija radio. Ludzie pióra są kapryśni, nieznośni, humorzaści, niepunktualni — i na to nie ma rady. Trzeba to wszystko uwzględniać. Jeżeli ktoś chce mieć wzorowy urząd — to może go mieć: a obok programy równie apetyczne jak rycyna.

Słyszę już jeden zarzut: ależ to rujnujące! Tak jest: radio jest kosztowną rozrywką, i ubodzy niech się w radio nie bawią. Trzeba sobie powiedzieć: wydamy na nasze radio tyle co na jedną bombę atomową, albo trzeba tej zabawy w ogóle nie rozpoczynać. Z dwójga złego, lepiej już wydawać na propagandę radiową, niż na bomby atomowe. Radio jednak się bardziej opłaci. Radiostacje mogą poza tym porobić znaczne oszczędności. O ile mogłem się zorientować, wydają one olbrzymie sumy na rozbudowaną ponad wszelki sens administrację, na niezliczonych kontrolerów, na archiwa, na tysiące nierobów i parazytów. Zawsze i wszędzie liczba piszących jest znikoma w porównaniu z olbrzymimi sztabami administracyjnymi. Mógłbym z własnych doświadczeń przytoczyć ładne rodzyнки. Ale nie chcę tym obiektywnym rozważaniom nadawać piętna vendetty osobistej.

Teraz przechodzę do ostatniego punktu, najdonioślejszego z naszego emigracyjnego punktu widzenia: omówienie roli Voice'u (i pozostałych radiostacji) jako pracodawcy.

Voice of America rezerwował wszystkie stanowiska kierownicze dla obywateli amerykańskich i w ten sposób pogwałcił podstawową zasadę życia amerykańskiego (*American Way of Life*), która w dużej mierze zrobiła wielkość tego kraju i umożliwiła zasymilowanie milionów immigrantów: *same work, same pay*. Dzięki tej dyskryminacji skarb Stanów Zjednoczonych zaoszczędził pewną ilość dolarów, ale ta oszczędność należała i należy do najbardziej kosztownych, jakie można sobie wyobrazić. Wszędzie gdzie działa — we Francji, we Włoszech, w Anglii — wywołuje pretensje i żale, wykopała przepaść między Amerykanami a ich kolegami „tubylcami” (*locals*). Gdyby Amerykanie z miejsca wyrzekli się tej dyskryminacji, połowa antyamerykańskich nastrojów w Europie znikłaby z miejsca, i to nie tylko wśród ubogich Dipisów, ale także wśród Niemców, Francuzów, Włochów i Anglików. Gdyby Senat amerykański chciał mnie na temat antyamerykańskich nastrojów przesłuchać z miejsca bym powiedział, że trzeba przywrócić starą, uczciwą, szlachetną amerykańską zasadę: *same work, same pay*, a także *give everybody a chance*, oraz *no discrimination on account of race, origin, religion... and passport!*

Ameryka jest wielkim i potężnym krajem, a Amerykanie mają wiele cech sympatycznych, godnych podziwu, zazdrości naśladowania. My, Europejczycy, jesteśmy od nich różni, co jest i naturalne, i konieczne: inaczej nasza wielka cywilizacja europejska, nasz wkład w historię świata, przestałyby istnieć. Ale nie tylko bliższe stosunki i poznanie się leżą w interesie naszej biednej małej Europy, leży to również w interesie samych Amerykanów. Yankesi, źle orientujący się w sprawach europejskich, nie znający języków, historii, obyczajów naszego kontynentu, będą popełniać groźne w skutkach błędy, za które my wszyscy będziemy płacić. Obcość między Amerykanami a Europejczykami prowadzi stale do niebezpiecznej iluzji: że istnieje jakaś wspólnota rasowa zwane *the English-speaking race*; że ta „rasa” ma wspólne cechy, które ją wyróżniają od reszty świata, które łączą w jakąś tajemniczą wspólną rodzinę Mr. Stanley Stasiaka z Buffalo N.Y., i Murzyna Mango-Mwada z Basutolandu — to wszystko w imię jakichś mitów „anglosaskich”, dziedzictwa Plantagenetów i reformacji „Good Queen Bess”. Każdy mit rasistowski jest zadatkami niewypowiedzianych katastrof dla całej ludzkości. Jeżeli ktoś będzie dowodził, że mit „anglosaski” jest mniej groźny od mitów

Walhalli, można się na to zgodzić: ale najlepiej budować przyszłość ludzkości na wyparciu się wszelkich mitów rasowych, z panslawizmem włącznie. Zjednoczona Europa jest m.in. dlatego tak bardzo pożądana, ponieważ z natury rzeczy wyklucza mit łaciński, czy germański, czy słowiański, czy *a fortiori* anglosaski. W naszym wspólnym europejskim interesie leży, by więzy Ameryki z kontynentem europejskim jak najbardziej zacieśnić, by unikać wszystkiego, co robiłoby wrażenie istnienia w łonie społeczności Zachodniej jakiejś wyższej, potężniejszej jednostki, jakiegoś wyłącznego i niedostępnego klubu rasy anglosaskiej. Na szczęście ogromna większość Amerykanów odwraca się od tej rasowej czy choćby językowej koncepcji. Z odruchu trzeba zrobić jednak politykę: trzeba wszystkim Europejczykom dawać co dzień nowe dowody, że ani „rasa”, ani język angielski nie pozwalają na branie Stanów Zjednoczonych przez kogokolwiek w pacht.

W fabrykach amerykańskich istnieją specjalne wydziały, które nazywają się *human relations*. Zadaniem tych wydziałów jest ułatwianie nie tylko zgodnego współżycia wszystkich pracowników danego przedsiębiorstwa, nie tylko troska o osobiste ich sprawy, ale stworzenie jakby wielkiej rodziny, naprawdę połączonej węzłami koleżeństwa i serdecznej przyjaźni. Znowu nie chcę się bawić w narzekania, ale wydaje mi się, że sami kierownicy amerykańscy Voice'u nie mogli sobie robić żadnych złudzeń na temat zupełnej obcości i oschłości, która panowała w stosunkach z Amerykanami — prawdziwymi i paszportowymi — i pomiędzy poszczególnymi sekcjami. Znowuż daję sobie sprawę, jak błaho wyglądają te rozważania, gdy nie są poparte przykładami. Faktem jest jednak, że po siedmiu latach pracy dla wielkiego biura, pracownicy emigracyjni nie nawiązali żadnych kontaktów ze społeczeństwem amerykańskim, nie mają żadnych osobistych związków z dawnymi szefami, nie znają nawet nazwisk swych byłych kolegów z innych sekcji. Czy stan taki jest pożądanym? Niech ludzie dobrej woli sami na to odpowiedzą!

Zadowolony pracownika nie zależy tylko od samych poborów. Przyjemne, miłe, koleżeńskie stosunki z szefami są mu tak samo niezbędne. Zainteresowanie pracą jest inną koniecznością. Świadomość, że się ma samemu coś do powiedzenia, że się ma możliwość polepszenia własnej pozycji, zwiększenia swego wpływu, wyrobienia sobie nazwiska ma także zasadnicze znaczenie. Czy tak było, czy tak jest? Znowuż wolę pozwolić

osobom kompetentnym aby wyrobiły sobie o tym własne zdanie!

Wśród Amerykanów nie brak ani dobrych reporterów, ani dobrych pracowników agencji, ani bystrych publicystów, ani wyrobionych korespondentów. Wiem, że każdy inżynier, który miał to szczęście, iż praktykował choćby rok tylko w amerykańskiej fabryce wywiózł z tego pobytu ogromny bagaż doświadczeń, nauki, wiedzy praktycznej. Czy my, którzyśmy byli zatrudniani w licznych i potężnych biurach amerykańskich, możemy z ręką na sercu powiedzieć, iż wiele tam się nauczyliśmy. Czy była to nasza tylko wina? Wśród „lokalnych” pracowników sekcji bułgarskiej znajdował się były wychowawca króla Symeona, którego bieda zmusiła do porzucenia tego odpowiedzialnego zajęcia dla wyrobnictwa skromnego tłumacza z angielskiego na język bułgarski. W tej sekcji pracował 50-letni poeta, który za ciężko zarobione pieniądze własnym kosztem wydał olbrzymi tom wierszy: cały promieniejący przyszedł mi wręczyć to tomisko; próbowałem je czytać, i niestety musiałem zrezygnować z powodu trudności językowych, nie wiem więc, czy to był może jakiś nowy Rilke: ale wiem dobrze, co myślał o swej pracy i o stosunku swego przełożonego do niego. Gdy pracowałem w MSZ-ecie, nieraz na obiadach i przyjęciach oficjalnych zastanawiałem się, dlaczego życie towarzyskie korpusu dyplomatycznego, które mogłoby być tak miłe, i zabawne, i przyjemne musiało się wyradzać w tak straszłą piłę. Gdy pracowałem w Głosie Ameryki, nieraz myślałem, dlaczego ludzie, którzy mają tyle pieniędzy, tyle dobrej woli, tyle możliwości, nie potrafili stworzyć serdecznej wkoło siebie atmosfery, dlaczego nie potrafili stworzyć naprawdę szczęśliwej, zadowolonej rodziny? Tak łatwe to było zadanie, tak wdzięczne, tak popłatne!

Jak wiadomo, po siedmiu latach, życie monachijskiej placówki Voice of America skończyło się z dnia na dzień dekretem władz wyższych, rzekomo z powodów oszczędnościowych. Te oszczędności wyniosły pono milion dolarów rocznie. Z drugiej strony studia, zbudowane wielkim kosztem, teleskryptory, biura wynajęte na długie lata, mieszkania wynajęte dla pracowników amerykańskich, stacje nadawcze — to wszystko pozostaje niewykorzystane. Oszczędności są więc na pewno niewielkie.

Pracownicy amerykańscy monachijskiego Voice'u dostali wszyscy jakieś inne stanowiska i posady. Chwała Bogu, i nikt im tego nie zazdrości: na pewno na nie zasłużyli i będą u nich dalej chwałebnie pracować dla zapewnienia ludzkości lep-

szej i szczęśliwszej przyszłości. Ale los tak zwanych lokalnych pracowników był przeważnie opłakany. Nie chcę mówić o Polakach: nic obrzydliwszego, niż publiczne wynoszenie własnych pretensyj. Ale weźmijmy sekcję litewską. Składała się ona z ludzi w znacznej części starych, schorowanych, bardzo nieszczęśliwych, ex-dipisów w Niemczech. Była tam miła kobieta, która nawet zawsze ze mną mówiła po francusku, i która z trudem utrzymywała ze swych poborów chorego męża i dwoje dzieci. Był jakiś biedny ex-urzędnik litewskiego MSZetu, który utrzymywał trzy córki-gruzliczki, a więc nie mogące uzyskać wizy migracyjnej do Stanów Zjednoczonych. I tak dalej, i tak dalej. Gdy wszyscy ci ludzie znaleźli się z dnia na dzień na bruku, co mieli robić? Kraj ich nie jest nawet nominalnie niepodległy, jest po prostu „obłastią” Rosji Sowieckiej. Pracą dla Amerykanów odcięli sobie resztki możliwości powrotu do kraju, a także pracy we wszystkich instytucjach międzynarodowych, jak UNO, Unesco, jak Międzyn. Organizacja Atomowa w Wiedniu, gdzie dyrektorem personalnym jest Polak „warszawski”, jak Międz. Biuro Pomocy dla Uchodźców w Genewie, gdzie znowuż roi się od Polaków „warszawskich” którzy takich ex-dipisów, ex-„propagandzistów” amerykańskich nigdy do niczego nie dopuszczają. Gdzie więc tacy bez państwowcy, mają szukać szczęścia? W oparciu o co, i o kogo, mają ci ludzie rozpoczynać nowe życie, w obcym kraju, wyrzuceni raz jeszcze z wszelkiego życia normalnego i w wieku, w którym normalnie myśli się o emeryturze, a nie o nowym starcie? Ludzie ci nawet nie dostali należnej im z mocy ustaw niemieckich odprawy w wysokości miesiąca pensji za każdy rok przepracowany w tej samej instytucji. Ci Litwini nie byli polofilami, ale gdy przyszła feralna godzina, zwrócili się do mnie, bym coś dla nich próbował zrobić, bym przynajmniej gdzieś na świecie próbował protestować przeciwko krzywdzie im wyrządzonej. Co niniejszym czynię. Jest to nasz obowiązek wobec pobratymców.

Spędziłem kilka lat w Ameryce, i zdaję sobie sprawę, że naród amerykański jest narodem „o płynnych kadrach”, by użyć współczesnej terminologii komunistycznej: zmiana zawodu, i to wielokrotna, jest w Ameryce nie wyjątkiem, a regułą. W społeczeństwie bogatym, gdzie możliwości są tysiączne, ten system może być bardzo korzystny. Zdaję sobie również sprawę, że w amerykańskiej biurokracji system rugów czy masowych redukcji, związanych z „reorganizacją” czy „oszczędnościami”, może też być uzasadniony. Ale w Europie jest inaczej. Stałość rządowej posady jest jedną z podstaw europejskiej cywilizacji, co więcej europejskiego myślenia. Być może kiedyś, tę nadmierną sztywność posad rządowych uda się w Europie zmienić. Na pewno nie dzisiaj, kiedy cała Europa rozbrzmiewa od skarg

pracowników umysłowych, kiedy trudno nawet ludziom czterdziestoletnim znaleźć nową posadę, nie mówiąc o zmianie zawodu. A cóż dopiero w wypadku nieszczęśliwych bezpaństwowców, dipisów? Jak można sobie wyobrazić, że ci ludzie, sterani, schorowani, zmęczeni, przerażeni mogą w wieku lat 50 i więcej znaleźć nowe podstawy egzystencji?

Ale teraz przechodzę do ostatniego punktu, który mi najwięcej leży na sercu. Sam osobiście należę do korporacji ludzi pióra: w tej korporacji zajmuję stanowisko skromne, marginesowe, ale do niej należę. W moim wieku zmiana zawodu jest już niemożliwa: więc choć niewymownie żałuję, że nie wybrałem techniki, że nie studiowałem fizyki atomowej, muszę już dalej żyć z pióra, choćby ten zawód mi jak najbardziej obrzydł. I tak samo jestem skazany na pisanie po polsku do końca życia: znam kilka języków, ale pisać literacko można tylko w jednym: w tym, w którym zaczęło się pisać mając lat dwadzieścia. Ani z mego zawodu, ani z mej narodowości wyskoczyć nie mogę, choćbym nie wiem jak się o to starał i nie wiem jak o tym marzył.

I w podobnej sytuacji są niemal wszyscy polscy pisarze, przynajmniej ci wszyscy, którzy przekroczyli czterdziestkę. Chwała Bogu, jeżeli niektórzy z nich znajdą tłumaczy i jakiś rynek na Zachodzie: ale nikt chyba nie zdoła się z tego zachodniego rynku utrzymać: o ile wiem, dokonał tego z pisarzy „zakurtynowych” jeden tylko Koestler, reszta ma *succés d'estime*, ale nie dochody. Wszyscy ci pisarze są skazani więc na koło odbiorcówomalże znikome: być może liczby te mogą wzrosnąć dwukrotnie, ale kalkulacji bytu emigracyjnego pisarza to nie zmieni. Nawet w bogatej Anglii z jej imperium i rynkiem amerykańskim w zanadru zaledwie 10% pisarzy żyje wyłącznie z książek czy artykułów: reszta dorabia w inny sposób. Cóż dopiero w wypadku pisarzy emigracyjnych!

Ci pisarze są w nędzy. Nie podaję nazwisk, bo nikt mnie do tego nie upoważniał, ale sam fakt jest bezsporny. By móc pisać, utrzymywać się z pracy tak straszliwie wyczerpującej nerwowo, pisarz, publicysta musi nie tylko żyć jak wszyscy, to znaczy mieszkać, ubierać się, myć się, leczyć się, jeść, pić, mieć opał, wyjeżdżać, odpoczywać, podróżować, ale musi mieć jeszcze środki na jeden rodzaj wydatków zawodowych, i to bardzo dużych: na zakup periodyków, gazet i książek. W Polsce wszyscy znani mi publicyści mieli olbrzymie biblioteki, po 10 tysięcy tomów i więcej: Estreicher, Rosner, Matuszewski, Mackiewicz, Stroński, wszyscy inni. Tak samo poeci: Tuwim, Słonimski, Wierzyński, Baliński. A teraz pytam się z czego ten koczujący, bezdomny pisarz emigracyjny, bez własnego kąta, bez żadnych stałych dochodów, bez budżetu ma kupować książki? A jak nie ma nawet słowników, nawet

encyklopedii, nawet minimum tak zwanych *reference books* — to jak może odpowiadać najskromniejszym wymaganiom swego zawodu: znajdować nową pożywkę umysłową, śledzić rozwój myśli współczesnej, być *au courant* jakiejś specjalności, wychowywać kształtowanie się mowy polskiej? Pisarz bez biblioteki musi stać się grafomanem.

Rząd amerykański, społeczeństwo amerykańskie mają zrozumienie dla konieczności zabezpieczenia podstaw bytu emigracyjnym technikom i profesorom uniwersytetu. Rozumieją, że profesor wyższej uczelni musi mieć około sześciu tysięcy dolarów dochodu rocznego, by móc owocnie i pożytecznie pracować. Naturalnie wśród tak zatrudnionych profesorów jest pewna ilość śmiecia: tak jest zawsze i wszędzie. Tak samo w laboratorium wielkiej firmy, która angażuje 500 naukowców, będzie pewna ilość ludzi do niczego. Są to normalne zjawiska.

Amerykanie rozumieją, że emigracja nie składa się z samych robotników, majstrów, rozumieją potrzebę wspomagania lekarzy, specjalistów, uczonych, profesorów. Należy im się na to szczerza wdzięczność. Ale emigracja tak samo potrzebuje poetów, pisarzy, essayistów, publicystów, dziennikarzy. Potrzebuje też aktorów, artystów, malarzy, kompozytorów, filozofów, muzyków. Potrzebuje wreszcie, i to przede wszystkim, wybitnych polityków, mężów stanu. Tylko to już jest zupełnie inne zagadnienie. Natomiast jestem przekonany, że w hierarchii społecznej pisarz ranżuje tuż po mężu stanu, a przed technikiem, przed profesorem, przed działaczem, przed generałem, przed wydawcą, przed administratorem, przed businessmanem. Pióro jest straszliwą potęgą: wywalczyć można nim niezmiernie wiele, jeżeli się da znośne warunki tym, którzy tym orężem władać i szermować umieją.

Na całym świecie radiostacje stanowią tradycyjny już dzisiaj środek subwencjonowania braci pisarskiej. Tak jest w Anglii, we Francji, w Stanach, w Niemczech. Tak powinno być i w stosunku do pisarzy emigracyjnych, i ten obowiązek obciąża w stosunku do nich Voice of America w takimże stopniu, co i Free Europe, BBC i Radiotélévision Française.

Trzeba też pamiętać, że nie ma pisarzy, których ideałem byłoby pisanie dla radia. Z natury rzeczy słowo drukowane jest trwalsze, a więc bardziej tentujące. Daje większą niezależność i dużo większe echo. Nie trzeba się łudzić, że dla pisarzy współpraca z radiem ma przede wszystkim, i to na

całym świecie, charakter czysto zarobkowy. Dla pisarzy praca w biurach radiowych jest niepożądana: rygor biurokratyczny, pisanie na komendę — wszystko to wpływa jak najgorzej na ich twórczość. Znam przynajmniej jeden wybitny talent, który właśnie marnuje się, ponieważ w warunkach codziennej harówki radiowej nie może się skupić na pisaniu utworów o szerszym oddechu.

Mógłbym te rozważania snuć dalej bez końca. Mógłbym zwrócić uwagę, że w Polsce stosunek dochodów wybitnego pisarza, nawet niekomunistycznego, do poborów nauczyciela gimnazjalnego, czy „redaktora” w radiostacjach amerykańskich się cyfrą jeden do piętnastu, w radiostacjach amerykańskich nie dochodzi nigdy nawet do stosunku: jeden do dwóch. Na całym świecie pisarze, publicyści są przyzwyczajeni do tego, że wydawcy, redaktorzy szukają ich piór, ubiegają się o ich współpracę — na emigracji najwybitniejsi muszą skamleć i łasić się o zamówienia.

Każdy intelektualista w Niemczech Wschodnich, choćby miał najbardziej zabazgraną kartę, wie, że po przekroczeniu Brandenburger Tor znajdzie u Adenauera posadę, dochody, środki utrzymania, katedrę, warunki do pisania, możliwość kontynuowania swego zawodu czy nowego startu. Co czeka na Zachodzie obecnego emigranta z Polski, ze sfer intelektualnych? To samo, co jego kolegów, którzy tułają się na Zachodzie od lat dwudziestu. Ochłapy, czekanie po poczekalniach, wyniosłe uwagi i złe traktowanie. I brak jakiegokolwiek przyjaźni, serdeczności, koleżeńskości, które są równie konieczne, jak środki materialne.

Póki w Polsce i innych krajach zakurtynowych nie zostanie przywrócona całkowita wolność słowa, prasy, mowy, działania, słowem póki nie zostanie uznane prawo człowieka do własnego zdania i do opozycji, póty emigracja istnieć musi. Jej zadaniem jest nie tyle obalenie reżymu, ile uprawianie tej opozycji w dziedzinie myśli, w dziedzinie poglądów, bez których nie może być zdrowego i normalnego rozwoju życia narodowego. Oczywiście, jeżeli chodzi o Litwinów, Łotyszów. Estończyków — zadania emigracji są stokroć donioślejsze: poza emigracją, wszelka możliwość życia narodowego dla tych nieszczęśliwych narodów ustała. Zależnie od koniunktury międzynarodowej, Amerykanie mogą raz kłaść nacisk na koegzystencję, raz na zasady — ale zawsze muszą walczyć o prawa dla

opozycji za Żelazną Kurtyną. A póki te nie są zagwarantowane, muszą prawo do samodzielnej myśli utrzymywać na emigracji, która jest namiastką opozycji.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat widzieliśmy zmobilizowanie największych środków technicznych, jakie istniały w dziejach. Świat zachodni stworzył przerażające środki zniszczenia po to tylko, by w rezultacie być skazanym na politykę impotencji. Czyż trzeba wymowniejszego dowodu, jak groźnym błędem jest negliżowanie ducha ludzkiego? Bez bomb atomowych myśliciele, pisarze, poeci potrafili zmienić przebieg dziejów. We wszystkich okresach rozkwitu, za Medyceuszów we Florencji, w Paryżu za Ludwików, w Rzymie i Wenecji w okresie Odrodzenia, władze państwowe wydawały nieporównanie większe sumy na sztuki piękne i dzieła ducha ludzkiego, niż to robią dzisiaj wielcy tego świata. Nigdy ludzkość nie była tak bogata, nigdy wydatki na tych, którzy tworzą kulturę nie były tak śmiesznie małym procentem dochodu społecznego. To musi ulec zmianie.

W. A. ZBYSZEWSKI

AMERYKA-ECHO

*Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem*

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiąt, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

*Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.*

P-siadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio

U. S. A.

Kronika kulturalna

Derwisz

Paryż. Okupacja niemiecka. Osiemdziesięciu trzech malarzy-Żydów Niemcy wywożą do obozów, mordują. Sutin ukrywa się poza Paryżem. Od lat cierpi na wrzód w kiszkiach. Rak? Nagłe pogorszenie. Pośpiesznie przewieziony do kliniki Junot na Montmartrze, operowany zbyt późno, umiera 9 sierpnia 1943 r., równo 16 lat temu. Ma 49 lat. „...niech mnie ogolą, nie chcę wejść na tamten świat z rozkudłaczoną brodą” — miał wołać przed śmiercią.

Na pierwszą wielką wystawę Sutina (119 płócien z Ameryki, Francji, Szwajcarii, Anglii) porwała się galeria Charpentier, *nie* oficjalne czynniki, *nie* muzea, które poza Petit Palais i muzeum w Grenoble nie posiadają ani jednego jego obrazu.

W jednej z gablot na wystawie ułożono parę kartek — jego listy „J'ai décidé de rentrer à Chartres, je suis trop triste” „...Je décidais de ne pas aller à l'invitation de la femme écrivain, elle est trop embetante”. Pismo bardzo pochyłe, niepewne, błędy francuskie i te sznurki liter nierównej wielkości idące wciąż ku dołowi. Dlaczego patrząc nawet na te litery (nie jestem grafologiem), mam wrażenie, że to pismo bezsilne, człowieka odartego ze skóry?

Ta wystawa była dla mnie rewelacją. Piszę to słowo z całym poczuciem jego wagi. Przecie już przed trzydziestu laty zachwyciły mnie płótna Sutina: jego mięsiwa „Boeuf écorché”, ministranci, czerwony pikolak od Maxime'a. Goyę odkryłem wówczas dla siebie *po* Sutinie i może *dzięki* Sutinowi. Ale dziś po raz pierwszy przyglądając się jego obrazom miałem wrażenie, że dobry tuzin najgłówniejszych malarzy, jemu i mnie współczesnych, jakby przestał istnieć, prędzej cofnął się gdzieś w głąb mniej ważną: Picasso — królewski tygrys z naszego malarskiego cyrku, Braque — poeta wyszukany i smakosz

form i kolorów, nawet malarstwo wielkiego Rouaulta, może Sutinowi najbliższe, nie zawsze ma taką *qualité materii barwnej*; w porównaniu do płócien Sutina niektóre płótna Rouault zdają mi się uboższe, mniej zaczeplone o widzenie rzeczy, bardziej oderwane i przez to nieraz seryjne.

Patrzymy na obrazy Sutina z nieśmiałością na tyle jest tu Sutin obnażony: głód, błoto, pluskwy i wszy żydowskich Śmiłowicz skąd musiał uciekać obity przez synów rabina, bo zrobił portret ich ojca — zbrodnia — nie czyń sobie obrazu rytego, ani żadnego podobieństwa rzeczy tych które są na niebie wzgórze i które na ziemi nisko i które w wodach i pod ziemią — pracownię Sutina, paryskie, brudne z ciemniejącym gnijącym, cuchnącym mięsiwem, które krwią polewał, by je „ożywić” — portrety ludzi jak napiętnowanych, dzieci o oczach niewinnych, zarżnięte powieszzone na framugach gęsi, indyki, kaczkę — widziałem rzeźnika, który podcinał gardło gęsi i ją wykrwawiał... chciałem krzyknąć, ale spojrzenie radosne rzeźnika mi ten krzyk wpakowało z powrotem do gardła Sutin macał się po gardle — ten krzyk czuję tu ciągle — pracownia Sutina, natchnienia czy opętania, aż po ranę w kiszkach od której umiera, wszystkie strachy i obsesje bezsilnego medium.

Sutin, Rembrandt, Goya. Pierwszy raz na tej wystawie zda-wało mi się, że mogę mówić o malarzu współczesnym *obok* Rembrandta i Goyi. Nigdy, nigdy nie zdarzyło mi się stawiać takiego znaku równania między którymkolwiek z malarzy współczesnych, a tamtymi dwoma. I sam wobec siebie jestem podejrzliwy czy nie ponosi mnie entuzjazm, czy za parę lat sam nie odczytam tego z zażenowaniem, ze świadomością, że dałem się unieść chwilowemu nastrojowi. Po Cézannie, po Van Gogh'u, kto został mi w polu widzenia równy Sutinowi? Jeden, i to na przeciwnym biegunie — Bonnard.

Sutin i Szagal. Tak się stało, że jednocześnie mamy w Paryżu wystawę Sutina, urodzonego pod Mińskiem i Szagala z Witebska. Ci dwaj Żydzi z Europy Wschodniej, z najbardziej-niejszych żydowskich ghett, dzisiaj święcą triumf w Paryżu, więcej, wywarli głęboki wpływ na malarstwo paryskie i światowe. Nikt nie kwestionuje dzisiaj ich miary, ale Szagal żyje, zrobił dekoracje do granego w tym roku w Paryżu baletu, daje wywiady; i ten, jak piszą, człowiek uroczy jest przez prasę i krytykę bardziej od Sutina uczczony, a przecie stawiać obok siebie tych dwóch malarzy to nieporozumienie. Szagal w pierwszym okresie swego życia dał nam poezję wiosek i przedmieść rosyjskich, chat, domków żydowskich, żydowskich świąt, świętych lichtarzy, czułych wspomnień miłosnych, rodzinnych, księżycy, krów i kóz. Szagal wyraził to wszystko w uroczyzm lirycznym kształcie, w bogatej, mocno walorowej, nieoczekiwanej gamie kolorów, ale w miarę nasiąkania Paryżem, odchodzenia od Witebska, magia poetycka Szagala jakby zanika,

kolorystycznie wpada w smaki, niezawsze coś znaczące, nieraz dość łatwe. Wyobraźmy sobie obraz Szagala z ostatniej epoki obok żywiolowych, dzikich płócien Sutina, albo obok płócien Bonnarda, gdzie każde jest nową szczęśliwą niespodzianką. Szagalowskie nagie kobiety w chmurach malinowych, bujające po niebie, i na tym samym płótnie ostre ultramaryny i co raz to wielkie krzyże z Chrystusem w tałasie, z Torą. Próba naiwna jakiegoś synkretyzmu religijnego, gdzie wszystko i Tora i Chrystus i kult płci są połączone. Na tym temacie Rozanow *rozdarły* umarł. Szagal rozpuścił to wszystko w perkalikowych i konfiturowych kolorach, osiągając światowy sukces i pozory głębi.

Jeżeli tu mówię o Szagalu to dlatego tylko, że wystawa jego i Sutina są w Paryżu jednocześnie, że ghetto witebskie było bliskie ghetta śmiłowickiego, i że obaj ci artyści stamtąd czerpali jeden poezję, drugi obsesję. Chcę tylko zaznaczyć, że wymieniając razem te dwa nazwiska nie powinniśmy tracić poczucia hierarchii wartości malarskiej. Szagal to poeta, malarz autentyczny i nierówny — Sutin jest genialny.

Sutin i Bonnard — co łączy światy tak biegunowo sobie różne, szal Sutina i najbardziej francuski z francuskich harmonijny świat Bonnarda? Łączy ich najważniejsze — klasa malarska, wielka. Malarstwo Bonnarda było dla mnie i zostało w doznaniu „rajem utraconym” (już kiedyś o tym pisałem, ostatnim ogniwem wielkiej szkoły francuskiej. W malarstwie Sutina, największego malarza Ecole de Paris, tak o tradycję francuską ząbionej, ale tak w Sutinie właśnie od niej różnej w żywiole, w ekspresji, w krzyku — widzę przeciwieństwo rajy, wyraz życia ludzkiego na granicy sił w jakimś bezprzrotnym szarpaniu, zrośniętym tajemniczo z dziwną miłością tego życia, uświęcającą to dno istnienia.

Artykuł miłościwy Claude Roger Marxa o Sutinie (1), jego pochwały wypowiedziane jakby z przymusem przez zasznurowane usta, odczułem prawie jak zniewagę. Łaskawy nauczyciel dopuszcza ucznia do egzaminu wbrew złym stopniom za sprawowanie. „*Malgré ces tares*, wbrew swym nałogom, nierównościom, brakowi równowagi, czy wariacji (*deséquilibres*), Sutin *chwilami* (2) wzniósł się instynktownie ku najwyższemu szczytom” — pisze Marx. Nie *wbrew*, ale chciałbym powiedzieć *z powodu*. Myśleć o sztuce Sutina w kategoriach *mens sana in corpore sano* wydaje mi się oschłą gadaniną.

Pisząc o Sutinie Claude Roger Marx zauważa, że byłoby ciekawe napisać całe studium o złości (*de la méchanceté*) w malarstwie. Ależ przecie malarstwo Sutina, chyba jednemu Marxowi może się wydawać złośliwe, wnosi on w świat malarski taki ładunek grozy i cierpienia, że znów słowo *méchanceté*

(1) „Figaro Littéraire” 27.6.1959.

(2) Podkreślenie moje.

u Marxa brzmi tępo i obelżywie Tylko Goya przychodzi tu na myśl, Goya głuchy z ostatniej epoki swego życia.

Słusznie pisze w swej książce o Sutinie Szittiya, że Francuzi niechętnie przyznają, że twórcami Ecole de Paris byli przeważnie cudzoziemcy, nie mówię o opiniach Mauclaira, dziś już wzorze jak pisać o malarstwie nie należy (chciał on strzelać do tych barbarzyńców, znieważających czyste harmonie i umiar francuski), ale czujemy to również w takim krytyku jak Marx wyczulonym na własną tradycję francuską, rzetelnym znawcy malarstwa XIX wieku. Reakcja to naturalna: tu nie tylko o Francję chodzi, ale o pewien typ wielkiej tradycji, klasycznego umiaru i pełni, obcy gwałtownościom i ekshibicjonizmowi, ujawnieniu zbyt brutalnemu żywiołów.

Przecie dla Ingres'a już Delacroix malował „pijaną miotłą”. Ingres umarłby chyba, gdyby mu pokazano obraz Sutina, twierdząc, że taki obraz będzie w jego Francji za sto lat ceniony.

Patrzę na obrazy Sutina i myśląc kategoriami Marxa powtarzam sobie „to nie malarstwo francuskie”. Rzeczywiście trudno o sztukę bardziej daleką od tego co się zwykle nazywa „le génie français” od Poussina po Corota, Bonnard czy Vuillarda, a przecie Sutin nie istniałby (prawdopodobnie i Van Gogh) bez Francji. Waldemar George ma rację, pisząc, że Sutin Francji zawdzięcza nie tylko swoją kulturę malarską, Francja dała mu *język malarski*, którym mógł się wypowiedzieć. Opowiadano mi jeszcze przed wojną jak się zachwycał francuskimi XVIII-towiecznymi malarzami. Kiedy był już sławny, marzył o kupieniu — jeżeli nie obrazu, to choć rysunku Fragonarda. Ten człowiek żyjący w głuchym smutku, egzasperacji czy tępym lenistwie, tęsknił za harmonią, za stylem „gładkim” XVIII wieku. I nawet głupi salon, byłe paryski imponował mu. W książce Szittiya jest fotografia Sutina z Olgą Sacharow i Hanną Orłow, obie w wieczorowych sukniech. Sutin w eleganckim czarnym ubraniu siedzi w fotelu, przy niskim stoliku „modern”. przy lampie także „modern”, banalna otomana, na ścianach obrazy w bogatych ramach. Wzór salonu z trzeciorzędnego hotelu paryskiego. Obie te panie wyraziły życzenie by się z Sutinem sfotografować w jego pracowni. Sutin zgodził się pod warunkiem, że jego pracownia będzie zamieniona na salon i że obie panie będą w toaletach! Ta anegdota o Sutinie i tysiąc innych podobnych, wcale mi się nie wydają zabawne. Tu naprawdę chodzi o człowieka, którego los i geniusz były nie na miarę jego świadomości.

Sutin i Van Gogh. Van Gogh, który pozornie ma tak wiele wspólnego z Sutinem (Marx mianuje go dziadkiem, a Sutiną ojcem francuskiego ekspresjonizmu), który zapadał w okresy wariacji, głodował, dniami żył czarną kawą i aż do samobójczej śmierci był całkowicie zapoznany, zdaje mi się postacią nie tylko mniej tragiczną i stokrotnie bardziej zrównoważoną,

ale prawie... szczęśliwą. Ten klucz do świata Van Gogha, obok jego obrazów jego listy: ileż w nich rozważań, rozeznania, wierności, pokornej pasji pracy, niewzruszonego poczucia hierarchii wartości, tej samej, która kiedyś jego, młodego pastora, pchnęła ku najbiedniejszym górnikom w Borinage. Ten samobójca o duszy gołębiej, żył w kategoriach absolutnych zła i dobra, ofiary, miłości i zgody wobec swego okrutnego losu. „Chciałbym umierać jak ten chłop, ze spokojnym wzruszeniem ramion”.

O Sutinie nawet jego towarzysze mówią źle i niechętnie. Legenda Sutina jest na pewno pełna przesady i nieścisłości, czas by się jej bliżej przyjrzeć, oddzielając efektowne bujdy od prawdy, ale chyba jest prawdą, że ten Żyd ze Śmiłowicz, gdy trafił nagle do sławy i bogactwa, zrywał z kolegami, którzy mówili *idisz*, nie chciał widzieć dawnych, biednych przyjaciół i ganiał w lakierkach po eleganckich wernisazach i pokazach mód. Ten sam Sutin wykupywał u marchand'ów za grube pieniądze swe własne płótna, żeby je niszczyć, wcale nie dlatego, że uważał je za złe, ale że były zbyt wyznawcze. Bał się ich jak człowiek w obsesji, odkrywający swoją własną napiętą, nędną, śmieszoną czy groźną twarz w lustrze, twarz, której nienawidził, bo odnajdywał tylko przeciwieństwo tej harmonii, której szukał i pragnął. Ale jakiej harmonii pragnął mógł Sutin wyznawca Rembrandta i Greca, jeżeli nie anielskiej, i jakże mogła go nakarmić głupia „harmonia” salonów paryskich, czy nawet harmonia Fragonarda.

Migotliwość płócien Sutina, która u jego naśladowców — pod-Sutinów z całego świata, bywa nieraz zwykłym niechlujstwem i pełną fałszów wypadkowością, jest u niego niechybna, wykorzystuje on każdy wypadek, zgrywa, orkiestruje kolor bez śladu pretensjonalności czy efekciarstwa. Na wystawie u Charpentiera jest mały pejzaż z plamką czerwoną na zieleni (wypadek?), niczym się nie tłumaczącą, gra jak rubin i zdaje się w tym pejzażu konieczna. Ta drogocенność jakby narasta przy nakładaniu farby na farbę (Sutin zawsze musiał malować na starych już zamalowanych płótnach), przez poprawki bynajmniej nie zamazywane (ramię starego Żyda zalane ostrą żółcią). Farby jego jakby się rozpryskują poza przedmiot, stwarzając tkankę dźwięczną i nieprzerwaną.

Przy tym Sutin jakby zawsze *wiedział* to o czym Delacroix mówił, że jest dla malarza najtrudniejsze, wiedział kiedy obraz *zatrzymać*, kiedy inspiracja słabnie, kiedy widzenie przedmiotu który malujemy gubi się w *wiedzy* o przedmiocie (choćaby najbardziej malarskiej wiedzy), i kiedy wszystko może być jednym położeniem bardziej „namyślonym” niż odczutym — zgubione.

Już nie mówię o tym kiedy malarzowi grozi najgorsze chęć podkreślenia, uczynienia z myślą o widzu i kiedy malarz gubi *wszystko*.

Inspiracje Sutina cechuje to jeszcze, że jest zawsze, jak u Cézanne'a, „na naturze”. Sutin musi zobaczyć, nie wystarczy mu wspomnieć. Biografowie mówią o jego trudności niezmierniej przy szukaniu odpowiedniego modelu, odkryciu pejzażu, który by go rozplomił. Takie poszukiwania trwały nieraz miesiącami. W liście do Zborowskiego (3) w 1923 r. Sutin skarży się, że niemoże malować w Cagnes, dokąd go Zborowski wysłał, bo nienawidzi Cagnes. Cap Martin, dokąd próbował pojechać, jest mu również nienawistne. Sutin nie może malować z rezultatami połowicznymi, uciekać musi od pejzażu, od ludzi, których nie umie zobaczyć.

Jeszcze Sutin i Rembrandt. Wiemy jakie Rembrandt i jego „Boeuf écorché” z Luwru zrobił wrażenie na Sutinie. Jeździł on cztery razy do Holandii, żeby tam Rembrandta oglądać. Jeżeli w materii barwnej Sutina czujemy rembrandtowskie pokrewieństwa, to nie zapominajmy o bardzo istotnych między nimi różnicach, chociażby tej, że Rembrandt posiadał obok geniuszu wielkie „zimne” rzemiosło. Wystarczy śledzić powolne, poprzez lata, dojrzewanie pisma Rembrandta, coż za droga od zamówionych portretów, obiektywnych studiów, których żar przeżycia jest związany, zrosnięty z zimną, ostrą obiektywizującą uwagą i wiedzą. Portrety młodego Rembrandta, jak i wielkie portrety Goyi (u tego ostatniego nawet czasami — jak nigdy u Rembrandta — odpycha zbytnia wirtuozeria. Przypominam sobie taki portret kardynała o błyszczących paznokciach (4)) — przecie te portrety zadziwiające nie palą jak „Boeuf écorché” czy „Syn marnotrawny” Rembrandta, czy goyowskie sceny czarownic z Prado, czy obrazy Sutina.

Trudno uwierzyć, by nie był bardzo złym falsyfikatem mały pejzaż z okolic Paryża jakoby przez Sutina malowany w 1917 roku i zawieszony w przejściu na wystawie u Charpetier, jedyny który by świadczył, że i Sutin próbował malować bez natchnienia. Ale prawdopodobniej jest to przecież

(3) O Zborowskim pisze Szittiya zjadliwie i niesprawiedliwie robiąc z tego chorego, może nieraz nieobliczalnego, ale zawsze solidarnego z malarzami-ogrodzami, przeciw „burzjom”, poety i marchand'a — zimnego spekulanta i snoba, udającego „un homme du monde”. Trzeba było być czymś więcej niż snobem i spekulantem, by być przyjacielem Modiglianiego, Deraina, Kislinga, Sutina, być ich marchand'em, kiedy jeszcze nikt się nimi nie interesował. Z wdzięcznością przeczytałem słowa Waldemara Georga we wstępie do wystawy Sutina: „pierwszy marchand Sutina. Zborowski, bronił go z zaciekleścią i entuzjazmem. Nigdy nikt nie powie z dostateczną siłą, jakie były usługi oddane sztuce żywej przez tego kupca, który umarł biedny”.

(4) Kardynał Don Louis Maria de Bourbon y Vallabriga, dziś w Muzeum Sztuki w Sao Paulo.

bardzo słaby kicz samego Sutina, wyjątek potwierdzający regułę, i dowód jak do takiej pracy Sutin był niezdolny. Bo u Sutina jakby nie istnieje praca „na zimno”, nauka rzemiosła, dłubanie, piłowanie. On nie mógłby nigdy powiedzieć jak Degas „to nie byłoby takie zabawne, gdyby nie było takie nudne”. Sutinowi natchnienie przechodziło zapadał się w tępe lenistwo „paresse incoercible”, jak pisze M. Castaing, u którego Sutin mieszkał pod Chartres. Tenże Castaing wspomina o jego genialnych zrywach, opartych tylko o instynkt, i cytuje Baudelaira: „im bardziej genialny artysta zazębia się o swój instynkt, tym jest większy”.

Sutin i nienasycenie. Od czasów Freuda wszyscy mówią i piszą o seksualnym *réfoulement*, o nienasyceniu seksualnym, o groźnych deformacjach chorobowych, które daje właśnie to nienasycenie. Komuż z biografów Sutina przyszłoby do głowy, że w tym człowieku, którego stać było nie tylko na bywanie ile chcąc w domach publicznych (o czym skwapliwie piszą jego biografowie), ale który miał głębsze przeżycia i erotyczne i uczuciowe, mogły istnieć *inne* nienasycenia poza erotycznymi, *inne réfoulements*, które go torturowały. Ten człowiek przez to samo, że był malarzem musiał zerwać z pewnym światem religii, którą żyła wiekami jego społeczność. Wyrwał się on nie tylko od ojca, który go bił i chciał z niego zrobić szewca, ale i od modlitwy, od szabasu. Domy publiczne, eleganckie salony i wernisáže, drogie filcowe kapelusze i błyszczące lakerki, które nosił, jakże mogły nasycić ten głód w nim, jakby nieświadomiony i nekający, głód jakiegoś absolutu. Syn narodu, któremu jego Bóg „zawistny w miłości” zakazywał najsurowiej od paru tysięcy lat przedstawiania czegokolwiek — nie czyni sobie obrazu ani żadnego podobieństwa rzeczy... — oderwawszy się od pnia swojej religii, tradycji, obyczaju, odkrył w Paryżu wspaniałą tradycję malarską i mizerny, parszywy ideał wzbogaconego burżuazja, ideał „wyższego towarzystwa” i „salonu”. Podskórnie, podświadomie głodny innej harmonii, „Gdybym był katolikiem, dużo bym chodził do kościołów” — to jego słowa. Marzył latami by malować zakonnice, (czy tylko forma ich kornetów go pociągała?) nie miał śmiałości do nich podejść i przemówić. Miał kult Greca, którego zresztą prawie nie znał. Sutin, który całe życie malował obrazy jak krwawe i złote strzępy, ten pono ateusz, który wyrósł w religijnym ghetcie, a umarł w latach dla narodu żydowskiego apokaliptycznych, ten człowiek pono tak słaby i próżny, dlaczego tak malował? Natchnienie proroków? Wizjonerstwo Kafki czy stany szalone derwiszów wędrownych w ekstazie. Murzynów podczas makumby? Jaka siła fatalna gniotła Sutina?

Hitlerizm, zagłada Żydów — Szittiya twierdzi, że był na to wszystko obojętny, że myślał tylko o sobie. Czy tak było na pewno? Bo przecie jednocześnie tenże Szittiya pisze o jego „zrywie heroicznym”, kiedy chciał w 1939 roku jako ochotnik

iść do wojska francuskiego i kiedy fakt, że go nie przyjęto, tak bardzo go zranił. Szittiya również opisuje jak narażał się pisząc listy miłosne, posyłając pieniądze przyjaciółce, niemieckiej Żydówce uprowadzonej do obozów.

Czy to była obojętność, czy panika, ta odmowa czytania jakiegokolwiek gazety między 1940 a 1943?

„...chowamy się za trupami, po co ta zabawa w chowanego, jesteśmy stoczeni strachem i tak potwór (*l'ogre*) nas pożre”.

Wszystko co dotychczas zdołałem przeczytać czy usłyszeć o świecie wewnętrznym Sutina jest tak małe, tak niepewne w porównaniu do jego płócien — wyznań człowieka niemego, płócien które malował z pasją i szalem i umiał je nagle tak nienawidzić, że ciął je kuchennym nożem na dziesiątki kawałków i wyrzucał do śmieci. „Nikt z nich nie byłby zdolny tak niszczyć swych płócien” — mówił z uśmiechem, nagle dziecinny i szczęśliwym.

Sutin derwisz i geniusz.

Józef CZAPSKI

Bibliotekarz Alfred Berstein

jest postacią, z którą w Nowym Jorku zetknął się chyba każdy, kto w latach 1941-1959 zajmował się polską historią, literaturą, językoznawstwem — w ogóle: wszystkim, co dotyczy polskiego życia i kultury. Skromny ten, a niezwykle ruchliwy człowiek jest z wykształcenia i dyplomu prawnikiem, lecz z zamiłowania historykiem i bibliografem. Parę miesięcy temu rozstał się z działem słowiańskim Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku, gdzie pracował osiemnaście lat. Przez ostatnie lata jako „pierwszy asystent”. Rzec można bez przesady, że Dr. Berstein był nie tylko tzw. duszą, ale i dobrym duchem tego działu, przenikającym wszelkie druki i publikacje w językach słowiańskich z wyłączeniem rosyjskiego. Niewątpliwie dział słowiański zawdzięcza Bersteinowi rozbudowę części polskiej, dosyć zaniedbanej przed jego przybyciem do biblioteki. Zgodnie z regulaminem tej instytucji przeniesiono Bersteina w tzw. stan spoczynku, gdy przekroczył „granicę wieku”. Ładny to spoczynek, którego zażywa obecnie nasz dynamiczny Berstein! On, który uwijał się po salach i korytarzach biblioteki jak młodzieniec, często dźwigając grube tomiska, które zamiast niego powinni byli dźwigać jego liczni, gołowi pupile.

Emerytura stała się dla Bersteina pretekstem do rozwinięcia wmo-

zonej działalności na innych terenach pracy. Co niedziela wyjeżdża nasz „emeryt” do New Haven, w stanie Connecticut, aby przez trzy dni w tygodniu pracować nad pewnym „projektem” w bibliotece uniwersytetu Yale. Resztę tygodnia wypełnia studiami, pisaniem i czynnym udziałem w trudach i kłopotach innych ludzi. W tym też wyspecjalizował się nasz bibliotekarz. A miał okazję do treningu w tej „gałęzi” działalności społecznej jeszcze w Londynie, w latach 1939-1941, kiedy tam sekretarował w organizacjach uchodźczych. Godziny wolne od licznych zajęć i dobrowornie nałożonych na siebie obowiązków, poświęca teraz Berstein badaniom źródłom do większej pracy o „Skarbach kultury żydowskiej, zaginionych w Polsce w czasie drugiej wojny światowej”. Jak widzimy, nie spoczywa on na liściach bobkowych, ani nie przesiaduje na brzegu Hudsonu, chociaż nad tym brzegiem mieszka.

Rzadko się zdarza, żeby „kataklizm dziejowy” wychodził człowiekowi na zdrowie. Chyba, że tym człowiekiem jest dostawca wojskowy lub podobny przyjaciel ludzkości. Dla zwykłych śmiertelników jest nieszczęściem. A mówimy o tych, którzy mniej lub więcej cało uszli z wojen, obozów, łagrów i ojczystych domów, przemienionych na domy niewoli. Ci szczęśliwcy muszą na obczyźnie rozstać się przeważnie z dawnym zawodem, z mozolnie montowaną karierą, a jeśli chcą żyć z własnej pracy, muszą na stare lata uczyć się nowego zawodu. Dola ich nie jest godna zazdrości. A przecież niekiedy zdarza się, że „kataklizm” wyzwala w człowieku wykorzenionym ukryte pragnienia i zdolności i uświadamia mu jego prawdziwe powołanie. To właśnie zdarzyło się Alfredowi Bersteinowi.

Urodzony na Pokuciu, studiował prawo w uniwersytetach lwowskim i wiedeńskim. Po pierwszej światówce osiadł we Wiedniu i był tam doradcą prawnym wielkich i mniejszych koncernów, eksploatujących naftę w Małopolsce Wschodniej. Od borysławskiej nafty milej pachniały Bersteinowi książki z zakresu historii i literatur słowiańskich. W końcu po licznych perypetiach, został dzięki Hitlerowi bibliotekarzem w Nowym Jorku. Odnoszę wrażenie, że tu dopiero zaczął żyć prawdziwym swoim życiem, pełnym zaraźliwego optymizmu.

Na drugi lub trzeci dzień po wylądowaniu w Nowym Jorku udałem się do Biblioteki Publicznej i dzięki Bersteinowi od razu poczułem się, jak w domu. A może nawet lepiej niż w domu, bo pisarzowi na obczyźnie nieraz biblioteka zastępuje własny dom. W ciągu owych osiemnastu lat, w których byłem w dość bliskich stosunkach z tą biblioteką, rzadko zaglądałem do katalogów działu słowiańskiego. Mieszkam za miastem. Wytarczyło z mojego domu, oddalonego od Biblioteki Publicznej o 15 mil angielskich zatelefonować do Bersteina, żeby natychmiast otrzymać wyczerpujące informacje. Berstein ma fenomenalną pamięć, a jeśli czego nie pamiętał, odchodził od telefonu, aby po kilku minutach powrócić nie tylko z danymi bibliograficznymi, ale i odczytać przez telefon to miejsce z książki czy periodyku, na którym mi zależało. Czinił to z takim przejęciem i tak uprzejmie, jakby nic innego nie miał do roboty. Zawsze uczynny, usłużny i pogodny, miał setki takich, jak ja zanudzających go „klintów”. Zauważali go pisarze i uczeni, pseudopisarze i niedouczeni, Polacy, Ukraińcy i Żydzi, rzadziej Czesi. Nadużywaliśmy, o, nadużywaliśmy, cierpliwości zacnego Alfreda Bersteina.

I dlatego fakt przejścia na emeryturę polskiego bibliotekarza stał się dla polskiej inteligencji w Nowym Jorku miłym pretekstem do okazania mu wdzięczności i serdecznej sympatii. Niech i mnie będzie wolno wziąć udział w tej manifestacji.

Józef WITTLIN

Nagroda muzyczna Fundacji im. Paderewskiego na r. 1959

Ustalona w roku bieżącym nagroda muzyczna Fundacji Paderewskiego w wysokości \$ 500.00, przyznana została wybitnemu polskiemu kompozytorowi Romanowi Maciejewskiemu.

Otrzymał on ją za pierwszą część skomponowanego w Ameryce dzieła na orkiestrę i chóry, które nosi tytuł *Missa Pro Defunctis-Requiem*. Maciejewski, wsławiony wielu kompozycjami ogłaszanych i wykonywanymi jeszcze przed wojną, mieszka od roku 1953-go w Kalifornii. Od czasu przybycia do Ameryki pracował nad swoim Requiem.

WYNIK KONKURSU NA PLAKAT GALERII GRABOWSKIEGO

M.B. Grabowski podaje do wiadomości, że Jury konkursu na plakat Galerii, w składzie: M. Grabowski, Z. Kowalewski, A. Werner, M. Żuławski, po zapoznaniu się z nadesłanymi pracami, postanowiło przyznać nagrodę II-gą w sumie £20-0-0; za pracę, podpisaną godłem „Irena”;

nagrody I-ej postanowiono nie przyznawać.

Po otwarciu koperty stwierdzono, iż autorem pracy nagrodzonej jest W. R. Szomański.

Osoby, które brały udział w konkursie, proszone są o odebranie prac nienagrodzonych.

Książki

O "Rachunku zachciankowym"

W naszym przysłowiowym gadulstwie, romantycznych nawrotach, z naszą przelazioną poezją, pełną politycznych nieszczęść, w których poeci zapadali się po artystyczne uszy, tom Białoszewskiego jest optymistyczną rewelacją.

Rachunek Zachciankowy, wydany w tym roku przez Państwowy Instytut Wydawniczy, liczy około stu stron i zawiera przeszło pięćdziesiąt wierszy. Jest to więc tom spory, gdzie młody jeszcze poeta, bez rutyny i zaplecza artystycznego, łatwo może się potknąć. Jest to zarazem nowy debiut Białoszewskiego, w którym poeta zamknął całą urodę swego talentu, przy której balladowe „Obroty rzeczy” są nikłą, z innej półkuli słowa wziętą reminiscencją. Tam poeta, mimo że znał wartość słowa, ciągle jeszcze siebie szukał, tu poeta narodził własny styl i co ważniejsze, z samego siebie, bez niczyjej pomocy. Wszystko co pomogło Białoszewskiemu w rozwinięciu jego poetyckiego lotu, pozostało w „Obrotach rzeczy”, w „Rachunku” zaś jest *sam*, krystalicznie czysty.

Język polski, który męczą młodopolskie obstrukcje gramatyczne, który, powiedzmy sobie, zawsze chronił się w cień romantycznej poezji, nie wybił sobie jeszcze niezależnej formy nowoczesnej. Kilku pisarzy próbowało ucodziennić jego styl, zbanalizować pompę mowy przymiotnikowej, uczuciom nadać szczerą osobistą formę, ale daleko z tym nie zaszli. Kręcą się w ciemnym przedśionku literatury, a krótkowzroczne masy, dalej wpatrzone są w ołtarz patriotycznego języka, na którym żerują mali i przeciętni poeci udając Mickiewiczów.

Poczynania naszej awangardy, idące śladami poezji francuskiej i anglosaskiej były, jak się okazuje dziś, nowinkarstwem i modą, a choć poeci tańcy jak Czechowicz czy Brzękowski dokonali przełomu, ich wysiłek nigdy nie został należycie oceniony i trzyma się ich ciągle na marginesie poezji polskiej.

Młodzi poeci w Kraju zdumiewająco szczęśliwie przezwyciężyli tę historyczną „kulę u nogi”, budując swoje poetyki na zasadach nawskroś nowoczesnych. Nie można tego powiedzieć o poezji emigracyjnej, gdzie górują poematy częstochowskie, cierpieniście, których, zdeklasowani kulturalnie odbiorcy, pragną bardziej niż wierszy o czystym artystycznie wydźwięku. Ten absurd jest tak rażący, że czytając prasę krajową ciągle pytamy siebie: dlaczego młodym poetom w Kraju poezja Zachodu jest bliższa i znają ją lepiej, od poetów polskich, mieszkających w Nowym Yorku, Londynie i Paryżu?

Styl Białoszewskiego, tak fascynująco krystaliczny, nie ma bliskich sobie krewnych. W Ameryce, tak. Gdyby Białoszewski znalazł doskonale język angielski i w tymże stopniu poezję amerykańską, można by powiedzieć, że sięgnął on po swój prototyp artystyczny do E.E. Cummings'a, którego debiut „Tulipany i kominy” sięga roku 1923. Ale Białoszewski przeczy temu w „Obrotach rzeczy”. Ewolucję którą przeszedł, zawdzięcza jedynie własnemu talentowi.

Krytyk, który chciałby poważnie zająć się twórczością Białoszewskiego, musi od razu odróżnić dwu Białoszewskich: poetę i lingwistę. Językowe zdobycze Białoszewskiego są tak samo nieprzeciętnej miary, jak i jego poezja, a na dalszą metę mogą słowo polskie stracić ze szcudła po-romantycznych, po-młodopolskich i po-skamandryckich, dać mu własne zdrowe nogi codzienności. To co zrobił T.S. Eliot w poezji angielskiej, może również dokonać Białoszewski. Pogodzić tak zwany język poetycki z językiem zwykłego dnia i wypełnić przepaść jaka je dzieli. Oprócz przychylnego czytelnika, ma jeszcze do pomocy krytyków, wśród których Kwiatkowski jest wyjątkowo czujnym zjawiskiem w młodej krytyce polskiej.

Wzorem doskonale stosowanych skrótów myślowych jest między innymi „Bajka spekulatywna”.

pani ma kotkę
kotka ma pchły
kotka nie ma zębów
kotka nie może
pani nie zabija
ta co zabija dochodzi
pani nią
gardzi

Treść w nim jest tak zwarta, a słowo do ostateczności oczyszczone z niepotrzebnego balastu, w który obfituje najkrótsze zdanie polskie, że wydaje się w pierwszej chwili zaskoczeniem. Ale zaskoczenie to nie jest z winy Białoszewskiego. To my codziennie opukujemy język oklepami zwrotami, karmimy się do przesyty formami szkolnymi, cała nasza lektura jest pogonią za łatwiznami i dlatego wiersz Białoszewskiego powinniśmy przyjmować z całym skupieniem, a najlepiej przeczytać drugi raz. Wtedy dopiero docenimy Białoszewskiego jako poetę i nowy źródłosłów polszczyzny.

Wacław IWANIUK

Nadesłane nowości wydawnicze

LABEDZ (Leopold). *Sociology and Communism 1957-1958*. Str. 20. (Odbitka z „Soviet Survey” Nry 26 i 28, Londyn).

Soviet Youth. Twelve Komsomol Histories. Str. 256. (Wyd. przez N.K. Nowak-Deker'a, Institut for Study of the ZSSR, Seria I, No 51. Lipiec 1959, Monachium).

WSZELAKI (Jan). *Communist Economic Strategy: The Role of East-Central Europe*. Str. 132. (Wyd. National Planning Association, styczeń 1959, cena dol. 3).

GOETEL (Ferdynand). *Nie warto być małym. Powieść*. Str. 243. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawn. „Veritas” w Londynie, T.

XLIII Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej. Kwiecień 1959. Cena 15 sh.).

RIT (Henryk). *Pan Tuwia*, i inne parafrazy literackie. Fraszki-Humoreski-Felietony. Str. 162. (Wyd. „Hadfus Haklali, Tel-Aviv).

GAWENDA (Jerzy August). *Legalizm polski w świetle Prawa Publicznego*. Str. 127. (Wyd. „White Eagle Press, Ltd. Londyn, 1959).

YOUNG (Gordon). *The House of Secrets. Russian Resistance to the Soviet Regime Today*. Przedmowa Clarence W. Mendell, b. Dziekan Yale University. Str. 179. (Wyd. Duell, Sloan and Pearce, New York, 1959. Cena dol. 3.75).

FELSZTYN (Tadeusz). *Rakiety i Podróże Międzyplanetarne*. Str. 227. Obwolutę projektowała Janina Chrzanowska. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1959. Cena sh. 24/6).

BROMKE (Adam). *Background of the Polish October Revolution*. Str. 43-58. Odbitka z Canadian Slavonic Papers, III, Mc Gill University.

Contemporary Poland: Society, Politics, Economy. Str. 578. Powielacz. Redaktor: Alicja Iwańska. Autorzy: A. Iwańska, Z. Hruszewski, S. P. Lyon, B. Nimer, L. Novar, M. Zawadzki. (Wyd. przez The University of Chicago).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *La relation sujet-objet et la physique quantique*. Str. 89-99. (Odbitka z „La Revue de l'Université d'Ottawa”, kwiecień-czerwiec 1959).

HLYBINNY (Ul.). *Vierzig Jahre weisruthenischer Kultur unter den Sowjets*. Str. 148. Monografie. (Wyd. Institut zur Erforschung der UdSSR, Seria I, No 55, czerwiec 1959).

WEINTRAUB (Wiktor). *Polish Romantic Literature as the Literature of Emigration*. Str. 6. (Odbitka z „Comparative Literature, Proceeding of the ICLA Congress in Chapel Hill, Univ. of North Carolina Press, 1959).

WEINTRAUB (Wiktor). *Two Parallels*. Str. 499-508. (Odbitka z „Adam Mickiewicz 1798-1855, centenary symposium” 1958. Pol. Society of Arts & Sciences Abroad, London).

LYCHOWSKI (Tomasz). *Przestrzeń i czas*. Wiersze. („Przestrzeń i czas”, „List do Młodości”, „Cienie”, „Paqueta”, „Żal”, „Śmierć”, „Wschód”, „Ach jak cudownie kochać...”, „Wszystko...”, „Sztuka”, „Prometeusz”, „Łączę i dzielę”, „Nie mniej...”).

ANDERS (Władysław). *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*. Wydanie trzecie przejrzane i poprawione. Str. 408. (Wyd. Gryf Publishers, Ltd., Londyn, 1959).

GALERIA GRABOWSKIEGO

ZAPRASZA DO ZWIEDZANIA CO MIESIĄC
NOWEJ WYSTAWY W LOKALU GALERII
84, Sloane Avenue, London S. W. 3

F. PAWLAK & CO. LTD. MAKLERZY UBEZPIECZEŃ

Reprezentujemy ponad 50 Towarzystw i możemy
załatwić każde ubezpieczenie na całym świecie

PAWLAK & SHRIMPSON

AUCTIONEERS, SURVEYORS & ESTATE AGENTS
Sprzedaż domów, mieszkań, przeglądy techniczne,
administracja

98, ST. JOHN'S Rd., LONDON, S.W. 11,
tel.: BAT 9168, 4466

- ◆ WSZELKIE LEKARSTWA
(także na recepty krajowe)
- ◆ MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- ◆ OKULARY
- ◆ POŃCZOCHY NA ŻYLAKI
Sprawnie i natychmiast wysyła

NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY

TAZAB

& CO LIMITED

Oddział w St. Zjedn.	Centrala TAZAB HOUSE	Oddział w Australii
36, Third Avenue, NEW YORK, 3, N.Y.	22, Roland Gdns., LONDON, S.W.7.	327, Collins Str., MELBOURNE, C.I.
Tel. ALgonquin 4-4160/1	Tel. FRE 3175, 3176, 5676	Vic. Tel. Melbourne 1314

Tylko TAZAB zapewnia pełną fachową obsługę i gwarantuje
dostawę lekarstw produkcji zarówno angielskiej, amerykańskiej,
szwajcarskiej, francuskiej jak i niemieckiej.

Listy do Redakcji

Londyn, 19 lipca 1959

Szanowny Panie Redaktorze !

Zupełnie nieoczekiwanie dla mnie wynika w ostatnich miesiącach polemika między moim poprzednikiem na stanowisku Delegata R.P. we Francji w czasie wojny, p. Stanisławem Zabiellą, a moim następcą na tym stanowisku, p. Aleksandrem Kawalkowskim (vide czerwcowy numer „Kultury”). Pragnę na tym miejscu podziękować obu protagonistom za pełne kurtuazji słowa, jakie zechcieli skierować pod moim adresem w swych artykułach. Wbrew moim zamierzeniom zachowania milczenia w tych sprawach, z uwagi na delikatne momenty natury osobistej, zmuszony jestem teraz milczenie to przerwać, aby skorygować pewne nieścisłości, dotyczące mojej osoby które wkradły się do tej polemiki. Ponieważ jeszcze żyję, nikt nie zrozumiałby dla czego osoba w tych sprawach zainteresowana nie zabiera głosu. Z tych względów proszę uprzejmie Pana Redaktora o zamieszczenie w „Kulturze” tych paru uwag, wprowadzających pewne korektywy do twierdzeń obu przeciwników.

Moje zainteresowania i prace historyczne w obecnym momencie skierowane są ku wcześniejszej epoce, dwudziestolecia niepodległości, kiedy brałem czynny udział w pracach dyplomatycznych na różnych placówkach, a w ostatnich latach przedwojennych na stanowisku Stałego Delegata R.P. przy Lidze Narodów, Delegata do Rady Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie i Delegata tejże instytucji do Międzynarodowego Instytutu Rolnego w Rzymie oraz Posła R.P. w Bernie. Po wycofaniu mnie przez Rząd R.P. ze stanowiska Posła R.P. w Szwajcarii w maju 1942 r., co, jak wiadomo doprowadziło do zmniejszenia statutu Poselstwa R.P. i w ostatecznych konsekwencjach do szeregu nieprzyjemnych afer walutowych na terenie tego Poselstwa, udałem się na południe Francji, gruntownie zniechęcony do pracy państwowej z uwagi na kłębowski intryg w ówczesnym ośrodku dyspozycyjnym w Londynie i usunąłem się do zacisza życia prywatnego. Jednakże, w parę miesięcy potem, zważywszy na ciężką sytuację uchodźstwa polskiego we Francji, nie uchyliłem uczynionych mi propozycji zajęcia się pracą społeczną, najpierw w charakterze Delegata Polskiego Czerwonego Krzyża w Marsylii, a później Inspektora i Zastępcy Sekretarza Generalnego Towarzystwa Opieki nad Polakami we Francji, (Sekretarzem Generalnym był podówczas P. Józef Jakubowski dla którego ofiarnej i wyczerpanej pracy miałem zawsze najwyższe słowa uznania). Praca społeczna bardzo wdzięczna w tym trudnym okresie Francji Vichy, pochłonęła mnie całkowicie i daleki byłem od myśli, aby czynić z niej jakikolwiek kapitał polityczny na przy-

szłość. Kilkakrotnie, w ciągu tego okresu zetknęłem się z ówczesnym delegatem Rządu p. Stanisławem Zabiellą i uważam za swój obowiązek stwierdzić ze wrazenia moje z tych kontaktów były jak najbardziej dodatnie. Potrafił on, wbrew instrukcjom partyjnie rozhukanego Londynu, uchronić teren francuski od rozbicia politycznego, utrzymać jedność organizacji społecznych, których był protektorem, wykazał dużą odwagę osobistą i niezależność sądu. Zresztą postawa jaką zachował w obozie koncentracyjnym daje najlepszą miarę wielkich zalet jego charakteru.

P. Zabiello nigdy mi nie dał do poznania że mogę być jego następcą na wypadek jego aresztowania — mogę śmiało powiedzieć, że byłem ostatnią osobą o tym poinformowaną i to dopiero po jego aresztowaniu. Taki plan, jak się po tym dowiedziałem, i to z ust p. Kawalkowskiego był jednak przygotowany przez p. Zabiellę i jego najbliżsi współpracownicy byli o tym poinformowani. Zrozumiałe jest, że był on trzymany w najgłębszej tajemnicy, aby uchronić mnie od zdekonspirowania. Zresztą do czasu pierwszej próby mego aresztowania (19 marca 1943) nie wiele osób we Francji wiedziało, że ja jestem delegatem Rządu, a w stosunkach z Londynem używałem pseudonimu „Zodjak”. Tylko kilka osób spośród Rządu w Londynie (między innymi Premier i Minister Spraw Zagranicznych) wiedziało, kto pod tym pseudonimem się ukrywa. Zachodzi tu pod względem całkowitej analogia ze stosunkami w Polsce Podziemnej.

Wydaje mi się, że p. Kawalkowski zawodzi trochę pamięć, jeśli twierdzi dzisiaj, że i on również dowiedział się o mojej nominacji dopiero po aresztowaniu Zabielli. Na kilka tygodni przed tym faktem spotkałem się z p. Kawalkowskim w Tuluzie, zaprosił mnie on wówczas na śniadanie i w formie zawaalowanej dał mi do poznania, że wkrótce mogę stać się jego szefem. Nie bardzo to w tym czasie zrozumiałem i dopiero po mojej nominacji słowa wypowiedziane wówczas przez niego nabrały dla mnie właściwego sensu. Przy obejmowaniu mego stanowiska p. Kawalkowski urządził w Lyonie odprawę wszystkich kierowników regionalnych, oświadczając, że mi się podporządkowuje i że plany mojej nominacji powstały jeszcze przed aresztowaniem Zabielli, który chciał mnie przedtem odwiedzić i o tym osobiście mnie zawiadomić. Nagle jego aresztowanie uniemożliwiło mu zobaczenie się ze mną.

Z p. Kawalkowskim spotykaliśmy się bardzo rzadko, obaj zmuszeni byliśmy wkrótce się ukrywać, gdyż moje nazwisko zostało zdekonspirowane, podobno na skutek jakiegoś nieostrożnego listu z Poselstwa w Lizbonie. Tylko cudem uniknąłem aresztowania w nocy z dnia 18 na 19 marca 1943 w La Tronche, Grenobla (kiedy dokonano aresztowania Prof. Z.L. Zaleskiego, ofiarne go i niestrudzonego Delegata Ministra W.R. i O.P. i dyrektora Gimnazjum w Villard-de-Lans).

Szereg ludzi, którzy, jak wkrótce miałem to możność stwierdzić przez moje własne kanały, należeli do organizacji p. Kawalkowskiego (on sam mi nigdy o tym nie powiedział) zaliczało się do moich najbliższych współpracowników i uważam za swój obowiązek podkreślić ich całkowitą lojalność, ofiarną i pełną pomoc. Należałoby tu wyliczyć szereg ludzi, z tego grona pragnę wymienić dwa nazwiska, p. Wiesława Dąbrowskiego, mego nadzwyczaj taktownego i oddanego zastępcę i śp. Konsula Władysława Mierzyńskiego, mego sekretarza, który padł ofiarą pełnionych przez siebie obowiązków.

Rozumiem motywy, które kierowały p. Kawalkowskim w przyjęciu odpowiedzialnej i niebezpiecznej funkcji (wszystkie funkcje publiczne były, zresztą, w tym czasie połączone z niebezpieczeństwem osobistym, nawet funkcje pozornie czysto społeczne). Postawił się on do dyspozycji Rządu, będąc jak sam to stwierdza karnym obywatelem i urzędnikiem. Szanowałem odrębność jego organizacji, o której zresztą udzielał mi bardzo skąpych

informacji, na pewno mniej, niż p. Zabielle, ale trudność sytuacji polegała na tym, że nie widziałem celowości rozbudowy tej organizacji podziemnej na terenie Francji, gdyż pociągała ona za sobą ogromne ofiary, niewspółmierne do problematycznych korzyści politycznych (jak to najdobitniej miały wykazać późniejsze wypadki). Represje niemieckie jakie z tego tytułu spadały nieraz na Boga ducha winnych ludzi, dezorganizując organizacje społeczne na terenie Francji, doprowadziły do osłabienia społeczności polskiej we Francji, pozbawiając ją materiału kierowniczego, co nie pozostało bez wpływu na późniejszą strukturę organizacyjną emigracji polskiej we Francji. Stanowisku temu miałem dać wyraz w pierwszej mojej rozmowie po przyjeździe do Londynu w listopadzie 1943 roku z ówczesnym Prezesem Rady Ministrów Mikołajczykiem, co wywołało ostrą reakcję z jego strony i „niełaszkę” na szereg miesięcy, (dopiero Rząd Arciszewskiego zatwierdził moją nominację na Posła R.P. przy Rządzie holenderskim, na co nie zdecydowali się ani p. Mikołajczyk ani p. Minister Romer mimo tego że złożyłem moje listy wierzytelne Królowej Wilhelminie jeszcze za premierostwa p. Mikołajczyka).

Zrozumiałe jest, że w tych warunkach współpraca moja z p. Kawalkowskim, mimo form bardzo kurtauzyjnych, nie była pozbawiona wielu niedomówień. Raziło mnie przede wszystkim to, że do swojej organizacji, bez mojej wiedzy i zgody, wciągnął cały szereg moich najbliższych współpracowników, co stawało ich wobec bardzo trudnej sytuacji, konfliktu dwóch lojalności. W moich komunikacjach z Londynem byłem skazany na sieć opanowaną przez p. Kawalkowskiego, co też nie ułatwiało mi sytuacji i po moim przyjeździe do Londynu mogłem stwierdzić że stanowisko moje w Londynie nie zawsze było właściwie oceniane. Dopiero po przyjeździe do Londynu mogłem moje stanowisko do akcji kontynentalnej całkowicie wyjaśnić. To wszystko doprowadzało do pewnej izolacji Delegata Rządu, którą pogarszała rzadkość kontaktów z p. Kawalkowskim, zresztą rozumiała z uwagi na to że obaj musieliśmy się ukrywać i zmieniać nasze kwatery. Dodaję że nie czułem też wielkiego oparcia w Londynie, który był nastawiony podówczas na bezwarunkową współpracę z aliantami i prowadzenie akcji kontynentalnej, choćby kosztem największych ofiar.

Gdy moja sytuacja we Francji stała się nie do zniesienia na skutek fali aresztowań po okupacji przez Niemców całej zony tzw. wolnej strefy, ofiarą której padli najbliżsi moi współpracownicy (a przede wszystkim śp. Mierzyński) i mego całkowitego zdekonspirowania, uznałem że nadszedł czas do opuszczenia terenu Francji, tym bardziej, że otrzymałem wezwanie Rządu udania się do Londynu. Zaznaczam, że przed wyjazdem wyznaczyłem na mego następcę p. Ambasadora Wacława Grzybowskiego, który, jednak funkcji tych nie objął, ponieważ p. Kawalkowski skupił wówczas w swojej osobie funkcje Delegata Rządu i kierownika organizacji podziemnej. Takie rozwiązanie nie było moim zdaniem szczęśliwe, z wielu względów zupełnie zasadniczych. Inaczej wszak było na terenie Podziemia w kraju.

Francję opuściłem w październiku 1943 r. i dopiero po miesiącu wędrowki, szlakiem Pireneje, Madryd, Portugalia i Gibraltarcie dotarłem do Londynu w pierwszych dniach listopada. Zresztą wędrowka ta stanowi jedno z najsilniejszych przeżyć w moim życiu i postaram się ją wkrótce opisać, bo zachowałem obszerny dziennik z tej podróży, (o ile obecny nawał moich zajęć mi na to pozwoli).

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy mego prawdziwego szacunku i poważania.

Prof. Dr Tytus KOMARNICKI

Monachium, 27. VII. 1959

Szanowny Panie Redaktorze !

Pozwalam sobie uprzejmie prosić Pana Redaktora o łaskawe zamieszczenie mego listu, który w dniu 22 lipca rb. skierowałem na ręce Dr. Ericha Kaestnera, Prezydenta XXX Kongresu P.E.N. Klubu we Frankfurcie.

Z głębokim szacunkiem.

Józef MACKIEWICZ

Monachium, 22.7.1959

„Do P.E.N.-Klubu należę już od dłuższego czasu, po raz pierwszy jednak brałem udział w międzynarodowym kongresie. Pozwoli mi Pan wyrazić moje głębokie rozczarowanie. Podczas otwarcia wygłoszono wprowadzenie szereg świetnych przemówień, niestety, pominięto w nich milczeniem rzeczy najistotniejsze. Tak więc np. wiele pięknych słów poświęcono *Pokoju* i *Wolności*, natomiast ani jednego — *Prawdzie*. A przecież, wydaje mi się, że prawda stanowi bardziej istotną część składową twórczości literackiej, niżli pokój. Czyż prawda, ściślej: poszukiwanie prawdy, jest tym czynnikiem, który uwarunkowuje wolność umysłu. Sam zaś „pokój” nie przesądza jeszcze o wolności. Oto wiem z własnego doświadczenia, jako były przymusowy poddany Związku Sowieckiego, że miliony ludzi pod panowaniem komunistycznym błagały Boga o jakąkolwiek wojnę i dziś jeszcze Go o nią proszą. Ta prawda nie pasowała do nastroju, w którym odbywał się Kongres i stąd broniono wprawdzie sprawy *wolności* ducha, lecz słowem nie wspomniano o *wyzwoleniu* ducha, tam gdzie jest on najbardziej skrepowany.

Odczytanie budująco brzmiącej Karty PEN-Klubu uczczono teatralnym gestem stania na baczność, ale jednocześnie miano: „kolegów” nadaje się ludziom takim jak komunistyczni pisarze reżymu Kadara, lub przedstawicielom innych tzw. Republik Ludowych, chociaż ludzie ci są w istocie upaństwowionymi wyrobnikami systemu politycznego, który zniesienie wolności myśli postawił sobie za cel; a zatem z natury rzeczy powołani są raczej do tego, aby w miarę możliwości, unicestwić właściwy sens Karty-PEN. Przy tym paradoksalną sytuację wytwarza fakt, że my wszyscy o tym wiemy, a „koledzy” z Republik Ludowych także wiedzą że my wiemy. Tym niemniej prezes PEN-Klubu, monsieur Chamson, wzywa dyskutantów, aby zechcieli się wykazać dobrym wychowaniem i nie psuli tej śmiesznej, urzędowej gry przez wprowadzanie akcentów „politycznych”.

W rzeczywistości jednak nie są to akcenty polityczne, lecz wręcz odwrotnie, problemy zasadnicze, którymi właśnie PEN-Klub winien by się zająć, gdyby zależało mu na zachowaniu wierności własnej konstytucji. Jeżeli politycy dostrzegają w międzynarodowym komunizmie groźbę dla wolnego świata, to my, wolni pisarze, winniśmy poświęcić tej groźbie bez porównania więcej uwagi, a to z tego prostego względu ponieważ niebezpieczeństwo to zagraża w pierwszym rzędzie dziedzinie intelektualnej, dziedzinie wolnej twórczości.

PEN-Klub wyraźnie unika przyjęcia do wiadomości tej powszechnie znanej prawdy o komunistycznej rzeczywistości, którą dziś zna już na pamięć byle uczniak. Chciałbym tu jednak zwrócić uwagę na dwa fakty tylko, których PEN nie ma prawa pomijać: że mianowicie, reakcyjna,

carska Rosja, mimo wszystko, wydała jedną z najznakomitszych literatur świata, podczas gdy „postępowy” system komunistyczny wszędzie gdziekolwiek zapanował, sprowadził literaturę do upolitycznionego, nudnego kiczu; oraz po drugie, że komunistyczne państwa należą do jedynych na przestrzeni historii ludzkiej, w których problem *nudy* przeistoczył się w problem państwowo-społeczny i zmusił partyjno-rządowe czynniki do zajęcia się nim jako sprawą pierwszorzędnej wagi. Świadczy to o niebywałym w dziejach rozduszeniu ludzkiej psychiki, gdyż występowanie masowej nudy było dotychczas cechą charakterystyczną dla nastrojów panujących za kratami więzień.

W zestawieniu z globalnym uciskiem słowa, uprawianym przez system komunistyczny, problem w rodzaju „cenzury w Katalonii” wydaje się śmieszny. A jednak PEN-Klub poświęca mu się z całą powagą, gdy jednocześnie nie tylko nie odważa się nawet z imienia wymienić największego ciemiężyciela wolnej literatury, ale go jeszcze wyraźnie kokietuje.

Na pytanie: czym się tłumaczy to paradoksalne stanowisko PEN-Klubu, nie dostrzegam innej odpowiedzi jak to, że PEN-Klub, na przekór własnym zapewnieniom, przyjął wyraźną *postawę polityczną* i, pomijając pobudki, które go do tego skłoniły, uprawia polityczną taktykę, która z jego rzekomo apolityczną deklaracją nie da się pogodzić.

Jako wolny pisarz, który z uprawianą przez PEN-Klub polityką, ujawnioną zwłaszcza na XXX Kongresie we Frankfurcie, pogodzić się nie może, nie mogąc się również wypowiedzieć wskutek raptownego przerwania dyskusji na temat przyjęcia komunistów węgierskich, pozwałam sobie tą drogą zawiadomić Pana, Panie Prezesie, o moim wystąpieniu z PEN-Klubu. Jednocześnie zawiadamiam o tym prezesa Emigracyjnego Centrum PEN w Londynie.

Józef MACKIEWICZ

St. Jean (Chte-Mme), 18.7.59

Szanowny Panie Redaktorze !

W artykule „Najważniejszy z ważnych” p. Mierszewski podjął się niełatwego zadania, jak to sam zresztą przyznaje pisząc, że autorzy wszystkich planów neutralizacyjnych nie zdołali do tej pory przekonać Amerykanów, że podtrzymywanie status quo jest bardziej ryzykowne i wojskowo mniej korzystne niż neutralizacja. Wydaje mi się, że i ta próba nie powiedzie się i neutralizacja lub jak niejeden by powiedział, widmo neutralizacji, nie przybliży się ani o krok, a to z powodu argumentacji, która brzmi przekonywująco tylko dla polskiego ucha.

Autor zakłada istnienie we wschodniej Europie silnych uczuć antyniemieckich wyciągając stąd wniosek, że wzrost potęgi militarnej Niemiec prowadzi nieuchronnie do powstania prorosyjskiej orientacji i stawia pytanie które jest streszczeniem całego artykułu. Co lepiej opłaca się, czy zrezygnować z dywizji niemieckich, a w razie wojny mieć poparcie 100 milionów wschodnich Europejczyków, czy też odbudować Wehrmacht i mieć armie wschodnio-europejskie przeciwko sobie. Sądzę, iż błąd zawarty w powyższym zdaniu polega na tym, że wschodni Europejczycy to pojęcie raczej tylko geograficzne. Stosunek mieszkańców tej części Europy do aktualnych problemów politycznych, mający uzasadnienie w

historii, jest zbyt niejednolity, aby można było przyjąć istnienie jakiegoś standardowego wschodniego Europejczyka. Trzeba zatem, rozpatrując tego rodzaju zagadnienie, ocenić stanowisko każdego narodu oddzielnie. Kogóż zatem może niepokoić remilitaryzacja Niemiec? Bułgarów — w obu wojnach światowych byli ich sprzymierzeńcami; Węgrów — to samo plus wspomnienia ostatniego powstania, Rumuni — sprzymierzeńcy z ostatniej wojny, chyba nie mają powodów do obaw i nienawiści. Pozostają Czesi i Polacy. Ci pierwsi, wyróżnili się w tym stuleciu spośród narodów europejskich chyba największą niechęcią do walki zbrojnej. Dlaczego nagle mieliby się zmienić?

A więc zamiast 100 milionów wschodnich Europejczyków tylko 28 milionów Polaków okaże nieprzymuszoną chęć do walki z Wehrmachtem. Dysproporcja sił zbyt wielka, aby Amerykanom opłaciło się likwidować armię niemiecką. Jak widać argumenty natury militarnej przemawiają raczej przeciw niż za projektem omówionym przez p. Mieroszewskiego. Autor ma niewątpliwie rację, gdy ocenia przemiany w opinii publicznej w Polsce, pod warunkiem, że nie rozciąga analogii na inne narody wschodnioeuropejskie poza może częściowo jednymi Czechami.

Jan KURDWAŃSKI

Berkeley, 2.8.1959

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielką przyjemnością przeczytałem wnikliwie i na ogół trafne uwagi o „Lolice” Władimira Nabokowa w artykule Gustawa Herling-Grudzińskiego „Na tematy pornograficzno-loliterackie” („Kultura” Nr 7/141-8/142). Nie mogę jednak darować p. Herling-Grudzińskiemu rzuconego jakby od niechcenia zdania: „ani Nabokow nie jest wielkim pisarzem, ani „Lolita” nie jest arcydziełem”. Nad sądem p. Herling-Grudzińskiego nad „Lolita” nie zamierzam się rozwodzić, sąd natomiast nad Nabokowem jako pisarzem wymaga z mojej strony jak najgorętszego protestu. Osobiście uważam go za największego żyjącego pisarza na świecie. Nie chcąc jednak sprowadzać „sporu o Nabokowa” do poziomu gustów osobistych, co do których wszelki spór staje się bezprzedmiotowy, postaram się o garść argumentów — w miarę obiektywnych.

Nabokow jest pisarzem starszego pokolenia (ur. 1899) i „Lolita” nie jest jego literackim debiutem. Tyle tylko że dała mu rozgłos wszechświatowy, przy czym rozgłos ten przypadł mu w udziale nie tyle dzięki wartościom literackim „Lolity” ile wskutek skandalicznych dziejów jej wydania, podobnie zresztą jak „Doktor Żiwago” trafił na listę best-sellerów z uwagi na hałas polityczny dokoła tej książki. (Gdyby „Doktora Żiwago” napisał emigrant, nikt by na Zachodzie nie zauważył tej książki). Pomijając sprawę że nadawanie (lub odmawianie) pisarzowi stopnia literackiego jest zajęciem dość ryzykownym sędzę, że nadanie (lub odmówienie) Nabokowowi rangi „wielkiego pisarza” powinno się opierać na ocenie całego dorobku pisarskiego, a nie na podstawie jednej książki, która stała się best-sellerem mniej lub więcej przypadkowo.

Nabokow zadebiutował 33 lata temu powieścią (po rosyjsku) „Ma-szeńka”. Ogółem ogłosił przed wojną dziewięć powieści, jeden tom wierszy, dwie sztuki teatralne i dwa tomy opowiadań — wszystko w języku

rosyjskim. Niektóre z jego powieści były zresztą tłumaczone na języki obce. Wszystkie te utwory oczarowały i podbiły zarówno krytyków jak czytelników swą oryginalnością, a przede wszystkim „nierosyjskością” tj. całkowitym zerwaniem z tradycją — treściową i formalną — literatury rosyjskiej. Z tych dziewięciu powieści takie jak „Korol, dama i walet”, „Zaszcza Łuzina”, „Camera obscura”, „Priglaszenie na kaziń” i „Dar” (ten ostatni z niezrównaną, zjadliwą wstawką w postaci *vie romancée* Czernyszewskiego, podaną jako praca doktorska bohatera powieści) spotkały się z nadzwyczaj pochlebną, nieraz entuzjastyczną oceną takich matadorów krytyki emigracyjnej jak Władysław Chodasiewicz (zmarły w 1939), Gleb Struve, Mark Stonim, a nawet wymagający i kapryśny w upodobaniach Georgij Adamowicz. Ponure „Priglaszenie na kaziń” jest bodaj pierwszym w dziejach literatury rosyjskiej (jeśli nie liczyć „spornego” w tym względzie Gogola) wprowadzeniem nadrealizmu do powieści. Element nadrealizmu panuje w równie ponurej, napisanej i wydanej tylko po angielsku powieści „Bend sinister” (1947), która swą prawdą *artystyczną* przyciemnia wszelkie „mroki w południe” obcych i rodzimych Koestlerów. Końcowa scena zabójstwa w „Lolicie” posiada też, moim zdaniem, elementy nadrealizmu.

Od roku 1940 Nabokow pisze prawie wyłącznie po angielsku. Dotąd napisał pięć powieści: wspomnianą „Bend sinister”, „The Real Life of Sebastian Knight”, autobiograficzną „Conclusive Evidence” (rosyjska i zmieniona wersja autorska wyszła pt. „Drugije bierega”), pozornie zabawnową a w istocie bardzo głęboką i smutną „Pnina” i wreszcie „Lolite”. Nadto wydał po angielsku ciekawą książkę o Gogolu. Obecnie poszukuje wydawcy na gotowy przekład angielski „Eugeniusza Oniegina” — wierszem i z kilkusetstronicowym komentarzem.

Domyślam się że p. Herling-Grudziński nie należy do dość licznej niestety kategorii rodaków odrzucających literaturę rosyjską „zasadniczo”. Rad będę przeto, jeżeli zapozna się z całością twórczości Nabokowa i dopiero wtedy nada mu tę lub inną rangę pisarską.

Łączę wyrazy szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Warszawa, 26.7.1959.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Chciałbym zaznaczyć, że swój artykuł: „Mise au point” ogłoszony w kwietniowym numerze „Kultury” rb. atakujący księdza Meysztowicza uważam dziś za niesmaczny. Powodem jego napisania było jednak niewątpliwie obrażenie mnie przez Ks. Meysztowicza, który należy do ludzi, z których stanowiska muszę wyciągać konsekwencje. Gdyby Ksiądz Meysztowicz na moją listowną propozycję spotkania się zadesperował: „nie mogę, Meysztowicz”, ani przez chwilę nie miałbym mu tego za złe. Ale forma, której użył, mianowicie: „Nie, Meysztowicz” była obraźliwa, a własny jego ojciec uczył mnie, że należy „podejmować obrazy” skoro pochodzą od ludzi honorowych i poważnych.

Zechce Pan, Panie Redaktorze przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku i poważania

Stanisław MACKIEWICZ

Paris, 17 juillet 1959.

« Dans votre numéro 7/141-8/142 de juillet-août 1959, page 222, votre correspondant me reproche d'avoir affirmé, dans mon article « La législation pénale militaire en Pologne » (Est et Ouest, N° 217, 1^{er}-15 juin 1959, pp. 9 et 10) », que le régime actuel en Pologne a l'intention d'accroître son potentiel militaire en vue de déclencher une guerre. »

Ces reproches sont imaginaires : la simple lecture de mon article suffit pour démontrer que je n'ai pas parlé des tendances de provoquer une guerre.

Votre attaque constitue une nouvelle preuve de la lutte que le groupe littéraire « Kultura » mène contre mon activité d'écrivain. Voici deux preuves présentes :

1° en 1946, W. Giedroyc, rédacteur en chef de la « Kultura » a empêché la parution de l'introduction à ma thèse de doctorat, dans les éditions du 2^e corps.

2° depuis 1956, la « Kultura » agit auprès de son éditeur « Libella » pour qu'il ne s'occupe pas, malgré ses engagements pris vis-à-vis de moi, de la vente de mon livre « Plan X ». D'après les renseignements de l'éditeur « Libella » qui a publié le « Plan X », l'attitude de la « Kultura » lui empêche la diffusion et la vente de mon livre. Comme il contient une documentation relative aux événements d'après-guerre, c'est la « Kultura » elle-même (et non pas moi) qui tend à « cacher des informations parfaitement réelles. »

Stanislas SZWAJCER.

Londyn, 13.7.1959

Szanowny Panie Redaktorze !

W swoim artykule pt. „Emigracyjne nowości poetyckie” (Kultura, nr 141-142) Marian Pankowski ubolewa z powodu braku zainteresowania poezją, wymieniając, jako jedyne jej krzewiciela „Nowy Merkuriusz”

Przeczytawszy powyższe stwierdzenie tego wybitnego krytyka i ja również ubolewam, ubolewam dlatego, że autor przed umieszczeniem artykułu, nie sprawdził trafności swego „orzeczenia”.

Faktem jest bowiem niezbitym, że poezją — o różnej wartości — interesuje się szereg pism emigracyjnych. Dla przykładu podam wydawany w Szwecji przez Waldemara Sobczyka miesięcznik „Nasz Znak”. Otóż „Nasz Znak” poezją interesował się od początku swego istnienia, a od dłuższego czasu posiada regularny dział pn. „Oficyna poetów”. Działem tym — dodam — kieruje p. Józef Jenne, a więc poeta (poezja p. Jenne była drukowana również na łamach b. „Merkuriusza”). O wartości umieszczonej poezji, każdy (a w tym Pankowski) może przekonać się osobiście, gdyż chętnie będę służył numerem okazowym pisma.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

B. SIRKO

Penley Hall, 9.8.1959

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Jan Karolus pisząc swój artykuł „Wojskowe obozy szkolne w Szwajcarii”, Kultura 4/138 nie wspomniał o działalności Obozu Akademickiego w Winterthur na rzecz chorych jeńców wojennych w Niemczech. Ponieważ byłem jednym z obdarowywanych, stwierdzam, że ta działalność była dużą pomocą żywnościową i moralną. W tych warunkach dzielić się kawałkiem chleba z braćmi będącymi w niewoli to szlachetność godna naśladownictwa.

Pragnę przy tym wspomnieć też o Polakach-emigrantach z rejonu Grenoble we Francji którzy mogąc też niewiele obdarowywali nas żywnością, zasługując na podobne podziękowanie.

Łączę wyrazy szacunku.

Wojciech POHOSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O. - WOLNE od CŁA
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 200 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie.

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Nowe wydawnictwo "Libelli"

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

LOSY PASIERBÓW

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena: franków 850. — sh. 17/.— — dolarów 2.50.

Warunki sprzedaży:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Zamówienia wraz z należnością przysyłać do:

“LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV^e
France

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1959



KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczno
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca » Serrano 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują: Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo.		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 250 fr.	21 sh. 1.300 fr.	42 sh. 2.600 fr.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poc. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
IZRAEL : Diffusion du Livre Français, Ltd, 35, rue Rashi, B.P. 3172, Tel Aviv	285 fr.	1.500 fr.	3.000 fr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St W, Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vatra Trade, 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiakowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; Roman J. Sas-Babczyński, 64 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 4-1407	75 cent	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. : 49855	75 cent.	4 dol	6 dol
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh 9 d	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s	25 fr. s
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tel. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedynczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94



Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY":

CZESŁAW MIŁOSZ

RODZINNA EUROPA



**PODZIEMNA LITERATURA
SOWIECKA**

Szkice i opowiadania



WIKTOR SUKIENNICKI

KOLUMBOWY BŁĄD



WACŁAW LEDNICKI

GLOSSY KRASIŃSKIEGO

do

APOLOGETYKI ROSYJSKIEJ